

**JENNIFER BLAKE**

**Bramy raju**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Chloe Madison po raz pierwszy zobaczyła tego wysokiego Amerykanina po publicznej egzekucji na stadionie w Kaszi. Tłum, pełen uzbrojonych talibów, właśnie wylewał się na zewnątrz.

Program egzekucji był urozmaicony: obcięcie dwóm złodziejom prawych dłoni, chłosta dziewczyny, która odmówiła poślubienia mężczyzny wybranego dla niej przez ojca, a na koniec powieszenie na poprzeczce bramki człowieka, który śmiał uderzyć mułłę, czyli świątobliwego męża. Wśród widzów znajdowała się nieliczna grupka kobiet, najpierw siedziały razem w wydzielonym sektorze, zaś po wszystkim czekały nieopodal niego, zbite w gromadkę, aż przyjdą po nie członkowie rodzin. Stojąca razem z przyrodnią siostrą Chloe usłyszała, jak przyrodni brat woła je ostrym głosem. Do głębi wstrząśnięta

barbarzyństwem, jakie właśnie oglądała, oraz myślą, że została tu przyprowadzona specjalnie, by ujrzeć właśnie chłostę, obróciła się gniewnie.

W tym momencie ktoś na nią wpadł. Potknęła się, zaczepiła sprzączką sandała o dolny szew czadoru spowijającego ją od stóp do głów i upadła na kolana. Nieznajomy natychmiast znalazł się przy niej, ujął ją pod ramię, na ile pozwalały na to utrudniające ruchy i kontakt zwoje krepującej ją tkaniny.

- Ogromnie przepraszam. Nie zrobiła sobie pani krzywdy? Pomogę pani wstać. - Naraz zniżył głos do szeptu, który tylko ona mogła usłyszeć. - Twój ojciec wysłał mnie, żebym cię wyrwał z tego piekła. Spotkaj się jutro ze mną na bazarze w Ajzukabadzie.

Chloe przeżyła szok, słysząc ojczysty język po tylu latach spędzonych w Hazaristanie, po latach mówienia po pasztuńsku. Podniosła oczy, skryte za gęsto tkaną siatką, wypełniającą niewielki prostokątny otwór w czadorze i napotkała wzrok mężczyzny. Według zasad, które wbijano jej go głowy przez ostatnie lata, odkąd talibowie doszli do władzy, był to z jej strony akt wielce nagannej prowokacji. Nie potrafiła się jednak powstrzymać.

Wpatrywał się w nią intensywnie, bardzo amerykański w obcisłych dżinsach, białej koszuli i skórzanych kowbojkach. Jego szerokie bary

robiły wrażenie. Miał ogorzałą od słońca twarz o wyrazistych rysach, gładko ogoloną, a nie brodatą, jak twarze otaczających ją mężczyzn, na której teraz malowała się determinacja. W jego zielonkawobrazowyci oczach widniała autentyczna troska, która zupełnie zbiła Chloe z tropu.

Mijały sekundy, każda zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Ostatni raz, gdy Chloe znajdowała się tak blisko mężczyzny, nie należącego do rodziny, miał miejsce prawie dwanaście lat wcześniej, gdy była nastolatką i mieszkała w Kalifornii. Czuła się oszołomiona jego obecnością, dotyk jego dłoni wydał się jej niezwykle intymny. Doleciała ją delikatna woń zachodniego mydła, wody kolońskiej, świeżo wyprasowanej koszuli. Ta mieszanka zapachów dotarła do pokładów głęboko pogrzebanych wspomnień i gwałtownie wy dobyła je na powierzchnię. Naraz Chloe przypomniała sobie głośną muzykę o hipnotyzującym rytmie, samochody we wszystkich odcieniach tęczy, gorący piasek plaży, lody w stożkowych waflach, pachnący kokosem olejek do opalania i rześki zapach oceanicznej bryzy. Bez ostrzeżenia zalała ją fala wspomnień z czasów, gdy była bardzo młoda i wolna. Po tylu latach niemal przestała wierzyć w istnienie takiej wolności. Nim się spostrzegła, łzy napłynęły jej do oczu.

- Chloe, ty głupia suko, natychmiast się podnieś!

Ostry głos przyrodniego brata smagnął ją niczym bicz i przywrócił do rzeczywistości. Spuściła wzrok, szybko schowała nogę pod turkusowy czador, ponieważ wystawała jej cała stopa. Wyrwała ramię z uścisku Amerykanina i próbowała wstać sama, nieco niezdarnie, gdyż metry ciężkiego materiału krępowały jej ruchy. Nieznajomy znów wyciągnął rękę, pragnąc jej pomóc, lecz Chloe odsunęła się szybko i pospieszyła ku swej rodzinie. Treena, przyrodnia siostra, pociągnęła ją szybko ku sobie i Ismaelowi, swemu mężowi, w ten sposób trzymając ją z dala od Ahmada. Chloe zadrżała. Mogły jej grozić baty za pokazanie kawałka skóry i za zachęcanie mężczyzny spojrzeniem.

Amerykanin ruszył za nią, jakby chciał uzyskać odpowiedź na swoją propozycję.

- Precz, niewierny psie - warknął Ahmad, zastępując mu drogę. Położył dłoń na rękojęści zatkniętego za pas noża.

- Chciałem tylko przeprosić tę damę. Przykro mi, jeśli przeze mnie coś sobie zrobiła.

Ahmad bardzo słabo znał angielski, gdyż nigdy nie chciał się uczyć języka wrogów nasyłanych przez szatana. Trochę rozumiał, lecz mówić nim nie zamierzał, odpowiedział więc po pasztuńsku:

- Ona nie potrzebuje przeprosin i nie stała jej się krzywda, prócz tego, że zbrukałeś ją swym dotykiem. Jesteś tu obcy, więc nie wiesz, że naszych kobiet nie wolno bezcześcić wzrokiem, a co dopiero zbliżać się do nich. To jest surowo zakazane. Jak zrobisz to jeszcze raz, twoja niewiedza już cię nie uratuje.

- Od patrzenia nic nikomu nie ubędzie.

Zaskoczona Chloe gwałtownie wciągnęła powietrze. Amerykanin rozumiał pasztuński, a w dodatku rzucił Ahmadowi wyzwanie.

- Możemy cię oślepić, psie - zaczął rozjuszony Ahmad, lecz w tym momencie Treena, drobna i zgarbiona pod ciężarem czadoru, nachyliła się ku mężowi.

- Źle się czuję... Ten upał, ten kurz, te straszne rzeczy, które widzieliśmy... Proszę, zabierz mnie do domu.

Siostra Ahmada w ogóle nie powinna była uczestniczyć w tym przerażającym spektaklu, gdyż spodziewała się dziecka, czwartego w ciągu sześciu lat. Władze wymagały jednak, by wszyscy mieszkańcy Kaszi i okolic stawili się na egzekucję. Rozporządzenie dotyczyło mężczyzn, lecz Ahmad z całą satysfakcją przywiózł z Ajzukabadu również siostry, a z jego poleceniem nie wolno było polemizować, gdyż pełnił rolę głowy rodziny, odkąd ojca powołano do wojska i wysłano na północną granicę.

Ismael skinął głową, wyprostował się i spojrzął na szwagra.

- Ahmadzie, drogi bracie mojej małżonki...

- Słyszałem - uciął. - Zgadza się. Przez ten tydzień Chloe będzie wykonywać obowiązki Treeny, gdyż musi zostać ukarana za swoją niezdarność. Idziemy.

Minał Amerykanina, jakby ten był powietrzem i poprowadził rodzinę w stronę wyjścia. Chloe nie odważyła się obejrzeć na swego rodaka, lecz uczyniła to Treena, a potem zerknęła na przyrodną siostrę.

- Patrzy za nami. - Jej głos był niewiele głośniejszy od tchnienia.

- Nie dbam o to - odparła Chloe w taki sam sposób, ponieważ kobiety w Hazaristanie, gdzie stanowiły mniejszość, do perfekcji opanowały niemal bezgłośnie mówienie. - Ale jestem ci wdzięczna za pomoc.

- Mój brat zapewne też. Czasy są niespokojne. Co innego wziąć odwet na Amerykaninie w ciemnym zaułku, a co innego zaatakować go publicznie. Ahmad ma więcej dumy niż rozumu. Ceni sobie swoją pozycję, a dyplomacją gardzi.

Chloe zacisnęła dłonie na łańdżach czadoru, by ukryć ich drżenie.

- Nic takiego nie powiedziałam.

- Toteż ja mówię to w twoim imieniu. On chowa się za swoim statusem jak mały chłop-

czyk za nogami ojca i udaje odważnego - stwierdziła ze znużeniem Treena. Jej oczy błysnęły zza wyglądającej jak kraty siatki w czadorze. - Czy ten twój Amerykanin był przystojny?

-- Nie zauważyłam.

- Oczywiście, że zauważyłaś. Wyglądał jak aktor z hollywoodzkich filmów, które oglądałam w młodości. Wiesz, zanim przyszli talibowie, zanim pozamykano kina, zanim... Zanim to wszystko się stało.

- Nie obchodzi mnie ten człowiek.

- Allah słyszy, jak kłamiesz. Ale po co to robisz, skoro już nigdy nie ujrysz tego mężczyzny? Chyba że w snach.

A jeśli przyrodnia siostra usłyszała słowa nieznanego i zrozumiała je? Nie, to raczej niemożliwe, gdyż nie posiadała żadnego wykształcenia. Z drugiej strony żyła przez lata pod jednym dachem z dwiema Amerykankami, Chloe i jej matką, którą ojciec Treeny poślubił, gdy wyjechał do Stanów po utracie pierwszej żony, zmarłej w połogu. Chloe próbowała uczyć przyrodnią siostrę swego ojczystego języka, lecz wkrótce nawet i takie lekcje zostały zakazane, gdyż kobietom nie wolno było pobierać żadnych nauk.

- I tak widziałam go o raz za dużo - zadeklarowała Chloe. - Przez niego mogła mnie spotkać chłosta lub nawet śmierć.



- To prawda. - Treena odwróciła wzrok i zamilkła.

Kiedy tak milczały, Chloe poczuła przypływ oczyszczającego, pocrzepiającego gniewu, który odegnał strach i sprawił, że przestała drżeć. Powitała go z ulgą, jak powracającego starego przyjaciela. Od dawna gościła go w swoim sercu, bez niego gubiła się, gdyż wskazywał jej drogę postępowania.

Wszystko zaczęło się w chwili, gdy jej matka, wykładająca na Uniwersytecie Kalifornijskim, oznajmiła, że wychodzi za hazarskiego wykładowcę, którego niedawno poznała. Imam znalazł się w Stanach dzięki specjalnemu programowi stypendialnemu, kiedy jego ojczyznę infiltrowali Rosjanie okupujący sąsiedni Afganistan. Chloe polubiła tego cichego człowieka o łagodnym uśmiechu, lecz ani przez moment nie podejrzewała, że jej matka bez reszty zaangażuje się w ten związek. Trzy lata wcześniej rozwiodła się, co było prawdziwą tragedią dla Chloe, która cały czas pragnęła, by rodzice wrócili do siebie. Próbowwała odwieść mamę od jej pomysłu, lecz nadaremnie.

Nie minął rok od ślubu, gdy Rosjanie wycofali się z Afganistanu, sytuacja w Hazaristanie ustabilizowała się i Imam zaczął coraz częściej mówić o powrocie w ojczyste strony, Czternastoletnią Chloe ogarnęła zgroza na myśl o wyjeź-

dzie z Ameryki, o rozstaniu ze wszystkimi przyjaciółmi i z Kalifornią. Nie chciała mieszkać w zacofanym kraju, gdzie bieżącą wodę i elektryczność uznawano za luksus, gdzie Nowy Rok obchodzono w pierwszy dzień wiosny, zgodnie z kalendarzem księżycowym, w kraju, gdzie wciąż żyli koczownicy, przemierzający konno pustynne równiny i mieszkający w namiotach. Czuła niechęć do tego wszystkiego, jeszcze nim postawiła stopę na tamtejszej ziemi, jeszcze nim spotkała swe przyrodnie rodzeństwo.

Treena okazała się całkiem miłą, czego nie dało się powiedzieć o Ahmadzie. Czekał na lotnisku, lecz wyraźnie jedynie na swego ojca. Gdy Chloe i jej matka zostały mu przedstawione, przeżył prawdziwy szok, oczy mu się dziwnie zaszklily, a potem jego twarz stężała w maskę nienawiści. Bez choćby jednego słowa powitania odwrócił się i odszedł. Ojciec zawołał za nim gniewnie, zaś nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, chciał biec za synem, lecz żona powstrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Nie napisałeś swoim dzieciom o nas?  
- spytała z troską i niepokojem.

- Chciałem im to powiedzieć osobiście, wydawało mi się to najlepszym sposobem. Jak widać, pomyliłem się.

- Na to wygląda.

Imam potrząsnął głową.

- Popełniłem wiele błędów wychowawczych, zwłaszcza wobec Ahmada.

- Nie mogłeś przewidzieć, jak się sprawy ułożą - rzekła ze współczuciem matka Chloe.

- Nie, ale on i tak wini mnie *za* wszystko. Przykro mi, że teraz i ciebie będą spotykały przykrości z tego powodu.

Czule oparła policzek na jego ramieniu.

- To nie ma znaczenia. Jakoś to przeżyję.

Ale to oczywiście miało znaczenie. I nie przeżyła.

Ahmad, starszy od Chloe o siedem czy osiem lat, właśnie ukończył studia na uniwersytecie i miał się za dorosłego mężczyznę. Nie zamierzał okazywać żadnego szacunku dwóm Amerykankom, które weszły do rodziny i choć po tym pierwszym spotkaniu zachowywał się w stosunku do nich w miarę grzecznie w obecności ojca, to we wszystkich innych sytuacjach natychmiast dawał im odczuć, co naprawdę o nich myśli. W ogóle traktował kobiety jak istoty niższego rzędu, niewiele tylko lepsze od zwierząt. Jego szczególną niechęć wzbudzała Chloe, jego zdaniem krnąbrna i zepsuta. Głowę nosiła wysoko, ośmielała się patrzeć mężczyznom w oczy, nie odzywała się z należytą pokorą i miała zwyczaj iść równo z mężczyzną, a czasem nawet go wyprzedzać, zamiast podążać kilka kroków z tyłu. Ahmad twardo wpajał jej zasady obowiązują-

ce w Hazaristanie, z satysfakcją wytykał wszelkie uchybienia oraz z upodobaniem szydził z błędów językowych, gdy zaczęła się uczyć pasztu.

Wydawał jej też polecenia, których na początku nie chciała słuchać, lecz wtedy matka spełniała je za nią, by w rodzinie nie dochodziło do awantur. Ahmad wykorzystał to i w krótkim czasie zrobił z nich praktycznie swoje służące. Chloe kilka razy próbowała się zbuntować, wtedy jednak wydarzał się jakiś nieszczęśliwy wypadek, w wyniku którego chodziła posiniaczona albo, co znacznie gorsze, podczas którego ulegało zniszczeniu coś szczególnie cennego, na przykład ukochana książka czy wisiołek otrzymany od taty.

Imam miał świadomość tego, co się dzieje, lecz nie próbował okiełznać syna, ponieważ nie pozwalało mu na to dręczące poczucie winy. Zawiódł swoje dzieci, przebywając tak długo w Stanach i pozwalając, by wychowywali je dziadkowie ze strony matki. Jedyne, co mógł zaproponować Chloe, to małżeństwo, które pozwoliłoby jej przejść spod kurateli przyrodniego brata pod kuratelę męża. Dla piętnastoletniej Amerykanki takie rozwiązanie było absolutnie nie do przyjęcia, odrzuciła je z oburzeniem. Za nic nie mogła wyjść za kogoś zupełnie obcego i żyć z nim bez miłości, chociaż w tym dziwnym

kraju i tak nie miała większych szans na normalny związek. Ojczym westchnął, wzruszył ramionami i przestał na nią naciskać. Ostatecznie to Treena poślubiła owego człowieka podobającego się Imamowi, swego kuzyna, którego przed ślubem widziała parę razy podczas wielkich rodzinnych uroczystości, a i to z daleka.

Zdesperowana Chloe napisała w końcu do taty, błagając, by przyjechał i zabrał ją stąd lub przynajmniej przysłał pieniądze, które umożliwiłyby jej powrót do kraju. Słała list za listem, czekając na odpowiedź, która nigdy nie nadeszła. Tymczasem Ahmad poczynił sobie coraz swobodniej, jakby posiadał jakieś moralne prawo do sprawowania władzy nad członkami rodziny. Życie stałoby się zupełnie nie do zniesienia, lecz szczęściem w nieszczęściu często przebywał poza domem, wyjeżdżając za granicę w jakichś tajemniczych misjach.

Cały rejon, który po wycofaniu się wojsk sowieckich miał cieszyć się stabilizacją i pokojem, cierpiał z powodu ciągłych walk partyzantkich. W sąsiednim Afganistanie w siłę rośli talibowie, kierowani przez mułłów, przywódców religijnych. Fanatyczni i zaciekli, okazali się skuteczniejsi od weteranów zmęczonych wojną z Rosjanami, pokonali ich, przejęli rządy i natychmiast przystąpili do narzucania wszystkim dookoła swojej wizji świata, tak samo jak

ich poprzednicy próbowali narzucić innym komunizm.

W Hazaristanie bardziej ortodoksyjni sunnici poparli talibów. Stworzyli własne zbrojne oddziały, które napadały na wojska rządowe i przeprowadzały akty sabotażu. Chloe dałaby głowę, że Ahmad siedzi w tym po uszy, ale stopniowo poświęcała temu coraz mniej uwagi, ponieważ ciągłe walki nie zmieniały sytuacji w kraju. Przypominało to pomruk odległej burzy, w końcu przywykła do tego.

Któregoś dnia wracała z mamą z bazaru i naraz spostrzegła, że przed ich niskim domem z kamieni plonie wysoki stos. Znalazły się na nim jej džinsy, wszystkie szorty, wszystkie bluzeczki z krótkim rękawem. Plakatów z muzykami rockowymi użyto jako podpałki, w ogniu topił się sprzęt grający, kasety i płyty CD. Zniszczono jej książki, kosmetyki i każdy przedmiot osobistego użytku, który był w jakikolwiek sposób powiązany z Zachodem. Krzycząc, rzucała się na palącego jej rzeczy Alimada. Powalił ją na ziemię, stanął nad nią i wyjaśnił, co zaszło.

Oddziały talibów, w których był starszym rangą oficerem, zdobyły Kaszi i obaliły prezydenta. Od tej pory obowiązywał szariat, stare prawo koraniczne. Mężczyźni muszą nosić brody. Okna zostaną pomalowane na czarno, by nie można było przypadkiem ujrzeć przebywającej

w domu kobiety. Kobietom nie wolno pokazywać się na ulicy bez czadom i eskorty męskiego krewnego, który będzie pilnował, by zachowywały się stosownie. Te, które nie posłuchają zakazu, będą bite przez członków straży porządkowej. Poza tym każdy mężczyzna, zgorszony zachowaniem jakiegokolwiek kobiety, ma prawo ją wychłostać. Kobietom grożą kary również za zbyt głośne rozmowy, śmiech w miejscach publicznych, ukazanie skóry powyżej nadgarstka lub kostki, noszenie makijażu - ta lista ciągnęła się jeszcze długo. Powinnością ojców, mężów i braci jest częste stosowanie kar fizycznych, by utrzymać córki, żony i siostry w ryzach. Seks przedmałżeński i cudzołóstwo będą karane śmiercią jednej lub obu stron. Koniec ze szkołami dla dziewcząt. Wszystkie pracujące kobiety zostają odesłane z powrotem do domu, ich miejsce zajmą mężczyźni.

Chloe sądziła, że już nic gorszego nie może jej spotkać, ale myliła się. Ojczyzna powołano do wojska i wysłano na północną granicę, zaś Ahmad objął całkowitą władzę nad domem, a szczególnie nad Chloe oraz jej matką, gdyż zgodnie z prawem Treena znajdowała się pod kuratelą męża.

Warunki życia w kraju pogarszały się z tygodnia na tydzień. Brakowało żywności, znikły wszystkie towary importowane. Kobiety pozba-

wione męskich krewnych musiały zebrać na ulicach, gdyż inaczej nie miały się z czego utrzymać. Prostytucja, chociaż surowo zakazana, stała się wszechobecna. Zwiększała się liczba przestępstw, po ulicach biegały hordy wygłodzonych bezpańskich psów. Elektryczność dostarczano tylko do budynków rządowych oraz paru hoteli. Nie działała sygnalizacja świetlna ani latarnie. Wyglądało to jak powrót do średnio-wieczna.

Minał rok. Któregoś dnia matka Chloe usłyszała krzyk na ulicy, wyjrzała przez uchylone okno w kuchni i zobaczyła, jak sfera psów atakuje małą dziewczynkę. Z krzykiem wyskoczyła z domu, uzbrojona w kij od szczotki, by odgonić psy. Hałas zwabił jednego ze strażników, lecz nie dbał on zupełnie o poranione dziecko, ponieważ był świadkiem przestępstwa - kobieta opuściła dom bez czadoru. Kiedy zaczął ją okładać ciężką pałką, pojawiło się dwóch gapiów, podjudzających go okrzykami przeciw zamorskiej czarownicy, która śmiała wzgardzić świętym prawem Koranu. Natychmiast zgromadził się tłum. Chloe chwyciła czador i wypadła na ulicę, by pomóc mamie, lecz pochwycono ją i nie pozwolono jej podejść. Poleciał kamień, potem drugi i następny, coraz więcej. Gdy było już po wszystkim, syci krwi oprawcy rozeszli się, zostawiając pod murem



domu zmasakrowane ciało grzesznej kobiety i jej skamieniała ze zgrozy córkę.

W tym momencie wokół Chloe ostatecznie zatrzasnęły się stalowe zęby pułapki. Rozpoczęły się straszliwe migreny, tak męczące, że chyba tylko obcięcie głowy przyniosłoby jej ulgę. Spędzała całe godziny, dni i tygodnie, leżąc w swoim pokoju, gdzie z powodu zamalowanych okien panował wieczny półmrok. Czasem spała, czasem leżała ze wzrokiem wbitym w sufit, lecz najchętniej wyglądała przez maleńką dziurkę wyskrobaną w farbie. Widziała jałowy krajobraz, budynki w kolorze ochry, spaloną słońcem, brunatną ziemię, nieliczne rośliny, szarozielone od upału i skryte za błękitną mgiełką odległe góry. Nie wychodziła, gdyż nie miała dokąd pójść. Rzadko dołączała do pozostałych członków rodziny we wspólnych pomieszczeniach, ponieważ nie miała o czym mówić. Schudła, przestała czesać włosy, których nie wolno było obcinać, pozwoliła, by stały się pozbawione życia i matowe. Czasem podczas bezsennych nocy, gdy dobiegało ją szczekanie psów, a potem pianie kogutów, rozmyślała o samobójstwie, ponieważ tylko ono mogło jej przynieść wyzwolenie.

Ocaliła ją Treena, łagodna, potulna Treena o wielkich oczach i cichym głósie, wiecznie rodząca, karmiąca i doglądająca dzieci. Treena,

która pod pozorami pełnej uległości skrywała dzielność lwicy. To ona szeptała przyrodniej siostrze wieści o Rewolucyjnym Stowarzyszeniu Kobiet Afganistanu, nazywanym RAWA od pierwszych liter angielskiej nazwy. Była to tajna organizacja, która początkowo walczyła z sowieckim najeźdźcą, a obecnie próbowała przeciwstawiać się władzy talibów. RAWA działała najpierw w Afganistanie, potem przeniknęła również do Hazaristanu. Przede wszystkim poszukiwała kobiet, które mogłyby potajemnie uczyć dziewczynki, którym przecież odmówiono wszelkich praw do otrzymania edukacji. Brak wykształcenia skazywał je na rolę niewolnic. Czy Chloe nie mogłaby pójść w ślady matki i zająć się kształceniem innych?

Nie pamiętała, ile lat minęło, odkąd po raz pierwszy spotkała te dzielne kobiety. Pięć? Sześć? Może więcej? Czas wydawał się stać w miejscu, gdy nie dawało się odróżnić jednego dnia od drugiego, a kolejne lata zlewały się w jedną całość. Odnosiła wrażenie, jakby od zawsze uczyła małe dziewczynki, w największym sekrecie wykradając się na godzinę czy dwie do domów, w których dzielne kobiety próbowały walczyć z talibami za pomocą wszelkich dostępnych sposobów. Te potajemne lekcje, uśmiechy jej uczennic oraz przyjaźnie z członkiniami RAW-y utrzymywały ją przy

zdrowych zmysłach. Czasem myślała, że nie znalazła się w tej części świata przypadkowo, że to przeznaczenie przywiodło ją do tego kraju, by mogła dzielić się wiedzą zdobytą w amerykańskich szkołach i przekazaną przez matkę. Tu jej potrzebowano, tu odnalazła cel i sens swego życia - niesienie pomocy innym. Cóż wspanialszego mógł jej zaoferować ten obcy, który namawiał ją do wyjazdu?

Samo jego pojawienie się i nawiązanie z nią kontaktu wystawiło ją na poważne niebezpieczeństwo, zaś ponowne spotkanie byłoby niezwykle ryzykowne nie tylko dla niej. Gdyby wzbudziła podejrzenia i zaczęto ją śledzić, odkryto by jej powiązania z RAW-ą, a to mogłoby stanowić zagrożenie również dla jej przyjaciółek, bliskich jej niczym rodzone siostry. Ich działalność zostałaby potraktowana jak najgorsza zbrodnia, zapewne spłonęłyby na stosie, a uprzednio poddano by je prawdopodobnie torturom, gdyż kary były coraz surowsze, coraz bardziej barbarzyńskie.

Nie, Chloe nie mogła udać się na wyznaczone spotkanie, to byłoby czyste szaleństwo! Nie wolno jej było samotnie pójść w żadne miejsce publiczne, a więc także i na bazar. Nawet gdyby namówiła Ismaela na towarzyszenie jej, nadal byłoby to ogromnie ryzykowne, bo jak miałyby porozmawiać z wyróżniającym się w tłumie

Amerykaninem bez zwracania na siebie uwagi? Zresztą i bez tej przeszkody kontakt z nim był niewskazany, gdyż Chloe nie mogła być pewna jego dyskrecji. Nie znał warunków jej życia, nie wiedział o czyhających na nią zagrożeniach, więc nie zachowywałby niezbędnej ostrożności.

Nie, nie zobaczy się z Amerykaninem. W żadnym wypadku.

Kiedy tego samego dnia wieczorem kapały dzieci przed położeniem ich do łóżek, Treena wróciła do spotkania na stadionie.

- Ten przystojny zamorski diabeł coś ci powiedział. Powtórzysz mi co, czy mam może zgadywać?

- On tylko mnie przeprosił.

- I to od tego zamieniłaś się w kamień? Na filmach tacy mężczyźni jak on mówili zazwyczaj bardzo zuchwałe rzeczy. Czy to było coś nieprzyzwoitego?

- W żadnym wypadku.

- To może powiedział ci komplement? Oni na tych filmach potrafili też...

- Nie prawił mi żadnych komplementów!

- Chloe poczuła, jak się rumieni, więc czym prędzej pochyliła głowę i zajęła się rozczesywaniem włosów pięcioletniej Urny.

- Chciał się z tobą spotkać?

Chloe podniosła wzrok na przyrodną siostrę.

- Zrozumiałaś go więc.
- Częściowo - przyznała Treena. - Równie dobrze możesz więc wyjawić mi resztę, prawda?
- To, co powiedział, było głupie.
- A jednak wywarło na tobie wielkie wrażenie, gdyż milczałaś przez całą drogę powrotną. Zdradź mi to, proszę! To takie ekscytujące, że w ogóle się do ciebie odezwał.

Chloe wiedziała, że Treena nie ustąpi, dopóki nie wyciągnie z niej wszystkiego. Właściwie czemu jej nie wtajemniczyć, skoro i tak z tego spotkania nic nie wyjdzie?

- Podobno przysłała go mój ojciec - rzekła, starannie zaplatając warkocz Urny.
- W jakim celu?
- Żeby zabrał mnie z powrotem do Stanów.
- Och!
- Nie wierzę w to - oznajmiła ponuro Chloe.
- Czemu ojciec nagle miałby kogoś przysłać, skoro nawet nie odpowiedział na żaden z moich listów?

- Zdarzenia mogą mieć różne przyczyny.

To była jedna z tych zagadkowych odpowiedzi, tak typowych dla tej części świata. Kiedyś doprowadzały Chloe do rozpacz, aż wreszcie pojęła, że niekoniecznie muszą oznaczać unik, gdyż rozmówca równie dobrze może w ten sposób wyrażać zachętę do rozwinięcia tematu.

- Na przykład jakie?

- Może twój ojciec dopiero teraz otrzymał twoje listy?

- Mój kraj znajduje się bardzo daleko stąd, lecz nie na innej planecie.

Treena skończyła myć niespełna trzyletnią córeczkę, ucałowała ją czule i ubrała w czystą koszulkę.

- Kiedyś myślałaś inaczej.

- Doświadczenie jest cenną rzeczą - odparła, gdyż Hazarowie nie mieli wyłączności na enigmatyczne stwierdzenia. - Szkoda, że nie wiem, czy ten Amerykanin rzeczywiście ma jakieś wieści o moim ojcu. Byłoby cudownie dowiedzieć się, gdzie teraz mieszka, co robi.

- Myślałam, że nie byłaś z nim blisko. Nigdy o nim nie wspominasz. Zupełnie jakbyś wyrzuciła go z pamięci.

- Nie - ucięła Chloe i zamilkła.

Była jego oczkiem w głowie, jego księżniczką i jego kompanem. Wspólnie budowali domki dla ptaków, jeździli na rowerach, chodzili na ryby, a kiedy miała dziesięć lat, pojechali tylko we dwójkę na wakacje i zaszyli się na kempingu nad brzegiem jeziora gdzieś w Luizjanie. Czasem, gdy od gór wiał zimny wiatr lub gdy niebo robiło się białe od upału, a deszcz nie chciał padać, wracała w snach do tego cudownego lata spędzonego nad rozmigotaną wodą. Śniła o tamtym powietrzu, łagodnym jak jedwab, o lasach

przypominających dżunglę, gdzie padające przez niemal szmaragdowe liście światło też zabarwiało się na zielono, o tych rozkosznie leniwych dniach, z których każdy był pełen spokoju. Budziła się i nie rozumiała, gdzie jest, miała wrażenie, że znajduje się nie tam, gdzie powinna. I ogarniała ją ogromna tęsknota za ojcem, który ją kochał i tak często jej powtarzał, że jest śliczna, aż ośmieliła się w to uwierzyć. Jak mogłaby kiedykolwiek o nim zapomnieć?

- Przykro mi - odezwała się cicho Treena.

Chloe odwróciła wzrok, by ukryć łzy.

- Zastanawiałam się, czy moje listy w ogóle kiedykolwiek dotarły do taty. To by tłumaczyło, czemu nie pisał. Nie znalazł adresu.

Siostra nie odpowiedziała. Wzięła średnią córeczkę na ręce i ułożyła ją na sienniku leżącym w rogu pokoju, który służył za posłanie jej i Ismaelowi. Pewna sztywność jej ruchów przykuła uwagę Chloe.

- Treena?

- Wszystko jest możliwe.

Chloe ściągnęła brwi.

- Chcesz mi powiedzieć, że ktoś przechwytywał moje listy?

- Czy ty zawsze musisz być taka dosłowna?

- Nie zawsze. - Cóż, jeśli chciała uzyskać odpowiedź, musiała grać w tę typową dla Wschodu grę aluzji, ponieważ zawoalowane

sugestie pozwalały rozmówcy przekazać pewne informacje i jednocześnie uniknąć oskarżenia o zdradę. - Czy istniał powód, dla którego ktoś pragnąłby nie dopuścić do mojego kontaktu z ojcem?

- Żaden rozsądny powód nie przychodzi mi do głowy.

Chloe z łatwością dopowiedziała sobie resztę. Istniał powód, który z rozsądkiem nie miał nic wspólnego - czysta złośliwość. Znała tylko jedną osobę, zdolną do czegoś podobnego.

- Byłoby to łatwe zadanie dla kogoś, do kogo należało wysyłanie korespondencji.

- To prawda.

Cała korespondencja przechodziła przez ręce Ahmada, gdyż był to jeden z obowiązków głowy domu. Chloe dostała furii na myśl, że do tego stopnia wykorzystał swoją uprzywilejowaną pozycję.

- Mogłabym go za to zabić - syknęła.

Treena potrząsnęła głową.

- A jeśli myślał, że to dla twojego dobra?

- Chyba żartujesz!

- Za dużo w tobie gniewu, Chloe. Nie pozwól, by spalał cię tak samo jak Ahmada. Jedna taka osoba w rodzinie wystarczy aż nadto.

Chloe parsknęła krótkim śmiechem pozbawionym wesołości.

- Jakie on w ogóle ma powody, żeby się



wiecznie złościć? Przecież zawsze stawia na swoim.

- Kiedy nasza matka zmarła po urodzeniu mnie, ojciec zostawił nas pod opieką jej rodziców, a sam wyjechał do tego dalekiego kraju jak z bajki, do Ameryki. Dziadkowie wychowali nas najlepiej, jak umieli, lecz nie byli już młodzi, w dodatku wyznawali tradycyjne i surowe poglądy. Szczególnie dziadek bardzo poważał dawne obyczaje i prawa, za to nienawidził wszystkiego, co nowoczesne, zwłaszcza amerykańskie. To on wysłał mojego brata do Afganistanu, żeby pobierał nauki u mułłów. Ahmad wrócił zupełnie odmieniony, zniszczono w nim wszelkie ludzkie uczucia, uczyniono z niego miecz Al-lana.

- A co z tobą?

- Ja byłam młodsza, w dodatku byłam tylko dziewczynką, więc powierzono mnie opiece babki. Uznano, że nie warto mnie kształcić. Czasem, gdy patrzę na mojego brata, wcale tego nie żałuję. - Treena urwała gwałtownie.

- Wybacz, siostrze mego serca! Nie chciałam mówić o sprawach, które sprawiają ci ból.

- Wiem, ale pragnę, byś mnie dobrze zrozumiała. Gdyby ojciec wrócił do domu wcześniej, gdyby nie zastąpił naszej zmarłej matki dumną Amerykanką, piękniejszą, lepiej wykształconą i pod każdym względem silniejszą od

niej, wszystko mogłoby się jeszcze jakoś ułożyć. I gdyby nie przywiózł do domu nowej córki, tak bardzo podobnej do matki, córki, którą pokochał bardziej niż swoje rodzone dzieci...

- To nieprawda.

- Ale Ahmad tak myślał, to wystarczyło. To podsyciło gniew, który go zżerał jak ogień od czasu powrotu z Afganistanu. No i wtrącanie się obcych w sprawy naszego kraju...

- Ach, mówisz o CIA.

Wszędzie powtarzano sobie pogłoski o napływie agentów oraz o pieniądzach przysyłanych z zagranicy, by wesprzeć tę czy inną frakcję biorącą udział w niekończącej się wojnie o władzę.

- I o Sowietach, Chińczykach, Pakistańczykach, chociaż ci ostatni najmniej się w tym wszystkim liczą. Ahmad obrócił ostrze swej nienawiści przeciw Amerykanom, w których widzi demony pragnące zniszczyć jego kraj. Mówię ci to, żebyś lepiej zrozumiała powody jego dawnych i przyszłych działań.

Chloe wyczuła w tych ostatnich słowach jakieś ukryte znaczenie.

- Przyszłych? - spytała z niepokojem.

- Dwa dni temu Ahmad rozmawiał w hadźrze z przyjacielem, młodym człowiekiem imieniem Zahir.

- Słyszałam, jak przyszedł.

Oczywiście Chloe nie mogła go zobaczyć, ponieważ kobiety nie miały prawa wstępu do tego pomieszczenia, kiedy podejmowano w nim gości. Tylko mężczyzn, rzecz jasna.

- Kiedy przechodziłam koło kraty, zorientowałam się, że rozmawiają przyciszonymi głosami i to zwróciło moją uwagę. Zaczęłam słuchać, mówili o pieniądzach z posagu.

Chloe wbiła w nią zdumiony wzrok.

- Co próbujesz mi powiedzieć?

- Na pewno nie dotyczyło to Ahmada, gdyż przysiągł nigdy się nie ożenić, ani o moją Urnę, gdyż jest jeszcze za mała. - Czule dotknęła policzka córki siedzącej na kolanach Chloe.

- Przecież... przecież nie może chodzić o mnie. Jestem za stara!

Obawiała się tego przez całe lata, od momentu gdy ojczym po raz pierwszy poruszył z nią temat małżeństwa. Na szczęście nie wracano już do tego, toteż z czasem uwierzyła, że jest bezpieczna.

- Tak, ale chociaż mężczyźni wolą młodsze żony, bo łatwiej je przyuczyć i ułożyć po swojemu, to i ty będziesz w cenie ze względu na swoją jasną skórę i błękitne oczy.

- Ahmad chce się mnie pozbyć...

- Dostanie za ciebie pieniądze.

- No tak, oczywiście.

- Nie martw się, moja najdroższa Chloe.

Każdy mąż, jakiego dla ciebie wybierze, pokocha cię, bo nie może być inaczej. Jesteś dobra i mądra, urodzisz mu równie mądre dzieci. I piękne, bo ty jesteś piękna. Masz oczy tak niebieskie jak góry widziane z dali i włosy miękkie jak jedwab. - Dotknęła swego brzucha, mało jeszcze wypukłego, gdyż była dopiero w czwartym miesiącu ciąży. - Dzieci będą twoją radością i pociechą, przekonasz się.

Dzieci... Chloe mocniej otoczyła ramionami drobne ciało Urny i pocałowała czubek małej główki, czując ogromną miłość do dziewczynki, której pomogła przyjść na świat, którą codziennie się opiekowała i którą zdażyła już sporo nauczyć. O posiadaniu własnych dzieci nawet nie śmiała myśleć.

- Nie mogę - rzekła nieswoim głosem. - Nie mogę tego zrobić.

Treena spojrzała na nią z lękiem, po czym wzięła Urnę i ułożyła ją do spania.

- Nie próbuj odmawiać. Widziałaś dzisiaj, co grozi za podobne nieposłuszeństwo.

- Ahmad zadbał, bym to zobaczyła, prawda?

- Właśnie.

Przykrywszy Urnę, Treena pochyliła się nad najmłodszą, zaledwie dziewięciomiesięczną córeczką. Delikatnie dotknęła dłonią maleńkiego czółka i zamarła.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Chloe.

- Jest cała rozpalona. Och, wiedziałam, że nie powinna zostawać z tą głupią służącą, bo ona tylko siedzi z założonymi rękami, gdy moja mała Anaszita pełza po ziemi i pakuje wszystko do buzi.

Chloe aż zakłęła cicho, podrywając się z miejsca. Służącą była świeżo owdowiała kobieta, która zapukała niedawno do tylnych drzwi domu, błagając o miskę strawy i kąt do spania w zamian za służbę. Ahmad zgodził się ze skąpstwa, rad z posiadania służby tak tanim kosztem, Treena zaś z litości. Pograżona w rozpacz kobieta nie wywiązywała się jednak należycie ze swoich obowiązków.

Chloe była równie przerażona jak Treena, za nic nie chciałyby utracić żadnej z trzech dziewczynek. Niestety, dzieci umierały bardzo często, ponieważ brakowało szczepionek oraz antybiotyków i nie było praktycznie żadnych leków, które pozwalałyby zwalczyć zatrucie pokarmowe i gorączkę. Kobiety rodziły dużo dzieci, ponieważ antykoncepcja została najsurowiej zakazana, ale również po to, by przynajmniej niektóre przeżyły i osiągnęły dojrzałość. Rodziły, choć porody odbywały się w prymitywnych warunkach zagrażających życiu położnic i ich potomstwa. Chloe uważała, że odwaga tych kobiet znacznie przewyższa odwagę ich despotycznych mężczyzn.

- Ismael musi natychmiast iść po lekarza.

Treena potrząsnęła głową.

- Ahmad się nie zgodzi.

No tak, nie pomyślała o tym.

- Módl się, żebyś teraz urodziła syna - rzekła z goryczą. - On będzie wart, by opłacić lekarza.

- Stare kobiety mówią, że tym razem to chłopiec, one się nie mylą. To nam pomoże! Będziemy mogły mówić, że to on jest chory i sprowadzać doktora do dziewczynek. Na razie musimy jednak radzić sobie same.

Zbudziły służącą i poleciły jej zagotować wodę, a same zaczęły łagodnie zanurzać chore dziecko w chłodnej kąpieli, by obniżyć gorączkę. Potem dodały do wrzątku soli, cukru i soku z cytryny, ostudziły go i delikatnie wlewały maleńkie porcje między rozchylone usta dziewczynki. I ani na moment nie przestawały się modlić.

Kwestia małżeństwa chwilowo poszła w niepamięć, a Chloe postanowiła na razie do tego nie wracać. Po co się martwić na zapas, może Treena coś źle usłyszała lub zrozumiała? A nawet jeśli nie, to jeszcze nic nie jest przesądzone. Wybrany przez Ahmada mężczyzna mógł nie chcieć takiej starej żony. Albo na przykład strony nie osiągną porozumienia co do wysokości posagu lub też przyrodni brat z czystej złości w ostatniej chwili zmieni zdanie. Na

razie nic nie było pewne, nic nie zostało jej oznajmione. Nie ma potrzeby rozpaczać nad okrutnym losem. Zamiast obawiać się przyszłości, lepiej skupić się na dniu dzisiejszym.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego ranka nie mogła przestać myśleć o mężczyźnie, który miał na nią czekać na bazarze. Wyobrażała go sobie, jak chodzi pomiędzy osłoniętymi płótnem straganami pełnymi kolorowych przypraw, przywiedłych warzyw, ręcznie tkanych dywanów, srebrnych i mosiężnych talerzy. Wyższy od otaczającego go tłumu, od razu rzuca się w oczy, więc zauważono by go nawet wtedy, gdyby nie chodził z gołą głową, ogolony i w zachodnich ubraniach. Jeśli zatrzyma się gdzieś z boku, oprze o mur i zacznie obserwować przechodzące kobiety, może mieć poważne kłopoty, ludzie szybko wezwą straż. Ale on pewnie nie będzie się kręcił po bazarze zbyt długo, najwyżej po godzinie wróci do swojego hotelu, a potem do swojego życia w Stanach.



Tak, słusznie postąpiła, nie przyjmując jego lekkomyślnej propozycji, w ogóle nie powinna była się nad nią zastanawiać. A jednak z każdą upływającą chwilą odczuwała coraz większy żal, który niemal pozbawiał ją tchu.

Wczesny ranek spędziła na sprzątaniu oraz zabawianiu maleńkiej Anaszity, która na szczęście powoli dochodziła do siebie. Potem włożyła do płóciennego worka potajemnie zdobyte książki, starannie zbierane ogryzki ołówków oraz trochę czystych kartek. Zawiązała sobie worek na szyi, włożyła niebieski czador. Ahmad swoim zwyczajem wyszedł z domu o świcie i pojechał do Kaszi, dokąd wzywały go obowiązki związane z dalszym umacnianiem rządów talibów. Ismael, mąż Treeny, utykający, cichy młody człowiek o oczach poety i smukłych dłoniach, wiecznie poplamionych, gdyż był złotnikiem, wkrótce uda się do rodzinnego warsztatu, gdzie wraz z bratem wyrabiał srebrne ozdoby i naczynia. Najpierw jednak będzie towarzyszył żonie podczas robienia zakupów, gdyż tego dnia Ahmad spodziewał się gości i polecił przygotować wystawną kolację. Chloe wychodziła z nimi, bo w drodze na bazar odprowadzali ją do domu, w którym miała prowadzić lekcje.

Ismael oczywiście wiedział, w jakim celu wychodziła. Był to wyjątkowy człowiek, czuły i łagodny, któremu w dzieciństwie amputowano

połowę stopy, gdyż spadając z roweru, zranił się w nogę, a w ranę wdało się zakażenie. Ostatnimi czasy błogosławił swoje kalectwo, ponieważ dzięki niemu nie wzięto go do wojska ani do straży. Nie popierał fanatycznego odłamu islamu, martwił się, że kraj popada w ruinę. Oburzało go postępowanie obecnego rządu, które doprowadziło do nałożenia na kraj sankcji ekonomicznych przez ONZ, ale równie mocno oburzała go polityka Stanów Zjednoczonych, które poprzez wprowadzenie embarga pozbawiły ludność cywilną dostępu do lekarstw i innych niezbędnych dóbr.

Nie aprobował też odebrania wszelkich praw kobietom, ponieważ Willa, jego własna matka, przedwcześnie owdowiała, ogromnie ucierpiała z powodu zarządzeń talibów. Odziedziczyła po ojcu firmę eksportową, zarządzała nią sprawnie, często udawała się w interesach do Europy Zachodniej i do Stanów. Była szykowna, światowa, energiczna, profesjonalna. Kiedy talibowie doszli do władzy, odebrano jej firmę i przekazano młodszemu bratu jej ojca, a ją samą, jak tysiące innych kobiet, zamknięto w domu i zmuszono do włożenia czadoru. Willa popadła w ciężką depresję, a od obłędu, jak sama potem mówiła, uratowało ją zaangażowanie się w działalność RAW-y. Potem wciągnęła w to również synową. Ismael nigdy nie wypowiadał się na ten temat,

nigdy nie wyraził aprobaty dla poczynań matki, żony oraz jej przyrodniej siostry, lecz też nigdy o nic nie pytał, niczemu się nie dziwił i nie zwracał uwagi na częste wizyty różnych kobiet, które o czymś szeptały z Treena i Chloe nad herbatą i orzechowymi ciasteczkami. Im mniej wiedział, tym lepiej. W razie czego mógłby utrzymywać, że pewnie spotykały się, by plotkować o zwykłych babskich sprawach.

Lekcje przebiegły jak zwykle. Dziewczynki przybywały, przyprowadzane przez kogoś z rodziny, gospodyni podejmowała gości herbatą, zaś Chloe uczyła dzieci w pokoiku z tyłu domu. Pod ręką zawsze miała Koran, gotowa przejść do recytowania sutr, gdyby niespodziewanie zjawił się ktoś niewtajemniczony. Ponieważ książki i przybory do pisania były trudno dostępne, uczyła podopieczne wszystko na pamięć, wiedząc, że bezpiecznie przechowają tę wiedzę w głowach, ponieważ tradycja ustnego nauczania była wśród Hazarów bardzo silna.

Czas mijał niezwykle szybko. Zawsze, kiedy uczyła, miała go za mało, nigdy nie udawało jej się przekazać tyle wiadomości, ile pragnęła. Tym razem też musiała zamknąć podręcznik wcześniej, niżby chciała, gdyż Treena i Ismael mieli ją zabrać do domu w drodze powrotnej z bazaru.

- Widzieliśmy go.-Oczy przyrodniej siostry błyszczały za siatką czadoru. - Tego twojego Amerykanina ze stadionu. Był na bazarze.

- On wcale nie jest mój - zaprzeczyła natychmiast i wzięła od Treeny siatki pełne melonów. - Myślisz, że was widział?

- Przez chwilę patrzył na Ismaela, lecz nie zdradził, czy go poznaje czy nie. Mnie nie poświęcił żadnej uwagi.

Chloe wychwyciła w jej głosie nutkę urazy. Tak, to jednak wciąż bolało, że kobieta w czadorze była praktycznie niewidzialna. Nikt jej nie zauważał.

- W moim kraju nie wypada przyglądać się obcym ludziom, więc dobrze wychowani ludzie tego nie robią - wyjaśniła. - W dodatku on mógł się obawiać, że w ten sposób rozgniewa Ismaela.

- Zastanawiam się, czy w ogóle nas rozpoznał...

- Na pewno. Wczoraj zdołał wyłowić mnie z tłumu w Kaszi, a mógł tego dokonać tylko wówczas, jeśli znał z widzenia Ahmada i Ismaela.

- Ale skąd?

- Nie wiem. Czy wciąż był na bazarze, gdy wychodziliście?

- O, tak! Wyglądał, jakby nawet wybuch bomby nie mógł go stamtąd przegonić.

- Raczej szybko się znudzi i pójdzie sobie.

Treena spojrzała jej prosto w oczy, zaś by to zrobić, musiała obrócić się ku niej całym ciałem, ponieważ samo obrócenie głowy niewiele dawało - przesłonięty siatką otwór w czadorze był niewielki.

- Będzie czekał. Sprawiał wrażenie rozgniewanego, lecz na pewno nie znudzonego.

- Niedobrze - mruknęła pod nosem Chloe.

- Na pewno nie chcesz się dowiedzieć, co on ma ci do powiedzenia?

- Na pewno.

Ismael, który słuchał tej rozmowy, kuśtykając przed nimi, rzucił przez ramię:

- Módl się, by Amerykanin odstąpił od chęci porozmawiania z tobą, nim Ahmad straci cierpliwość.

- Myślisz, że mój brat dowie się o jego przyjeździe?

- Bez wątpienia.

Chloe obleciał strach.

- On pewnie wyjedzie do tego czasu.

- Oby tak było!

Nie mówili już o tym więcej. Resztę dnia Chloe spędziła, prasując ubrania Ahmada, zajmując się dziewczynkami, by Treena mogła odpocząć i przygotowując wraz ze służącą kolację dla gości. Wieczorem, gdy mężczyźni spożywali posiłek w hadźrze, a Treena karmiła dzieci, Chloe zjadła w kuchni swoją, dość mizerną,

porcję jagnięciny, ryżu i warzyw, wzięła miskę z obierkami i wyszła do ogrodu.

Zachodnia strona nieba powoli gasła, odcienie różu i pomarańczy ustępowały szarościom i fioletom. Dzień się skończył, Amerykanin pewnie był w drodze powrotnej do domu. Ta myśl nieoczekiwanie wywołała w niej smutek, ponieważ mogła już nigdy więcej nie mieć żadnego kontaktu z ojczyzną, ze swoim dawnym życiem. Chyba miała prawo do odrobiny nostalgii? Ale uczucia były w tej chwili sprawą drugorzędną. Podjęła decyzję i żadne melancholijne nastroje, jakim sprzyjał zmierzch, nie mogły tego zmienić.

Ruszyła ścieżką w stronę drzew figowych rosnących pod samym murem na końcu ogrodu. Zaczynały owocować, więc podlewała je wodą po zmywaniu, jedyną, jakiej wolno jej było używać w tym celu. W rejonie Ajzukabadu deszcze padały co prawda częściej niż w reszcie pustynnego kraju, lecz wody i tak zawsze brakowało. Miasteczko leżało w dolinie rzeki Kaszi, a ponieważ osłaniały ją wysokie, pokryte śniegiem góry, panował w niej klimat subtropikalny. Korzystając z tego, Chloe starała się uprawiać jak najwięcej owoców, warzyw i ziół, jedne na grządkach rozdzielonych wąskimi alejkami, inne wzdłuż murów, które służyły roślinom za podporę. Winogrona, melony,

brzoskwinie, pomidory, fasola, papryka, ziemniaki, rzepa, marchew, cebula, groszek i kapusta wzbogacały domową spiżarnię, zioła przydawały się przy leczeniu najrozmaitszych dolegliwości, a do tego praca fizyczna utrzymywała Chloe w dobrej kondycji oraz dawała jej pretekst do częstego wychodzenia na świeże powietrze. Same korzyści.

Wysypała obierki pod figowcami, a potem zaczęła przechadzać się po wyłożonych płaskimi kamieniami ścieżkach, wrywając chwasty, a przede wszystkim wdychając świeżą woń mięty, rumianku i szaławii, która unosiła się w powietrzu, gdy jej długa, fałdzista spódnica sunęła po brzegach grządek. Odwlekała moment powrotu, gdyż w domu zawsze panowała napięta atmosfera, gdy przebywał w nim Ahmad. Wolała spokój i samotność w ogrodzie.

Kiedy zbliżała się do morwy, ocieniającej najdalszy kąt ogrodu, gdzie znajdował się drewniany stół i ławy, usłyszała szelest, a w półmroku coś się poruszyło. Przystanęła, serce w niej zamarło.

- Dobry wieczór.

Angielskie słowa i niski głos zdenerwowały ją jeszcze bardziej. Chwyciła kraniec chusty, którą przykrywała włosy i pospiesznie zasłoniła nią twarz, nim wysoki mężczyzna zdążył wyłonić się z cienia.

- Nie chciałem cię przestraszyć, ale nie miałem wyboru. Nie przyszłaś na bazar, a wolałem nie pukać do frontowych drzwi, pytając o ciebie.

Zadrżała na samą myśl.

- Jeśli ktoś odkryje twoją obecność, możesz zginąć.

- Musiałem się z tobą zobaczyć.

- A nie przyszło ci do głowy, żeby zostawić mnie w spokoju i wrócić do Stanów?

- To niemożliwe. Najpierw musimy porozmawiać.

Próbowała mu się przyjrzeć w półmroku, widziała gęste brwi, zdecydowane rysy, mocno zarysowane usta.

- Czy ja cię znam? Widziałam cię dawno temu w Stanach?

- Nie, ale ja cię znam, a raczej wiem o tobie od dawna.

- I dlatego mnie prześladujesz?

- Powiedziałem ci już, że wysłał mnie twój ojciec. Zobowiązał mnie do tego na łożu śmierci.

- Śmierci? - Głos uwiązał jej w gardle, zaczęła dygotać. Oparła się o mur, by nie upaść.

Nieznajomy milczał tak długo, jakby w ogóle nie zamierzał odpowiedzieć.

- Nie wiedziałaś? - odezwał się wreszcie.

- Nie dostałaś żadnego z listów, w których była mowa o tym, że John ma raka i lekarze nie dają mu żadnej szansy?



Bez słowa potrząsnęła głową.

- Nie miałaś więc też kontaktu z jego prawnikami?

- Żadnego - odparła z trudem. - W ogóle nie dostałam żadnego listu, odkąd się tu znalazłam. Zaklął dosadnie.

- Teraz rozumiem, czemu wczoraj spojrzałaś na mnie, jakbym był kosmitą.

- Myślałam zawsze, że tata pewnie nie zna mojego adresu.

- Znał i ciągle na niego pisał, lecz nigdy nie otrzymał odpowiedzi. Ostatnie listy były ode mnie.

Czyli Ahmad zadbał o przejęcie i zniszczenie całej korespondencji! Ogarnęła ją nienawiść, jadowita jak trucizna, a Chloe wcale się przed tym nie broniła, przeciwnie, podsycała ją w sobie, gdyż to dawało jej siłę. Nie okaże słabości ani przed przyrodnim bratem, ani przed tym obcym człowiekiem, który każdym słowem coraz boleśniej ją ranił. Nie będzie płakać.

- Wypełniłeś swój obowiązek, przekazałeś mi wieści - oznajmiła z godnością. - Odejdź stąd, zanim zrobisz coś, przez co mnie zabiją.

- Mam nadzieję, że nie jestem aż taki głupi.

- Ja też, ale to tylko nadzieja...

- Obiecałem twojemu ojcu zabrać cię stąd bezpiecznie do Stanów. I dotrzymam obietnicy.

- To niemożliwe.

- Wszystko jest gotowe. Wystarczy, że ze mną pójdziesz.

- Nie mogę - zaproponowała. - Nie mam ani paszportu, ani pieniędzy.

- Paszport dostaniesz, a pieniądze masz, bo ojciec wszystko zapisał tobie. Nie był bogaty, ale w ostatnich latach właściwie nie miał na co wydawać pieniędzy, dlatego zaczął inwestować. Bardzo korzystnie, w sumie odziedziczyłaś około pół miliona dolarów.

Przypatrywała mu się w osłupieniu. Z jej perspektywy była to zawrotna suma, gdyż w Hazaristanie roczne zarobki stanowiły równowartość około dwóch tysięcy dolarów. Jeśli Ahmad dowie się o jej spadku, nigdy jej stąd nie wypuści.

Ale przecież on już wiedział, skoro adresowane do niej listy trafiały w jego ręce! Na pewno ktoś mu je tłumaczył. To dlatego koniecznie chciał ją wydać za męża. Jako panna wciąż pozostawała obywatelką amerykańską, która miała prawo do otrzymania spadku i wyjazdu z kraju, gdy tylko zdobędzie na to środki. Gdyby jednak została czyjąś żoną, stałaby się nikiem, kompletnie bezwolną istotą, a cała scheda po ojcu trafiłaby w ręce męża. Ahmad nie mógł sam jej poślubić, by położyć łapę na pieniądzach, gdyż Koran zabraniał związków między przyrodnim rodzeństwem, lecz wystarczyło mu wydać ją

za jednego ze swoich podkomendnych, a potem podzielić się łupem.

- Doceniam trud, jaki sobie zadałeś, żeby do mnie dotrzeć, ale nie wydaje mi się, bym mogła skorzystać z tej propozycji.

Wziął się pod boki.

- Słucham?

Chloe spostrzegła poniewczasie, że jej odmowa zabrzmiała mało przekonująco, gdyż z przyzwyczajenia sformułowała ją w typowy dla tutejszych kobiet uniżony sposób. Spróbowała ponownie.

- Moje życie jest tutaj. Mam tu przyjaciół i obowiązki, których nie mogę zostawić.

- Tak, wiem, że tkwisz po uszy w czymś, co mogłoby cię wpędzić w niezłe kłopoty.

Znał jej powiązania z RAW-ą?

- Skąd o tym wiesz? - spytała ostro.

- Mam swoje sposoby.

Wolała się nie zastanawiać, jakie.

- W takim razie powinieneś mnie rozumieć.

- Staram się, ale naprawdę trudno pojąć, czemu chcesz zostać w kraju, w którym kobiety traktuje się jak śmiecie.

- To nie jest kwestia tego, czego chcę, lecz tego, co powinnam zrobić - rzekła z irytacją, gdyż Amerykanin mówił do niej tak, jakby nie wiedziała, co dla niej dobre. - Te kobiety ocaliły mnie, stały się moją rodziną. Jestem tu potrzeb-

na, bo trzeba przekazywać dziewczynkom wiedzę o świecie, by nie stały się niewolnicami mężczyzn. Muszą wiedzieć, że istnieją kraje, gdzie kobiety są wolne, mogą chodzić, gdzie chcą, mówić, co chcą, ubierać się, jak chcą. Mam tu tyle do zrobienia, mam...

- Misję? - podsunął, gdy urwała, szukając słów.

- Można to i tak nazwać.

- A jeśli cię zabiją?

- Może moja działalność zdoła zainspirować kogoś innego, kto zajmie moje miejsce.

- Ach, czyli warto zginąć na posterunku?

Słyszając ironię w jego głosie, Chloe zrozumiała, że tak naprawdę mówią różnymi językami. Ten człowiek nie pojmował, że poddanie się reżimowi oznaczało powolną śmierć duszy, zaś walka z nim dodawała kobietom skrzydeł.

- Nie zrozumiesz tego, bo jesteś mężczyzną.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Owszem, ma - orzekła twardo. - Nigdy nie nosiłeś czadoru, który cię ogranicza, w którym ci gorąco i duszno, który robi z ciebie bezkształtną istotę i odbiera ci twarz. Nigdy cię nie pobito za odsłonięcie kawałka skóry ponad kostkę łub nadgarstek. Nie wiesz, jak to jest, gdy twoje osobiste rzeczy i pamiątki zostają zniszczone, gdy nie wolno ci jadać z mężczyznami, jakby mogli się od ciebie czymś zarazić, gdy nie wolno

ci mieć własnego zdania, własnych pragnień i planów. W tym kraju mężczyźni zamknęli kobiety w więzieniu. Czułabym się jak ostatni tchórz, gdybym stąd uciekła.

- Czyli chcesz zostać męczennicą?

- Najpierw żądasz wyjaśnień, a potem ich nie słuchasz. Jedyne odpowiedzi, jakiej oczekujesz od kobiety, to: „Tak, masz rację, zrobię, jak mówisz”. Wszyscy jesteście tacy sami!

- Bardzo nas nie lubisz, prawda?

- Nie rozmawiamy o moich uczuciach — ucieła.

Nie mogłaby powiedzieć o sobie, że nie lubi mężczyzn. Raczej im nie ufała.

- Ale nie możesz ich zignorować. Jesteś Amerykanką, urodziłaś się w Stanach, nie przynależysz tutaj. Mam wrażenie, że zaślepiła cię nienawiść i to ona każe ci lekceważyć własne bezpieczeństwo.

- Aha, wywnioskowałaś to na podstawie dwóch krótkich spotkań?

- To w takim razie czemu tak niemądrze upierasz się przy zostaniu w tym niebezpiecznym kraju, skoro możesz wrócić tam, gdzie jest twoje miejsce?

- Moje miejsce? Nie mam rodziców, dziadkowie też już pewnie nie żyją, przyjaciele dawno o mnie zapomnieli. Nie mam do kogo wracać,

- Nie wspomniała o swojej obawie, że nie

umiałyby z powrotem wtopić się w zachodnie społeczeństwo, gdyż za bardzo się zmieniła.

- Tu zaś mam osoby, które są mi bliskie.

- Jeśli martwi cię brak rodziny, to klan Benedictów powita cię z otwartymi ramionami, a jest naprawdę bardzo duży, zapewniam cię.

- Rozumiem, że masz na nazwisko Benedict? Tak?

- Tak. Jestem Wade Benedict. Właściwie powinienem był przedstawić się wcześniej, ale słyszałem o tobie od tak dawna i tak wiele o tobie ostatnio myślałem, że uznałem to za zbędne.

- Myślałeś o mnie? - spytała z prawdziwym niedowierzaniem.

- Dzień i noc, odkąd obiecałem Johnowi sprowadzić cię z powrotem do kraju. To wcale nie takie proste, powiem ci. Musiałem ustalić, czy rzeczywiście mieszkasz pod adresem, jaki znał twój ojciec, a już to wymagało sporo zachodu. Znając sytuację kobiet w tym rejonie i zważywszy brak kontaktu z tobą, założyłem, że możesz być tu przetrzymywana wbrew twojej woli, trzeba więc było rozpoznać teren, przewidzieć trudności, zaplanować twoją ucieczkę, a potem przygotować ją krok po kroku.

Parsknęła cichym śmiechem.

- Mówisz, jakby to była operacja wojskowa.

- Bez mała tak to wyglądało. Próbuję ci uświadomić, że sytuacja jest trudna, a czasu jest

mało, więc byłbym wdzięczny, gdybyś wykazała więcej chęci do współpracy. W tej chwili jestem w stanie sprawnie wywieźć cię z tego kraju.

Zdumienie Chloe wzrosło jeszcze bardziej, gdyż zdażyła już przywyknąć do tego, że jest istotą pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia, tymczasem ktoś zadał sobie dla niej tyle trudu!

- Skorzystałem z pomocy przyjaciela, który pracuje w wywiadzie. Twój przyrodni brat ma bardzo mocną pozycję wśród talibów i dlatego nie będzie chciał cię wypuścić, bo jesteś Amerykanką, czyli wrogiem. Omawiałem to wszystko jeszcze z Johnem.

Aż potrząsnęła głową.

- Że też wam się chciało robić sobie tyle kłopotu!

- O czym ty mówisz? Byłaś ukochanym dzieckiem Johna, jego oczkiem w głowie. Opowiadał ludziom o tobie, pokazywał twoje zdjęcia. Czasem rozkładał je na stole i rozmawiał z tobą, zalewając się przy tym w trupa, żeby się znieczulić.

- Przestań!

Milczał przez jakiś czas.

- Chciałem tylko, żebyś zrozumiała, skąd tyle o tobie wiem i czemu tu jestem. Na pewno nigdy o mnie nie słyszałaś?

Już miała zaprzeczyć, gdy nagle coś jej się przypomniało.

- Kiedyś latem wynajmowaliśmy z tatą taki drewniany domek nad jeziorem w Luizjanie i nie jestem pewna, czy właściciele kempingu nie mieli na nazwisko Benedict.

- Dokładnie tak, złotko! - Uśmiechnął się.

- W ostatnich latach zawsze u mnie mieszkał, kiedy zjawiał się w Stanach pomiędzy wyjazdami na kolejne kontrakty.

- Nie dziwię mu się, tam było tak cudownie. Czyli to ty jesteś tym przyjacielem, który wtedy bawił za granicą i wypożyczył nam domek! Tata wspominał o tobie, ale nie znałam twojego imienia, bo zazwyczaj mówił...

- Ten cholerny mały Benedict?

Chloe była zaskoczona autoironią brzmiącą w jego głosie, gdyż nie przywykła, by mężczyźni żartowali z siebie samych. W Hazaristanie było to nie do pomyślenia.

- Pewne nie chciał się przyznać, jak bardzo cię lubi - wyjaśniła.

Zakłopotany, wzruszył ramionami.

- Poznaliśmy się, gdy pierwszy raz pojechałem na pole naftowe uczyć się pracy przy odwiertach. Byłem świeżo po college'u, oczywiście okropnie mądry i honorowy. John pilnował, żebym nie narobił sobie kłopotów. A przynajmniej się starał...

- Przyjechałeś więc tutaj, bo masz dług wdzięczności wobec mojego ojca?



- Nawet nie w tym rzecz - odparł, ale nie zdradził, w czym. - Wracając do mojej rodziny, o której zacząłem ci mówić... Mam dwóch żonatych braci, czterech ulubionych kuzynów, z którymi jestem bardzo blisko i ze dwa tuziny dalszych, a wszyscy dają się lubić. Jeśli brakuje ci rodziny, Benedictowie staną na wysokości zadania, będziesz mogła w nich przebierać. Oczywiście nie musisz zostawać z nami w Luizjanie, zamieszkas, gdzie tylko zechcesz.

Właśnie o czymś takim marzyła. Dawniej. Teraz to było niemożliwe.

- Bardzo dziękuję, ale nie wrócę z tobą, już ci to powiedziałam.

- Co ty mówisz, przecież...

- No tak, jestem tylko kobietą, więc co ja mogę wiedzieć? Ty to co innego, ty doskonale...

Wyciągnął rękę i położył palec na jej ustach, zakrytych chustą. Chloe zaniemówiła, a w zapadłej nagle ciszy usłyszała dźwięk, który go zaalarmował - skrzypnięcie drzwi.

Wadę spojrział na nią pytająco, a gdy skinęła głową, zabrał rękę i przesunął się bezszelestnie, stając przed Chloe, by ją sobą zasłonić, gdyż on był ubrany na czarno, ona zaś na jasno. Stali oboje bez ruchu w cieniu morwy.

W oświetlonym prostokącie drzwi pojawiła się zwalista sylwetka Ahmada. Chloe zeszywniała, spodziewając się reprimendy za zbyt

długie przebywanie na zewnątrz. Nic podobnego jednak nie nastąpiło, Ahmad wcale jej nie szukał. Stał w rozkroku przed rabatą, rozpiął spodnie i ulżył sobie, bo jako gospodarz wypił już wiele filiżanek herbaty tego wieczoru. Nagminnie załatwiał się w ogrodzie, gdyż było to ulubione miejsce Chloe.

Kiedy skończył, zawiązał troczki spodni, odwrócił się i wszedł do domu, zamykając za sobą drzwi, a Chloe znów została sama z Wade'em. Przez kilka długich chwil trwali bez ruchu. Czuła lekki powiew wiatru, który poruszał liśćmi nad ich głową, delikatną woń jaśminu i rozgniecionych ich stopami owoców morwy, czuła też ciepło emanujące z ciała mężczyzny stojącego tuż przed nią - tak bardzo blisko. Wystarczyłoby odrobinę wyciągnąć rękę, by go dotknąć i Chloe nagle zapragnęła to zrobić, zapragnęła tego tak mocno, że aż musiała z całej siły zwinąć dłonie w pięści, by nie ulec pokusie.

- Mało brakowało - szepnął, odwracając się.

Chloe dopiero teraz zaczęła dygotać ze zdenerwowania.

- Tak - odpowiedziała.

Wadę wykonał gest, jakby chciał jej dotknąć, lecz rozmyślił się w ostatniej chwili.

- Jeśli on aż tak cię przeraża, to pewnie chcesz uciec od niego jak najdalej.

Zacisnęła usta. Nie będzie mu więcej nic

tłumaczyć, to czysta strata czasu. Powinna pozbyć się go jak najszybciej, zanim wszystko się wyda i dojdzie do katastrofy.

- Muszę to przemyśleć, daj mi trochę czasu.
- Ile? - spytał nieufnie.
- Przyjdę na bazar pojutrze przed południem.
- Czemu nie jutro?
- Ponieważ nie mogę wychodzić z domu, kiedy mi się podoba. Staram się uczyć dwa dni w tygodniu. Jeśli nie dam rady przyjść pojutrze, to przyjdę dzień później. Jeśli i wtedy się nie zjawię, znaczy, że zostaję tutaj.
- Chwileczkę!...zaprotestował.
- Nic więcej nie mogę ci obiecać.
- I co? Znowu będę czekał na próżno?
- Jeśli nie przyjdę, to będzie oznaczało, że nie mogę wyjechać.
- A może wolisz znane niebezpieczeństwo od nieznanego?

Uniosła brwi.

- Co to miało znaczyć?
- Przywykłaś do tego koszmaru, bo mieszkasz tu od lat. Praktycznie nie musisz się zastanawiać nad tym, co masz robić, twoje życie toczy się niezmiennym rytmem. Za to w Stanach będziesz musiała stać się samodzielna i nieustannie decydować o sobie. Jesteś jak więzień, którego przeraża powrót do świata i odzyskana wolność.

- Przecież wyjaśniłam ci, co mnie tu trzyma.
- Tak, ale czy to prawdziwy powód? A może tylko pretekst? Szkoda cię na takie życie, mogła-byś jeszcze zrobić wiele dobrego.

Wyprostowała się dumnie, choć sięgała mu ledwie do brody.

- Myśl sobie, co chcesz. Znasz moją odpowiedź. Jeśli nie dasz mi tych trzydziestu sześciu godzin, to od razu załóż, że nigdzie nie jadę.

Zaklął, wykonał gwałtowny gest zwiniętą w pięść dłońią. Chloe drgnęła nerwowo, a Wade natychmiast opuścił rękę.

- Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety i nigdy tego nie zrobię.

Zrozumiała, że to był tylko gest świadczący o jego desperacji.

- Wcale cię o to nie podejrzewam, zareagowałam odruchowo.

- Wiem, do diabła! Ale skoro tak się boisz, to czemu... - Zacisnął wargi, odwrócił się plecami, zły i urażony w swojej dumie.

- Przepraszam.

- O, Boże, nie przepraszaj, to jeszcze pogarsza sprawę. - Przez chwilę patrzył w milczeniu na szeleszczące nad ich głowami liście. - Nieważne. Pojutrze rano masz być na bazarze, słyszysz?

- A jak nie?

- Słuchaj, nie przyjechałem tu na wycieczkę krajoznawczą, moim zadaniem jest wyrwać cię z tego przekłętego miejsca, więc zabiorę cię z sobą bez względu na wszelkie przeszkody.

To zabrzmiało jak groźba.

- Co to niby miało znaczyć?

On jednak nie odpowiedział, tylko wziął krótki rozbieg, podskoczył, chwycił oburącz za konar morwy, rozhuśtał się, wskoczył na mur jak kot i po chwili znikł.

Chloe znów znajdowała się w ogrodzie zupełnie sama, za całe towarzystwo miała jedynie własne obawy, niepokój i żal.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wade Benedict stał pod kamiennym murem, aż usłyszał, jak drzwi otwierają się i zamykają z powrotem, co znaczyło, że Chloe znalazła się w domu, szczęśliwie nie ponosząc żadnych konsekwencji ich dość długiej rozmowy. Dopiero wtedy ruszył w stronę hotelu, znajdującego się w centrum miasta.

Przemykał się bocznymi uliczkami, czujnie i szybko. Obowiązywała godzina policyjna, więc gdyby go złapano, skończyłby w więzieniu lub nawet z rozwaloną czaszką, bo nienawiść do Amerykanów była bardzo silna. Równie dobrze ktoś mógł go zaatakować, żeby zwędzić mu portfel. Mimo karania złodziei obcinaniem prawych dłoni, kradzieże zdarzały się często, gdyż wielu ludzi naprawdę nie miało za co żyć i dawno przestało bać się ryzyka.

Ostatnie chwile rozmowy z Chloe wstrząsnęły nim. Naprawdę spodziewała się ciosu, co zdradzało aż nadto wyraźnie, jak wyglądała jej codzienność. A on musiał ją zostawić w tym przeklętym domu jeszcze na całych trzydzieści sześć godzin! Cała jego natura buntowała się przeciw temu. Dzięki informacjom wywiadu znał i przeszłość Ahmada, i jego obecną działalność. Wade wiedział o tym, jaką indoktrynację przeszedł ten człowiek u fanatycznych mułłów, którzy uważali kobiety za grzeszne, nieczyste istoty, stojące o wiele niżej od mężczyzn, zaś Amerykę za źródło wszelkiego zła i zepsucia. To dlatego Ahmad uznał powtórne małżeństwo swego ojca za zdradę oraz hańbiącą plamę na honorze rodziny i w rezultacie pozbył się macochy, zlecając zamordowanie jej pod nieobecność Imama. Do tego najprawdopodobniej był powiązany z terrorystami z al-Kaidy.

Wade nie miał pojęcia, ile z tego wiedziała lub podejrzewała Chloe. Była ogromnie skryta, zważała na każde słowo, niczego po sobie nie zdradzała, nikomu nie ufała. Zdawała sobie sprawę z grożących jej niebezpieczeństw, lecz zżyła się z nimi i lęk nie paraliżował jej przed działaniem. Zdaniem Johna nawet jako dziecko była bardzo dzielna. Wade podziwiał jej odwagę, lojalność wobec przyjaciół oraz działania

dla dobra innych, a jednocześnie wściekał się z powodu jej odmowy.

Wcale mu się nie podobała ta zwłoka, ponieważ przypominała mu o innej sytuacji, gdy musiał czekać, o innej próbie uwolnienia zakładnika, o innej kobiecie. W dodatku nie tylko on był zaangażowany w tę operację, a pozostali mieli ważniejsze rzeczy do roboty, niż czekać, aż Chloe się namyśli.

Znajdował się niedaleko hotelu, gdy ujrzał kobietę, która sunęła ku niemu jak duch z dłonią wysuniętą w proszącym geście. Nie zatrzymała się jednak przed Wade'em, lecz otarła się o niego, dotykając jego krocza drugą ręką, ukrytą w fałdach czadom. Nie pierwszy raz zaczepiała go prostytutka, lecz jeszcze żadna nie zrobiła tego w równie dziwny sposób. Nawet, gdyby zdarzało mu się korzystać z podobnych usług, to i tak nie umiałby zrobić tego z kobietą pozabawioną twarzy, kobietą, której nie mógłby zobaczyć.

- Nie - rzucił ostro.

Odskoczyła i znikła tak szybko, że aż poczuł wyrzuty sumienia, gdyż naprawdę nie chciał jej przestraszyć. Ona i tak musiała być przerażona i zdesperowana. To mu przypomniało, że Chloe potraktował równie szorstko. Specjalnie zarzucił jej lęk przed życiem na wolności, by sprowokować ją do pójścia z nim lub przynajmniej



wyrażenia takiej chęci. Sztuczka się nie powiodła i za to też czuł podziw, choć podszyty irytacją, dla tej dziewczyny.

Warto było zaryzykować i zakraść się do jej ogrodu, choćby po to, by ujrzeć ją wreszcie bez czadoru, czyniącego z niej bezkształtną istotę. Patrzył, jak dumnym krokiem chodziła pośród rabat, w niczym nie przypominając niewolnicy czy więźniarki. Niestety, nadal nie wiedział, jak wygląda jej twarz, gdyż Chloe błyskawicznie zakryła ją wyuczonym gestem. Intrygowało go ogromnie, co wyrosło z bystrookiej dziewczynki, uśmiechającej się tak cudownie ze zdjęć Johna. Oczywiście Wade nie należał do tych beznadziejnych romantyków, którzy zakochują się w osobie z fotografii, po prostu był ciekaw, czy słusznie ocenił, że ta mała ma zadatki na ślicznotkę. Gdy ujrzął ją w czadorze, jego pragnienie zobaczenia jej jeszcze wzrosło. Wiadomo, zakazany owoc, tajemnica i inne romantyczne bzdury.

Nagle spostrzegł nieopodal błysk latarki, usłyszał ciężkie kroki i chwilę później z ciemności wyłoniły się sylwetki dwóch strażników, od niechcenia wymachujących palkami. Błyskawicznie znikł w wylocie pobliskiej alejki, przycisnął się plecami do muru, jakby chciał się w niego wtopić, sięgnął dłonią do ukrytej pod pachą kabury, rozpiął ją, ujął kolbę pistoletu. Jego

ruchy były bezszelestne, precyzyjne, naturalne, wykonywał je już tysiące razy. John Madison zlecił mu zadanie wyrwania Chloe z piekła właśnie dlatego, że Wade pracował kiedyś w ochronie korpusu dyplomatycznego i był świetnie wyszkolony. Ponadto John potrzebował kogoś, komu mógł bezwzględnie zaufać, kogoś, kto nie wykorzysta sytuacji. I jego córki.

Kroki zbliżały się. Na skutek długiego treningu myśli i emocje Wade'a wyłączyły się, stał się cały wyostrzonym wzrokiem, napiętym słuchem, zimną, stalową wolą. Drapieżnikiem gotowym do skoku. Oczywiście nigdy nie padło ani jedno słowo na temat zabicia kogokolwiek, gdyby nie dało się inaczej wyrwać Chloe z Hazaristanu, co nie znaczyło, że taka ewentualność nie została wzięta pod uwagę i milcząco zaaprobowana. Wade umiałby zabić, gdyby musiał, lecz wolałby tego uniknąć.

Mężczyźni rozmawiali, jeden z nich roześmiał się, przypominając tym samym Wade'owi, że jest nie tylko funkcjonariuszem reżimu, ale przede wszystkim człowiekiem. Na szczęście zajęci rozmową strażnicy nawet nie spojrzeli w mroczną alejkę. Gdy się oddalili, Wade odetchnął głębiej, schował broń z powrotem w kaburze, na wszelki wypadek wyszedł drugim końcem alejki i najszybciej, jak tylko mógł, udał się do hotelu.

Sprawdził godzinę. Niezbyt stosowna pora, by dzwonić do kogoś na drugiej półkuli. Wy-rwałby swego starego kumpla i dawnego pracodawcę, szefa specjalistycznej agencji, z głębokiego snu. A właściwie co to szkodzi? Wzruszył ramionami, sięgnął po leżący w nogach łóżka skórzany futerał, wyjął telefon satelitarny, włączył go, wybrał numer. Nat Hedley odebrał dość szybko, trochę zaspany, lecz poza tym całkiem przytomny. Wade, nie tracąc czasu na głupstwa, z miejsca zrelacjonował sytuację, opisując problem i wynikające z niego opóźnienie.

- Do licha, Wade, gdzie się podział legendarny urok Benedictów? Myślałem, że na dźwięk tego twojego głosu podlanego księżycowym blaskiem i zapachem róż każdej babce spadają majtki góra po dziesięciu sekundach.

- Ta nie nosi majtek, więc nie ma jej co spadać.

- O, zdążyłeś sprawdzić?

- Wyciągnij z formaliny tę szarą maź, którą nazywasz mózgiem i włóż ją sobie na miejsce. Już? Tu się po prostu nie nosi takiej bielizny jak u nas. W dodatku ta dziewczyna jest niechętnie nastawiona do mężczyzn.

- Chcesz powiedzieć, że woli...

- Nie w tym rzecz - przerwał mu pośpiesznie. - Zbyt długo mieszkała w tym kraju, nie przywykła do takich kontaktów.

- Co więc zamierzasz zrobić?

- Na razie czekam. Oczywiście o ile możesz dać mi gwarancję, że nasz transport będzie aktualny również za dwa dni.

- Załatwione. A co, jeśli ona nie zmieni zdania? Sytuacja staje się coraz bardziej niestabilna. W Waszyngtonie wciąż jeszcze przeważa zdanie „gołębi”, ale jak wiemy, nic nie trwa wiecznie. Spragnione wojny „jastrzębie” powoli, lecz skutecznie umacniają swoją pozycję, a jeśli wygrają, to lada dzień zaczną się bombardowania Kaszi i Ajzukabadu.

- Niezależnie od tego, co postanowi Chloe, i tak zawiozę ją do domu, bo obiecałem to jej ojcu. Zawsze dotrzymuję złożonych obietnic.

- Rozumiem, ale skoro ta dziewczyna już i tak nie przepada za facetami, to co będzie czuła, jak ją przetrzucisz do Stanów wbrew jej woli?

- Wdzięczność? - podsunął Wade.

- Nie liczyłbym na to. Z mojego doświadczenia wynika, że im więcej zrobisz dla kobiety, tym mniej wdzięczności ci okaże. Aj! Maggie, no co ty? Kobieto, przestań!

Wade uśmiechnął się, gdy dobiegły go głuchoe odgłosy, jakby wierna towarzyszka życia Nata Hedleya zaczęła go równo okładać poduszką. Kiedy w słuchawce nieco przycichło, Wade odezwał się:

- Nie obchodzi mnie, jak będzie się czuła Chloe Madison. Przede wszystkim znajdzie się w bezpiecznym miejscu, a to najważniejsze.

Jego przyjaciel musiał sromotnie przegrać bitwę, gdyż w słuchawce rozległ się zdecydowany damski głos.

- Słuchaj no, Benedict, obchodź się z tą dziewczyną łagodnie i cierpliwie. Już wystarczająco dużo ludzi narzucało jej swoją wolę przez te wszystkie lata.

- Maggie, nie zostawię jej tutaj. Nie mogę.

- Czemu? Bo dałeś słowo?

- Tak. Obiecałem to jej ojcu.

- Ale ona nie prosiła cię o składanie żadnych obietnic ani o zabranie jej stamtąd. A jeśli postanowi zostać, to co? Honor Południowca okaże się ważniejszy od jej decyzji?

- Nie masz pojęcia, co się tutaj dzieje. Kobieta jest niczym, rozumiesz? Niczym! Mężczyzna może zrobić z nią dosłownie wszystko, co mu się podoba i ujdzie mu to na sucho. Zostawienie Chloe w tym kraju to niemal pewne skazanie jej na śmierć. A nawet coś gorszego.

- Czekaj, czy ja dobrze rozumiem? Gryziesz palce ze zdenerwowania na myśl, co może przytrafić się kobiecie, którą dopiero poznałeś?

Znał Maggie od lat i lubił ją ogromnie, choć miała upiorny dar bezbłędnego odnajdywania najsłabszego punktu u każdego z tych twardzieli,

którzy pracowali dla jej męża. Wade już dawno nauczył się - a była to lekcja krótka, lecz bardzo bolesna - nie polemizować z Maggie, zwłaszcza gdy ta wpadła w bojowy nastrój.

- Można tak powiedzieć.
- Pewnie niezła laska, co?
- Nie mam pojęcia, ale na zdjęciach z dzieciństwa wyglądała na fantastyczną małą.
- Boże, jest gorzej, niż myślałam!
- Maggie, daj spokój - poprosił.
- W takim razie zabieraj ją do domu, choćby i siłą, jeśli nie da się inaczej. Ale skoro już uważasz się za dżentelmena, to przynajmniej tak się zachowuj, nawet jeśli to wydaje ci się niewykonalne.

- Rozkaz! - huknął słuźbiście.

Maggie zaśmiała się i oddała słuchawkę mężowi. Wade ustalił z Natem jeszcze kilka szczegółów, po czym rozłączył się, schował telefon do futerału, a ten z kolei wrzucił do torby podróżnej. Po chwili zastanowienia wyłowił z niej konserwę mięsną i suchary, ponieważ nic nie jadł od czasu, gdy wyruszył, by zaczaić się na Chloe w jej ogrodzie. Od tamtej pory upłynęło już ładnych kilka godzin, więc jego żołądek słusznie zaczynał domagać się swoich praw.

Był to dla Wade'a kolejny posiłek z puszki, lecz nie przeszkadzało mu to zbytnio. Po pierwsze nigdy nie przywiązywał jakiegś nadmiernej

wagi do kwestii jedzenia, po drugie w sumie wygodniej było mu zjeść cokolwiek w pokoju hotelowym, niż szukać restauracji. Po trzecie znajdował się w kraju, w którym brakowało żywności, więc wołał się nawet nie zastanawiać, jakie mięso by mu podano. Chociaż nie należał do wybrednych, miał jednak pewne zasady.

Otworzył puszkę, nałożył mięso na suchara, wbił w niego zęby niczym wygłodniały wilk. Nie przerywając jedzenia, wolną ręką rozwiązał sznurowadła, ściągnął buty. Nim skończył swój żołnierski posiłek, który popił przegotowaną wodą z manierki, zdążył rozebrać się do końca, więc mógł od razu wejść pod prysznic.

Ponieważ zupełnie nie odczuwał sennaści, a w pokoju hotelowym nie było telewizora, wyjął z torby dossier Armada oraz kilku innych przyjemniaczków i zagłębił się w lekturze, spędzając na niej następną godzinę. Zdecydowanie nie były to bajki do poduszki. Wade doszedł w końcu do wniosku, że mimo religijnych haseł talibowie przypominają mu członków gangu motocyklowego - napakowanych testosteronem, lubiących siać postrach i popisywać się władzą. Typowe, że wyżywali się na kobietach, bo to było najłatwiejsze. Takie zachowanie wywoływało w nim najgłębszą odrazę, gdyż jemu z kolei wpojono szacunek dla płci przeciwnej, zgodnie z najlepszymi tradycjami Południa.

Kiedy skończył czytać, znacznie lepiej rozumiał gniew i nienawiść Chloe Madison, ponieważ on też bezwiednie zaciskał pięści, pragnąc komuś zdrowo przyłożyć. Jedno było pewne, za żadne skarby świata nie zostawi jej wśród tych psychopatów.

I znowu przyśnił mu się ten sen, jak zwykle rozpoczynając się od sekwencji tańca.

*Wystawny bankiet w ambasadzie, przyjemnie chłodna noc, jak większość nocy w pustynnych krajach Bliskiego Wschodu, w tle muzyka na żywo, nie za głośna, pozwalająca na swobodne rozmowy, od plotek i flirtów poczynając, na poważnych zabiegach dyplomatycznych i omawianiu wielomilionowych kontraktów kończąc. Elegancki wystrój sali, zapach kwiatów, dań, trunków, blask kryształowych żyrandoli prawie przyćmiony blaskiem biżuterii, choć kobiet nie ma aż tak wiele. Wade akurat nie jest na służbie, ale jak zwykle w takich przypadkach zjawia się na bankiecie jako funkcjonariusz rezerwowy. Swoim zwyczajem prawie wtapia się w ścianę, jest więc zaskoczony, gdy młoda i olśniewająca żona podstarzałego teksańskiego nafcjarza bierze go pod ramię, i wyciąga na środek parkietu. Wypiła za dużo szampana, może po to, by zapomnieć o swoich smutkach, uśmiecha się, lecz jej oczy są pełne bólu. Oplata ramionami szyję Wade'a i pokłada się na nim jak więdnąca*



*lilia, a on nie ma serca jej odepchnąć, głównie dlatego, że dziewczyna bezgłośnie pochlipuje na jego ramieniu. Obraca się z nią w tańcu i nagłe podchwytuje wzrok jej męża, który przygląda im się ponuro.*

*Wacie jest we wnętrzu zbudowanego z gliny domu na skraju jakiegoś miasteczka. Ekstremiści przetrzymują tu wicekonsula, porwanego z jego prywatnego samochodu, gdy jechał bez obstawy boczną drogą, na której w ogóle nie powinien był się znaleźć. Zona nafciarza, która na owej bocznej drodze również nie powinna była się znajdować, też jest uwięziona w tym miejscu. Wade właśnie unieszkodliwił człowieka trzymającego straż z tyłu domu i drugiego, stojącego u wejścia do izby z zakładnikami, pozostali terroryści niedawno zaczęli jeść kolację we frontowej izbie, są głodni, ponieważ trwa ramadan, pościli przez cały dzień. Pochłonięci posiłkiem, nie zwracają na nic uwagi, idealny moment na przeprowadzenie operacji. Wade ma dokładnie trzy minuty na uwolnienie przetrzymywanej pary i wyprowadzenie jej na zewnątrz. Tyle wystarczy. Po trzech minutach do środka wpadną funkcjonariusze ochrony pod komendą Nata Hedleya i zgarną wszystkich obecnych.*

*Wade zakrada się bezszelestnie do ciemnej izby, gdzie na podłodze leżą dwie skrupowane i zakneblowane osoby. Obowiązek nakazuje naj-*

*pierw ratować pracownika ambasady. Wysoki, szczupły mężczyzna, zazwyczaj nieznośnie arogancki, jest na tyle bystry, że po przecięciu więzów nic nie mówi, tylko czeka na instrukcje. Wade obraca się do zakładniczki, widzi twarz z rozmazanym makijażem zastygłą w maskę przerażenia i bólu. Dziewczyna została związana w bardziej okrutny sposób, jej ciało jest wygięte do tyłu w łuk, nie uda jej się więc opuścić budynku na własnych nogach. Wade uwalniają z więzów, dłonią zakrywa jej usta, tłumiąc jęk. Podnosi, dziewczynę, przyciska do swego boku, podtrzymując mocno ramieniem, drugą ręką trzyma odbezpieczony pistolet, kiwa nim na mężczyznę, wskazując, by szedł za nim. Zawraca.*

*Pada komenda ataku i pierwszy strzał. Za wcześnie! Coś poszło nie tak, więc Wade przyspiesza, praktycznie ciągnie zakładniczkę przez wąski korytarz. Wyjście blokuje mężczyzna, rozlegają się strzały, kule trafiają dziewczynę, smukłe ciało wygina się gwałtownie do tyłu, Wade czuje na sobie wilgoć i ciepło jej krwi. Strzela do napastnika. Eksplozja w głowie, pomarańczowo-czerwony wybuch. Potem zapada ciemność.*

*Poderwał się gwałtownie do pozycji siedzącej, otworzył oczy. Z trudem łapał oddech. W głowie mu pulsowało. Blizna na lewym boku i ukryty pod włosami ślad po postrzale na lewej*

skroni zdawały się boleć, choć nie miały prawa. Oparł łokcie na kolanach, przycisnął dłonie do powiek. Po kilku chwilach opuścił ręce i otrząsnął się jak pies.

Już od dawna nie śnił mu się ten koszmar, ale swego czasu dręczył go co noc, i to przez kilka miesięcy, aż wreszcie przestał. Nic dziwnego, że po latach nagle wrócił, przecież Wade ponownie miał za zadanie uratować kobietę, więc dręczyła go podświadoma obawa, że to się skończy tak samo.

Kiedy próbowano ustalić przyczynę śmierci zakładniczki podczas próby odbicia, Wade'a przesłuchano w szpitalu, tłumaczył wtedy, że funkcjonariusze ochrony korpusu dyplomatycznego nie popełnili żadnego błędu, ponieważ nikt nie mógł przewidzieć, że teksański narciarz wydał wyrok na swoją żonę, która lubiła prosić do tańca zupełnie obcych mężczyzn. Jeszcze przez wiele miesięcy Wade bez końca roztrząsał przebieg zajścia, zastanawiając się, czy mógł postąpić inaczej i co należało uczynić, by jednak uratować zakładniczkę.

Ostatecznie dochodzenie utknęło w martwym punkcie, chociaż Nat Hedley robił, co tylko w jego mocy. Nigdy nie zdołano ustalić, kto krzyknął, prowokując atak, i kto zabił dziewczynę. Wicekonsul niczego nie widział, gdyż po pierwszym wystrzale od razu rzucił się na zie-

mię. Nikt się nie palił do tego, by oskarżać bogatego, a przede wszystkim niezmiernie wpływowego obywatela o wydanie wyroku śmierci na własną żonę. Ciało odesłano do Stanów, gdzie zostało poddane kremacji. Tydzień później nafciarz popełnił samobójstwo. Sprawa została umorzona i nie udało się doprowadzić do jej wznowienia.

Wade zwolnił się na własną prośbę i wrócił do pracy na polach naftowych. Dwa lata później Nat również porzucił dawną robotę i założył współpracującą z policją i innymi służbami agencję, specjalizującą się w uwalnianiu zakładników, ofiar porwań dla okupu oraz obywateli amerykańskich przetrzymywanych wbrew ich woli w innych krajach. A potem odezwał się do niego John Madison.

Wade od samego początku zapałał do niego<sup>1</sup> sympatią, ale nie miał pojęcia, czemu ten starszy o dwadzieścia lat mężczyzna zaopiekował się nim i wziął na siebie odpowiedzialność za narwanego młokosa. Wade był wtedy bardzo młody i bardzo głupi, a do tego niezmiernie wybuchowy, więc gdyby nie dobry wpływ Johna, który nauczył go rozwagi i panowania nad sobą, z tuzin razy napytałby sobie prawdziwej biedy i pewnie w końcu skręciłby kark. Sam albo przy czyjejs pomocy. To dzięki mądrym opiekunowi stanął mocno na no-

gach, dojrzał, zmądrzał. Madison dał mu to, czego Wade nigdy nie dostał od rodzonego ojca.

Ktoś gwałtownie zapukał do drzwi, wrywając go z zamyślenia. Bezszelestnie wstał z łóżka, włożył spodnie, wziął broń ze stolika, bosopodszedł do drzwi. Były pozbawione wizjera, lecz i tak domyślił się z łatwością, co zobaczyłby na korytarzu, ponieważ klamka poruszyła się. Wade odbezpieczył pistolet i ostrożnie odsunął na bok stalową sztabę, którą dodatkowo zabezpieczył drzwi, nie ufając nędznemu hotelowemu zamkowi. Nie mógł przecież dopuścić, by jakiś nieproszony gość zaskoczył go we śnie. Przyłgął plecami do ściany i czekał.

Kliknęła zapadka, drzwi uchyliły się, pojawiła się w nich czyjaś głowa. Wade błyskawicznie chwycił intruza za koszulę, wciągnął go do środka i mocno przyparł do muru, wbijając mu lufę pistoletu w podbródek.

- Masz dwie sekundy, żeby mi wyjaśnić, co tutaj robisz - warknął po angielsku. - Gadaj natychmiast.

- Puszczaj, niewierny psie, albo zaraz zginiiesz. Rozumiesz?

- Trudno ci będzie wydać rozkaz, kiedy odstrzelę ci pół twarzy - odrzekł Wade w języku pasztu, którego użył tamten. Z korytarza dobiegł jakiś podejrzanym odgłos. - Powiedz temu drugie-

mu, żeby też wszedł do pokoju, chcę go zobaczyć. Jak nie, to koniec rozmowy.

Mężczyzna stał zeszywniały, wściekły, pełen nienawiści. Coś w nim nie chciało ustąpić Amerykaninowi nawet o włos, lecz instykt samozachowawczy zwyciężył. Niemal było czuć, jak Hazar stacza ze sobą wewnętrzną walkę. Wreszcie zawołał:

- Wejdz, Zahir.

W progu pojawił się ktoś niższy i szczuplejszy, może młodszy od pierwszego, po czym między tamtymi dwoma nastąpiła wymiana zdań po pasztuńsku, tak szybka, że Wade, który znał tylko podstawy języka, niewiele zrozumiał. W końcu ten drugi złożył dłonie i skłonił się.

- Składamy wyrazy szacunku - rzeki kiepską angielszczyzną. - Nie chcemy złego, chcemy poznać i dowiedzieć się, co sprowadza do Aj-zukabad.

- Trochę dziwna pora na składanie towarzyskich wizyt.

- B o my chcemy koniecznie zastać w pokoju.

To zabrzmiało tak, jakby już wcześniej szukali Wade'a, lecz nie zdołali go spotkać. Może niekoniecznie przyszli poderżnąć mu gardło. Oczywiście nie dało się wykluczyć, że gdyby nadarzyła się sprzyjająca okazja, właśnie tak by postąpili, lecz skoro wykazali gotowość do rozmowy, należało to jak najlepiej wykorzystać.

Wade wskazał na stojącą przy łóżku lampę.

- Przyjrzyjmy się temu lepiej, dobrze? - Zapalił światło.

Zarówka ledwie ćmiła, ale to wystarczyło, by mógł obejrzeć obu intruzów. Młodszego nigdy wcześniej nie widział, za to starszego rozpoznał natychmiast. Ahmad. Oczywiście Wade nie mógł się zdradzić, że doskonale wie, z kim ma do czynienia.

- Widzieliśmy się wczoraj na stadionie w Kaszi - rzekł tylko, puszczając go.

- Tak. Kim jesteś i czego tu chcesz?

Zahir powtórzył pytanie po angielsku, wchodząc w rolę tłumacza.

Wade powiedział, jak się nazywa, uświadamiając sobie poniewczasie, jak wielką nieostrożnością się wykazał. Powinien był podać fałszywe dane, gdyż skoro Chloe nie dostała żadnych listów, to prawdopodobnie przyrodni brat przejmował całą korespondencję, a jeśli tak, to zapewne sprawdzał nazwiska nadawców. Wyraz oczu Ahmada nie zmienił się ani na jotę, więc Hazar albo miał słabą pamięć do nazwisk, albo doskonale się kontrolował.

- Czemu chodzisz po bazarze? Czemu patrzysz na nasze kobiety?

- Bo dziwią mnie te ich okrycia - wycedził Wade. - Jak one oddychają pod tymi obrusami? Jakim cudem udaje im się przejść przez ulicę,

nie wpadając pod samochód, skoro nic nie widzą? No to już wiecie, czemu patrzę. A teraz ja chciałbym wiedzieć, dlaczego mnie śledzicie.

- Musisz się z tym liczyć, kiedy przyjeżdżasz do obcego kraju, w którym toczy się wojna.

Oczywiście, że się z tym liczył. To dlatego kluczył długo po całym mieście, by zgubić „ogon”, nim wreszcie udał się do domu Chloe.

- Ja nie prowadzę wojny, dlatego nie lubię, kiedy ktoś mnie szpieguje. Szukam tkanin na handel, jestem człowiekiem interesu, a nie tajnym agentem.

- To dlaczego nie chodzisz do warsztatów tkackich?

- Mówiono mi, że najpiękniejsze wyroby można znaleźć w prywatnych domach, bo wychodzą spod rąk kobiet - odparł, gdyż taką wiadomość uzyskał z przygotowanego dla niego dossier.

- Nasze kobiety nie zajmują się handlem.

- Jasne. Lepiej, żeby zebrały na ulicach lub umarły z głodu - rzucił sarkastycznie Wade. Wiedział, że nie powinien. Wiedział, że igra z ogniem. A jednak nie mógł się powstrzymać.

- Nie zajmuj się kobietami. Idź na bazar, gdzie siedzą mężczyźni, oni sprzedadzą ci tkaniny. Zajmij się interesami, jeśli naprawdę w takim celu tu przyjechałeś.

Kiedy już nic mu nie zagrażało, Ahmad



natychmiast odzyskał rezon i beczelność, znowu gotów straszyć i terroryzować, co w rzeczywistości zdradzało brak pewności siebie. Wykazywał się nadgorliwością człowieka, który przyjmuje jakąś sprawę za swoją, ponieważ dzięki temu zyskuje poczucie tożsamości i przynależności do grupy. To był jeden z tych, którzy boją się stanąć twarzą w twarz z samym sobą, więc rozpaczliwie potrzebują podczepić się pod jakąś ideologię, otoczyć ją kultem, zadzierzgnąć braterstwo z innymi. Wade spotkał się z czymś podobnym - na szczęście na znacznie mniejszą skalę - wśród funkcjonariuszy ochrony. Coś takiego jak braterstwo broni błyskawicznie wytwarzało się we wszelkich organizacjach, paramilitarnych, natychmiast zabijając zdolność samodzielnego myślenia. Podobne zjawisko występowało we wspólnotach religijnych, oczywiście z różnym natężeniem. Niektórzy okazywali się bardziej podatni na pokusy ideologii i stawali się fanatykami, bez reszty oddanymi Sprawie. Najgorsi byli ci, którzy robili tylko to, co cieszyło się aprobatą przywódcy.

- Owszem, po to. Głównie chodzi mi o dywany, aczkolwiek spodobały mi się też hafty, jakie widziałem na strojach niektórych kobiet. Nie wiecie, gdzie mogę o nie pytać?

- Nie. I nie wyglądasz na takiego, co lubi hafty.

Coś w głosie Ahmada działało Wade'owi na nerwy. Przychylił głowę na bok.

- Zarzucasz mi kłamstwo? - spytał niebezpiecznie uprzejmym tonem.

- Nie mam powodu. Jeszcze. Przyszedłem cię pouczyć. Wolno ci tu przyjechać i zostawić swoje pieniądze. Ale nie wolno ci mówić o naszym rządzie, naszych prawach i obyczajach. I rozmawiać z naszymi obywatelami, chyba że w interesach. Zrozumiano?

Wade zerknął na Zahira, który skrupulatnie przekładał te bzdury. Chłopak był jeszcze bardzo młody, jego rzadka bródka wyglądała jak kilka kłaczek przyklejonych do świeżej, młodzieńczej skóry. Wpatrywał się w Ahmada z trwożnym oddaniem, a zatem był jego podwładnym. Wade przez moment zastanawiał się, czy nie łączy ich coś jeszcze, opowiadano różne rzeczy o tym, w jaki sposób niektórym z fanatyków udawało się obywać bez kobiet. Nie, chyba w tym przypadku nic podobnego nie miało miejsca.

- W porządku - rzucił nonszalancko Wade, gdyż Chloe Madison nie była Hazarką, tylko obywatelką amerykańską, a tym samym zakaz Ahmada jej nie dotyczył.

-- Miło mi, że się rozumiemy. I przyjmij jeszcze jedną radę. Im szybciej ubijesz interes i wyjedziesz, tym lepiej.

- Zgadzam się w zupełności. Mało kto z własnej woli chciałby siedzieć w takim miejscu.

Chyba przeszarżował, tym samym niepotrzebnie narażając ważną misję, gdyż Ahmad spojrzał na niego twardo i oznajmił:

- Więcej ostrzeżeń nie będzie.

- Więcej nie potrzebuję. - Podszedł do drzwi, otworzył je na oścież. - W najbliższych dniach będę załatwiał dużo interesów. Nie zdziwcie się, jeśli nie zawsze uda wam się mieć mnie na oku.

Ahmad, który już wyszedł, obrócił się, mrużąc groźnie oczy.

- Dla nas, talibów, nie istnieją żadne przeszkody.

- Życzę powodzenia - skwitował z uśmiechem Wade.

Humor go jednak opuścił, gdy tylko zamknął za nimi drzwi. Stał, patrząc przed siebie, aż oddalające się kroki zupełnie ucichły.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Chloe prawie w ogóle nie spała tej nocy. Była do głębi wzburzona, kłębiły się w niej najróżniejsze myśli i emocje. Na pierwszy plan wybijała się wściekłość na Ahmada, który zataił wieść o śmierci jej ojca i zamierzał wydać ją za męża, próbując w ten sposób przejąć część spadku. Trzymał ją w pułapce, podczas gdy ona, nie mając o tym pojęcia, już posiadała środki, by się od niego uwolnić! Ale i Wade Benedict budził w niej gniewne odczucia. Zadała sobie wiele trudu, by zaakceptować życie w Hazaristanie, by odnaleźć w tym sens, a ten człowiek wszystko zniszczył i zburzył jej spokój, mając ją mirażami wolności, jakiej nigdy dotąd nie zaznała. Ponieważ zaoferował jej niemal rajska przyszłość w Stanach, otaczająca ją brutalna co-

dziennosc stała się praktycznie nie do zniesienia. Nienawidziła go za to prawie tak samo jak swego przyrodniego brata.

Rano okazało się, że Ahmad cierpi z powodu przejedzenia po kolacji z przyjaciółmi, więc nie wybiera się do Kaszi. Naprawdę dokuczała mu niestrawność, czy raczej pilnował Chloe? Przez cały dzień przykładnie krzątała się po domu, wypełniając wszelkie obowiązki, by nie budzić żadnych podejrzeń. Potulność i sumiennosc opłaciły się, gdyż w dzień jej planowanego spotkania z Wade'em Ahmad wyszedł o świcie, dlatego mogła wczesnym przedpołudniem udać się do Willi. Odprowadził ją tylko Ismael, gdyż Treeria nie czuła się najlepiej.

Willa, przedsiębiorcza, energiczna i odważna, nie tylko oddała pokój dzienny na prowadzenie tajnego nauczania, ale też urządziła mały salon kosmetyczny w izdebce na tyłach domu, gdzie nakładała na twarze i włosy zakazane maseczki, robiła zakazany makijaż albo zakazany manicure. Kobiety przychodziły do Willi na zabiegi upiększające, które jednocześnie dawały im pewną pociechę, a zarazem stanowiły jedną z form oporu.

Chloe przywitała się z gospodynią i usiadła, by wraz z nią napić się herbaty. Czekając, aż uczennice się zbiorą, rozmawiały o ostatnich

wydarzeniach, szczególnie o ich wspólnej znajomej, której w ramach kary za malowanie paznokci obcięto kciuk.

- Droga przyjaciółko, wyglądasz tak blado.
- Willa delikatnie dotknęła policzka Chloe.
- Czy wszystko dobrze?

- Niestety nie.

Opowiedziała o ostatnich wydarzeniach, zaś matka Ismaela przyglądała jej się z rosnącą konsternacją.

- Och! Będzie nam cię bardzo brakować.

- Powiedziałam, że Amerykanin przyjechał mnie zabrać, ale nie powiedziałam, że z nim wyjadę.

- Jak to? Nie pragniesz chyba... Nie, to niemożliwe, byś chciała poślubić mężczyznę, którego wybrał dla ciebie brat.

- Ani tego, ani żadnego innego - oświadczyła zdecydowanie.

- Zamierzasz więc przeciwstawić się woli Ahmada? - spytała ściszym głosem Willa.

- Na razie nie wspominał nic o małżeństwie. Dopóki to nie nastąpi, nie ma sensu się zamartwiać, prawda?

- Lecz gdy nastąpi, nie będzie już żadnego wyboru. Czemu nie wyjedziesz teraz, póki jeszcze nie jest za późno?

Chloe wskazała w stronę pokoju służącego jako klasa szkolna.

- Jak mogłabym wyjechać, skoro tu jestem tak potrzebna?

- A jeśli to kismet? A jeśli ten człowiek jest narzędziem przeznaczenia? Może właśnie masz wrócić do Ameryki, by jeszcze lepiej przysłużyć się naszej sprawie.

- W jaki sposób?

- Będziesz opowiadać, przez co tutaj przechodzimy. Będziesz szukać dla nas sprzymierzeńców. Jesteś przecież jedną z nich, tobie uwierzą.

- Albo i nie - ucięła Chloe. - Tamtym krajem też rządzą mężczyźni, którzy zajmują się ważniejszymi, w swoim mniemaniu, sprawami niż cierpienia kobiet.

- A ja myślę, że ich serca nie są aż tak twarde. Naprawdę nie znalazłabyś w Luizjanie, o której tak często opowiadałaś, dzielnych i dobrych ludzi, pragnących nam pomóc, ulżyć nam w naszej niedoli? Pomyśl!

Czy rzeczywiście mogłaby wrócić do Luizjany i nie odczuwać z tego powodu wyrzutów sumienia? Tak bardzo pragnęła znowu ją ujrzeć, przekonać się, czy rzeczywiście jest rajem na ziemi, czy tylko idealizowała ją w swych wspomnieniach. Udawała przed Wade'em, że niewiele pamięta, gdyż tak było dla niej bezpieczniej. Nie mogła się przed nim zdradzić, jak często jej myśli biegły do kempingu nad jeziorem, gdzie

spędziła cudowne, niezapomniane lato, otoczona miłością ojca. Ta bujna, soczysta zieleń, te długie, złociste dni nad spokojnym, błękitnym jeziorem... Gdyby Amerykanin wiedział, jak gorąco do tego wszystkiego tęskniła, użyłby tej wiedzy przeciwko niej.

- Ale najważniejsza walka toczy się tutaj! - Zaciśnęła pięści, desperacko próbując odegnąć od siebie wspomnienie Luizjany oraz otwartej twarzy i przenikliwych oczu Wade'a. - To tu muszę stawiać opór!

- Ahmadowi? On cię złamie. Wiesz, jaką ma władzę nad członkami rodziny.

-- Wiem.

Już dawno nauczyła się posłuszeństwa, a przynajmniej tak sądził brat. W rzeczywistości nauczyła się tylko je udawać, podczas gdy w duchu żywiła do niego coraz większą nienawiść. Jej woli nigdy nie uda mu się złamać.

- Tak, lepiej udać uległość, gdy biją, i zabić po cichu, gdy zasną - rzekła cicho matka Ismaela.

Spojrzały sobie w oczy, myśląc o tym samym. Nie tak dawno jedna z kobiet otruła męża po tym, jak ją pobił, a ona przez to poroniła. Inna, starsza, spiła swojego dręczyciela, pijanego zaszyla w prześcieradło i zatłukła na śmierć kijem od szczotki.

- A jednak boję się o ciebie - ciągnęła Willa.



- Udajesz potulną, ale ponieważ urodziłaś się w zupełnie innym kraju, jesteś zbyt niezależna, zbyt zuchwała, zbyt skłonna do działania pod wpływem chwili. W końcu powiesz albo zrobisz coś, przez co zginiesz.

- Jak moja matka - dokończyła smutno Chloe, wiedząc, co przyjaciółka próbuje jej uświadomić.

- Tak. Dlatego rozważ to wszystko. A jeśli Allah zsyła ci dużo pieniędzy właśnie po to, byś użyła ich dla dobra naszej sprawy?

- Naprawdę myślisz, że powinnam wyjechać? - Spuściła wzrok, by Willa nie wyczytała nic w jej oczach.

- Nie odpowiem ci na to. Musisz spytać swego serca i sama zdecydować, co będzie najlepsze.

Chloe wolałaby usłyszeć konkretną wskazówkę, która pomogłaby jej podjąć decyzję. Miała na to bardzo mało czasu, ponieważ wyznaczyła Wade'owi spotkanie tego dnia przed południem. Jeśli postanowi zobaczyć się z nim, musi iść po lekcjach na bazar.

W progu pokoju pojawiła się kilkuletnia dziewczynka i uśmiechnęła się nieśmiało, choć spojrzenie miała rezolutne.

- Czcigodna nauczycielko, twe pokorne uczennice czekają.

Chloe uznała to za omen. Podziękowała Willi

za herbatę i udała się do „klasy”. Tego dnia uczyła dziewczynki na pamięć nazw europejskich stolic, bo kraje już poznały. Musiały wiedzieć, że świat nie kończy się na Hazaristanie, że jest wielki i różnorodny. Z prawdziwą dumą patrzyła na swe podopieczne, które chciwie chłoneły wiedzę, zapamiętywały wszystko w mig, a widać było, że to ledwie ułamek ich możliwości. Pomaganie tym dzieciom było warte każdego poświęcenia, więc jeśli Wade Benedict uważał ją za męczennicę, to proszę bardzo, zostanie nią. Owszem, było jej przykro, że znowu będzie czekać nadaremnie i na pewno się zdenerwuje, ale lepiej zawieść jego niż te dziewczynki. Przecież mogła dostarczyć im broni w postaci wiedzy oraz większej wiary w siebie, podczas gdy Wade potrzebował jej tylko po to, by nie złamać danego słowa.

Od frontowych drzwi dobiegł odgłos gongu. Chloe wykonała szybki gest, ucinając recytowanie nazw miast, otworzyła leżący obok niej Koran i przeczytała pierwszy werset modlitwy otwierającej surę. Dziewczynki chórem powtarzały za nią. Nie przerywając modlitwy, obróciła do ściany niedużą tablicę, która na powrót stała się ozdobnym lustrem, a plan lekcji i notatki schowała pod nocnikiem, który stał w rogu za parawanem. Nic już nie wskazywało na to, co się tu działo jeszcze chwilę wcześniej.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, do środka wpadli rozwścieczeni strażnicy z uniesionymi pałkami, więc dziewczynki zaczęły piszczeć z przerażenia i chować buzie. Chloe omal nie skrzyczała tych drabów za straszenie dzieci, ale jakoś zdołała się opanować, uspokoiła swoje podopieczne, a potem zasłoniła twarz i obróciła się ku dwóm brodatym mężczyznom.

- Co to za zgromadzenie? Co robisz z tymi dziećmi? - spytał ostro wyższy z nich, noszący turban hadżiego, muzułmanina, który odbył pielgrzymkę do Mekki.

- Modlimy się, czcigodny panie - odparła z szacunkiem w głosie.

- A na co takim modlitwa? - rzucił szyderczo niższy.

- Po to, by mogły w przyszłości uczyć swych synów.

- Nie jest rolą kobiety nauczać.

- To prawda - zgodziła się z powagą. - Ale czyż nie mogą usłużyć w dobrej sprawie? Nawet kobiety, i to tak małe, jak te dziewczynki, powinny nauczyć się chwalić Allaha i jego niezliczone łaski.

Nie wiedzieli, co na to odrzec. Jeśli się z nią nie zgodzą, podważą potrzebę nauczania religii, zaś jeśli się zgodzą, wyjdzie na to, że popierają jej postępowanie. Gorączkowo starali się znaleźć jakieś wyjście z kłopotliwej sytuacji.

- Ostrzegałem was, że ona ma język żmii.

Za ich plecami pojawił się Ahmad, który zmierzył przyrodnią siostrę nienawistnym spojrzaniem. Chloe spytała bez zastanowienia:

- Ty ich tu przysłałeś?

Nawet nie raczył jej odpowiedzieć, choć aż poczerwieniał z gniewu, że śmiała się do niego odezwać tak obcesowo, i to przy innych mężczyznach.

- Kończcie z tym - warknął. - Wygońcie stąd to robactwo.

- Nie stwierdziliśmy żadnego przestępstwa...

- Tylko dlatego, że jest dla was za sprytna, ale zostawcie to mnie, już ja wiem, jak ukarać ją za bezczelność.

Kilka dziewczynek płakało, przerażonych gniewnymi głosami i wyczuwalną w powietrzu atmosferą przemocy. Dwie, bardzo dojrzałe jak na swój wiek, patrzyły na nauczycielkę z największym współczuciem. Nie mogła dopuścić do tego, by te dzieci spotkało jeszcze więcej nieprzyjemności.

- Idźcie już, moje gołąbki - rzekła łagodnie i zdobyła się na dzielny uśmiech. - Moje błogosławieństwo pójdzie z wami. Pamiętajcie o wszystkim, czego was uczyłam.

Po chwili pokój opustoszał, na co Ahmad wykrzywił się drwiąco i odprowadził strażników do drzwi, gdzie zapewne dał im łapówkę, gdyż

tak się załatwiało podobne sprawy. Z głębi domu dochodził uspokajający głos Willi, która proponowała dzieciom słodycze. Chloe poczuła ulgę, że przynajmniej nikt nie zatrzymywał dziewczynkę, by je przesłuchać. Po takich rozmowach często zostawały blizny.

- Oczywiście popełniłaś przestępstwo - oznajmił Ahmad, zjawiając się znowu w drzwiach.

- A jakież to?

- Nie kłam! Ta suka, twoja matka, uczyła cię za moimi plecami, myślałaś, że zrobisz to samo, ale mnie tak łatwo nie oszukasz. Jesteś mi winna wdzięczność. Jedno moje słowo, i zatłukliby cię na miejscu. Albo zawlekli na tortury.

- Czemu więc tego nie zrobiłaś?

- Mam inne plany.

- To znaczy?

Parsknął śmiechem, jakby rozbawiony myślą, że miałyby odpowiadać na jej pytania.

- Wkładaj czador, wracamy do domu.

Nie pozwolił jej pożegnać się z Willą ani nie czekał na Ismaela, który miał przyjść po Chloe, tylko kazał jej iść za sobą i ruszył szybko, a ona musiała drobić kilka kroków za nim. Gdy tylko znaleźli się na miejscu, zerwał z niej czador, mocno chwycił ją za ramię, zaciągnął na tyły domu i brutalnie wepchnął do jej maleńkiej

izdebki z wąską pryczą i zamalowanym na czarno oknem. Chloe potknęła się i omal nie upadła.

- Zostaniesz tutaj - rozkazał. - Nadużyłaś swobody ruchu, więc za karę czeka cię areszt domowy. Żadnych wizyt, żadnego nauczania. Będziesz tu siedzieć, dopóki nie pozwolę ci wyjść.

- Kiedy to będzie?

Jego wargi rozciągnęły się w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Kiedy wyjdiesz za męż.

Właśnie tego obawiała się najbardziej.

- Za kogo?

- Za kogoś, kogo ci wybrałem. Nie spodoba ci się mój wybór, masz na to moje słowo.

Spojrzała mu prosto w oczy, zaciskając mocno pięści.

- Nie poślubię go.

- Poślubisz. I to wkrótce.

- Czemu tak ci na tym zależy? Dlaczego akurat teraz?

- Bo zesłałaś na złą drogę, jak zbłąkana owca, którą znęciła trawa przy wilczym legowisku. Twoja samodzielność może cię przywieść do zguby. Ocalę cię przed tobą samą.

Czyżby on naprawdę w to wierzył?

- Co za szlachetność! I oczywiście nie ma to nic wspólnego z pieniędzmi?

Zjeżył się, wężąc ironię w jej głosie, gdy mówiła o szlachetności, lecz jeszcze większą jego uwagę przykuło drugie zdanie.

- Jakimi pieniędzmi?

- Tymi, które za mnie dostaniesz - odparła przytomnie, przypominając sobie, że przecież nie miała prawa wiedzieć o spadku.

- To nie twoja sprawa, milcz!

- Nie moja sprawa, gdzie będę mieszkała i z kim? Chyba oszalałeś, jeśli sądzisz...

Skoczył ku niej, walnął ją na odlew w twarz. Chloe zatoczyła się, lecz Ahmad złapał ją i cisnął nią o ścianę, po której się osunęła do pozycji siedzącej. Wstrząśnięta, półprzytomna, przycisnęła dłoń do bolącego policzka, w ustach czuła krew. Willa słusznie obawiała się, że Chloe nie jest dość potulna i w końcu narazi się na brutalny atak ze strony Ahmada. Wystarczyła jedna rozmowa z Wade'em Benedictem, by Chloe zaczęła zachowywać się jak wolna kobieta. Błąd.

- Zrobisz dokładnie to, co ci każę, przyrodnia siostró. - Ahmad stanął nad nią. I nie tylko teraz, ale będziesz to robić przez całe życie. Będziesz na każde moje wezwanie. Wypełnisz każde moje polecenie. Będziesz mi służyć. Będę cię karał, jak zechcę i kiedy zechcę, bo to mnie poślubisz.

- Nie! - krzyknęła ze zgrozą.

- O, tak... - Jego głos ociekał satysfakcją. W drzwiach pojawił się Ismael, blady i zaniepokojony.

- Co się tu dzieje, Ahmadzie?

- Ty zdrajco - odwrócił się gwałtownie, szukając nowej ofiary. - Powierzyłem tę kobietę twojej opiece, by nie uczyniła niczego, co mogłoby pokalać honor mojego domu i mojej rodziny. A ty jak mi odpłaciłeś za tyle zaufania?

- Twoja droga nie jest moją drogą - oświadczył Ismael spokojnie i zdecydowanie, choć twarz mu pobladła i stała się niemal tak biała jak jego turban.

- Twoja droga dała tej diablicy pokalać cześć rodziny! Pozwoliłeś jej saczyć truciznę w uszy mojej siostry, zarażać ją obcym myśleniem. Kobiety, które są pod twoją pieczę, plują na święte prawa islamu! To hańba dla tego domu.

- Nie widzę żadnej hańby, a cześć rodziny nie została pokalana.

- Głupcze! - wrzasnął Ahmad. - Zaraz mi powiesz, że moja siostra jest niewinna!

- Treena jest czysta, zawsze idzie za głosem swego serca.

Chloe wciąż dzwoniło w uszach po ciosie, jaki otrzymała i chwilami ledwo rozróżniała słowa, lecz zrobiło jej się ciepło na sercu, gdy Ismael odważnie stanął w obronie ich obu.

Ahmad aż prychnął z pogardą.



- Powinienem cię zabić i uczyniłbym to, gdybyś nie był ojcem mego przyszłego siostrzeńca. Możesz zmazać swoją winę, przykładnie karząc moją siostrę.

- Jest moją żoną i to ja zdecyduję, czy zasłużyła na karę. - Ismael, utykając, uczynił krok do przodu. - Jest moją żoną i kocham ją.

- Jak ty tego nie zrobisz, ja to zrobię.

- Nosi pod sercem mego syna, jak sam rzekłeś. Nikt nie może jej tknąć.

- Żądam...

- Żądasz? Mówisz o honorze rodziny, a sam zamierzasz go zhańbić, poślubiając tę kobietę wbrew prawom Koranu.

Ahmad zmierzył go wściekłym wzrokiem.

- Dziś rano radziłem się świątobliwych mężów, oni mi wyjaśnili mądrość słów Koranu. Zakaz dotyczy rodzeństwa z jednego ojca lub matki. Nic nie stoi na przeszkodzie, by zawrzeć to małżeństwo, nie łączą nas więzy krwi.

- Nawet jeśli prawo zezwala, to i tak jest to nieobyczajne. - Ismael przeniósł spojrzenie na sponiewieraną Chloe, troska w jego oczach pogłębiła się.

- Co to za brednie?

- Czy naprawdę nie masz żadnego względu na przyzwoitość? Przez tyle lat żyłeś z Chloe pod jednym dachem jak z siostrą, uważałeś ją za siostrę...

- Nigdy!

- Musiałeś tak o niej myśleć, gdyż inaczej nie udałbyś się do mułłów, szukając zezwolenia na to, by ją sobie wziąć.

- Milcz!

Ismael nie dał się zastraszyć.

- Czynisz rzecz niegodną. Popełniasz przestępstwo i przyjdzie ci tego żałować.

- Co ty możesz wiedzieć? - zaatakował go Ahmad. - Ty z tymi twoimi błyskotkami ze srebra i z kaleką nogą? Nigdy nie wystawiałeś się na niebezpieczeństwo, nigdy nie walczyłeś, nigdy nie poświęciłeś się dla sprawy. Jesteś tylko na pół żywy!

- W moim sercu gości miłość, a moje ręce wytwarzają piękne rzeczy - rzekł spokojnie i pewnie Ismael. - Ty potrafisz tylko nienawidzić i niszczyć. Który z nas żyje naprawdę?

Przez twarz Ahmada przemknął cień wątpliwości, lecz zaraz znikł, odegnany gwałtownym, szorstkim gestem.

- To tylko słowa! Słowa są niczym, nie mają żadnej mocy! Liczą się jedynie czyny, które prowadzą do raję.

Ruszył w stronę Ismaela, złapał go za ramię, wyciągnął z izdebki, zatrzasnął za nimi drzwi. Chwilę potem rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Dopiero wtedy Chloe wreszcie odważyła się odetchnąć.

Trzęsącymi się dłońmi odgarnęła włosy, które opadły jej na twarz. Żyła. Przeciwstawiła się Ahmadowi i wciąż jeszcze żyła. Pewnie tylko dlatego, że liczył na jej spadek, ale to właściwie wszystko jedno - najważniejsze, że z powrotem była dawną sobą, prawdziwą sobą, i było jej z tym dobrze. Niechybnie przyjdzie jej za to zapłacić, ale nie żałowała. I oby Ismael też nie musiał żałować swojej odwagi. Chloe dopiero teraz zobaczyła, jak wiele jest siły w tym łagodnym człowieku, płynącej z poznania samego siebie i ze spokoju duszy, gdy tymczasem Ahmad był w rzeczywistości niewolnikiem swoich namiętności. Dziwne, że do tej pory tego nie spostrzegła.

Niestety, ta wiedza nie mogła jej w niczym pomóc.

Dźwignęła się, podeszła do stolika, na którym stał dzbanek z wodą, wypłukała usta, delikatnie dotykając czubkiem języka rozciętego od wewnątrz policzka, a potem zwilżyła ręcznik i przyłożyła go do twarzy, by ten chłodny kompres zmniejszył opuchliznę. Zwinęła się w kłębek na łóżku. O ucieczce nie było co marzyć, nie pierwszy raz zamknięto ją w pokoju, wiedziała doskonale, że nie wydobędzie się z niego o własnych siłach przez zamknięte drzwi i osłonięte kratą okno. A gdyby nawet jakimś

cudem zdołała tego dokonać, to co zrobiłaby później? Dokąd by się udała, uchodząc przed zemstą Ahmada? Owszem, istniały bezpieczne domy, prowadzone przez bojowniczkę RAW-y, gdzie z pewnością zaofiarowano by jej gościnę, cóż z tego jednak, skoro pewnie nie udałoby jej się tam dotrzeć, gdyż kobieta nie miała prawa pojawić się na ulicy bez męskiego opiekuna, by nie rzec nadzorcy. Pierwszy lepszy patrol zakatowałby ją na śmierć.

Nie, sama sobie nie poradzi. Nie mogła też liczyć na niczyją pomoc, gdyż tylko jej ojczymowi przysługiwała jakaś władza nad Ahmadem, zaś Imam nie pokazał się w domu od śmierci żony. Wiadomości od niego przychodziły niezmiernie rzadko i z dużym opóźnieniem, rodzina wiedziała tylko, że on żyje. Chloe nie miała szans skontaktować się z nim na czas. Odnosiła wrażenie, jakby ich opuścił, choć przecież nie poszedł do wojska z własnej woli.

O Amerykaninie i o utraconej na zawsze możliwości wyjazdu nawet nie chciała myśleć, gdyż żal tylko pogorszyłby sytuację. Wade Benedict niedługo zrezygnuje z czekania na nią na bazarze, wróci do hotelu, spakuje się i wyjedzie na zawsze. Może nawet już zniecierpliwiał się bezowocnym czekaniem i właśnie jest w drodze na lotnisko.

Zwinęła się w kłębek na sienniku. Leżąc

zupełnie bez ruchu i starając się nie myśleć o niczym, czekała na to, co miało nadejść. Obudziło ją ciche wołanie. W izdebce panowała kompletna ciemność, widać zdażyła zapaść noc.

- Chloe, nic ci nie jest?

Podniosła się i podeszła do drzwi, które widziała tylko dzięki temu, że pod nimi widniał wąski prążek światła.

- Treena, nie powinnaś przychodzić, Ahmad i tak jest na ciebie zły.

- Nie ma go w domu. Niestety, zabrał klucz, dlatego nie mogę ci dać nic do jedzenia.

Chloe uśmiechnęła się, choć Treena nie mogła tego zobaczyć.

- Jesteś bardzo odważna.

- Lękam się o ciebie, siostró mego serca. Brat kazał mi przygotować ucztę weselną.

- Uczyń to więc.

- Jak możesz mówić o tym tak spokojnie? Przecież to straszne, w dodatku trudno w to uwierzyć! Przysięgłabym, że Ahmad nigdy...

- Nigdy co? - spytała Chloe, dosłyszawszy jakąś dziwną nutę w głosie siostry.

- Nigdy się nie ożeni.

- Ze względu na sprawę, której się bez reszty poświęcił?

- Nie. - Treena westchnęła ciężko. - Mimo wszystko kocham Ahmada, był takim słodkim dzieckiem... Pamiętam go jako najlepszego

z braci. Nie zapomnę tych kilku lat, gdy byliśmy mali i mieszkaliśmy u naszych dziadków. - Chloe usłyszała szelest, jakby jej przyrodnia siostra oparła się o drzwi. - Dotąd nikomu nie opowiadałam o tym, co się stało, o tym, co skaziło go tą straszliwą, chorą nienawiścią i uczyniło z niego szaleńca. Teraz jednak to zrobię, gdyż musisz wiedzieć, co cię czeka. Chloe, gdy on zostanie twym panem, najpewniej skorzysta ze swej władzy i cię zabije. Nic go nie powstrzyma!

Przycisnęła czoło do drzwi, starała się nie uronić ani jednego słowa.

- Dlaczego? O co chodzi?

- To wszystko wina mułłów. Kiedy dziadek wysłał go do nich na nauki, Ahmad był uroczym chłopcem o żywych, błyszczących oczach i ładnym uśmiechu. Niektórzy z tych nauczycieli to naprawdę święci ludzie, ale niektórzy... Och, ci najgorsi czerpią największą rozkosz z okaleczania dusz młodych chłopców, uczą ich bać się i nienawidzić kobiet, bać się i nienawidzić miłości, bo ona może dać kobiecie władzę nad mężczyzną. Uczą ich obywatela się bez nas, wszystkie ich potrzeby zaspokajają inni mężczyźni. Widzisz...

- Chcesz mi powiedzieć, że twój brat stał się... ich kochankiem?

- Nie w taki sposób, jak myślisz. Ale dla

niego istnieją tylko mężczyźni i ich zazdrosny Bóg, który żąda ich całych dla siebie. Dlatego w moim bracie nie ma już ani odrobiny łagodności i ludzkich uczuć, zostały z niego wykorzenione, wypalone jak ogniem aż do samych korzeni. Dlatego też nigdy nie pokocha kobiety, bojąc się, że mogłaby odebrać mu siłę i konkurować w jego sercu z tym ich Bogiem. Ahmad został głęboko okaleczony i to właśnie z tego powodu zżera go nienawiść. Nienawiść do kobiet, do samego siebie, ponieważ targają nim żądze, chociaż tego nie chce, do nauczycieli, którzy go skrzywdzili, do dziadka, który na to pozwolił. A nade wszystko do ojca, bo on, zamiast opiekować się nami, wyjechał daleko i poślubił kobietę z wrogiej rasy. Nic gorszego nie zdołałby synowi uczynić.

- To dlatego mój ojczym ciągle mu ustępował... - myślała na głos Chloe.

- Tak. Dręczyło go poczucie winy. I było mu żal Ahmada.

- Ale czemu twój brat za to wszystko mścił się głównie na mojej matce? W końcu to nie ona wyrządziła mu krzywdę.

- Była kobietą i Amerykanką, czyli podwójnie wrogiem, a więc najlepiej nadawała się na ofiarę. Ahmad nie mógł obrócić swego gniewu przeciw matce, bo to byłoby świętokradztwo. Nie mógł go obrócić przeciw dziadkowi i ojcu,

bo to prawie tak, jakby podniósł rękę na samego siebie. Dlatego całe ostrze swej złości obrócił przeciw twojej matce.

Chloe po raz pierwszy poczuła coś w rodzaju współczucia dla przyrodniego brata. Raz czy dwa miała wrażenie, że widziała cierpienie w oczach Ahmada, lecz dopiero teraz zaczynała rozumieć, co mogło się dzieć w jego chorej, udręczonej duszy.

- Nikt z nas nie ma wpływu na to, co mu uczyniono, gdy był dzieckiem - rzekła z namysłem. - Ale nie jesteśmy niewolnikami przeszłości. Gdy dorastamy, to od nas zależy, jak postąpimy. To my dokonujemy wyborów.

- Może więc i Ahmad był do uratowania, i kto wie, jak wszystko by się potoczyło, gdyby ojciec nie zdradził go ponownie.

- O czym mówisz? - zdumiała się Chloe, która przysięgłaby, że Imam jest prawym i szlachetnym człowiekiem. On miałby zdradzić?

- Nasz ojciec już nie służy w wojsku. Zawsze był przeciwnikiem reżimu, więc kiedy zabito twoją matkę, zbiegł i zaciągnął się do oddziałów partyzanckich.

- Walczy przeciw talibom?

- I swemu synowi.

To musiał być straszliwy cios dla Ahmada, a przynajmniej dla jego dumy, pomyślała.

- Czemu nic o tym nie wiedziałam?



- Ahmad nie chciał, by ktokolwiek wiedział. Ale dość o tym! Myślmy, co teraz. Nie możesz za niego wyjść!

Chloe ponuro zapatrzyła się w mrok.

- Nie sądzę, bym miała jakiś wybór.

- On cię zabije - przestrzegła ją ponownie Treena.

- Czemu miałyby mnie zabijać? Przecież nic mu nie zrobiłam.

- Jesteś córką swej matki. W dodatku w jego oczach ty też dopuściłaś się zdrady, ucząc dzieci. Kiedy tylko przebrzmia słowa przysięgi, znajdziesz się całkowicie we władzy Ahmada, a wtedy nic go nie powstrzyma od zmycia hańby, jaką według niego splamiłaś rodzinę.

- Nic? Myślisz, że nawet... Nawet nie będzie mnie chciał? Przynajmniej na początku?

- Lękam się, że nie oszczędzi ci niczego. Będzie twoim panem również i w ten sposób, czy to dla nasycenia zwyrodniałej żądz, bo on zapewne już nie ma normalnych pragnień, czy z chęci zemsty. Ale potem i tak musi cię zabić, bo zhańbiłaś go udzielaniem nauk i nieposłuszeństwem prawu. Gdyby tego nie uczynił, myślano by, że nie potrafi zapanować nad własną żoną. A jak lepiej dowieść swej władzy nad drugim człowiekiem niż zadać mu śmierć?

- Dobry Boże... - wyszeptała Chloe, do której wreszcie dotarła cała groza sytuacji.

Treena milczała przez kilka długich chwil, a gdy odezwała się ponownie, w jej głosie brzmiała determinacja.

- Trzeba powiadomić Amerykanina.

- A cóż on mógłby zrobić? - Chloe zaśmiała się, lecz bez śladu wesołości. — To sprawa rodzinna, jego to nie dotyczy.

- Nie byłabym tego aż tak pewna. Nie zapomnij, że on występuje w imieniu twego ojca, który go wysłał. I to z powodu jego obecności, jak sądzę, Ahmad zaczął interesować się tym, gdzie chodzisz. Amerykanin ma wobec ciebie zobowiązania.

- Nasz brat będzie to widział zupełnie inaczej - ostrzegła Chloe. - Co gorsza, może uznać zwrócenie się o pomoc do Amerykanina za największą zdradę ze wszystkich.

- Nie musi o niczym wiedzieć.

- Jeśli Wade Benedict spróbuje uczynić cokolwiek, Ahmad domyśli się twego współudziału - przekonywała Chloe, choć i tak nie chciało jej się wierzyć, by jej samozwańczy wybawca zaryzykował otwartą konfrontację z oficerem talibów w obronie kobiety, którą ledwie znał.

- Nieważne, co Ahmad o mnie pomyśli - oświadczyła Treena, lecz zaniepokojona Chloe nie podzielała tego przekonania.

- Skoro jest gotów mnie zabić, to czy oszczędzi ciebie?

- Jestem jego siostrą.
- Jesteś kobietą. Tylko kobietą - przypominała Chloe.
- I jestem też matką córek, którym należy dać przykład. - Oświadczyła zdecydowanie Tre-ena. - Musimy robić rzeczy, które są słuszne, a nie tylko te, które są bezpieczne.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Rozległ się łomot. Chodząca nerwowo po swojej izdebce Chloe na ułamek sekundy zamarała w pół kroku, po czym obróciła się błyskawicznie. Nie dosłyszała wcześniej, by ktoś się zbliżał, nie padło też żadne ostrzeżenie, a jednak wyglądało na to, że ktoś znajdował się na korytarzu i próbował dostać się do niej siłą. Nim zdążyła pomyśleć, co powinna w tej sytuacji uczynić, znowu coś huknęło o drzwi, które otworzyły się gwałtownie, do środka wpadł jakiś człowiek, złapał równowagę, wyprostował się. W padającym zza jego pleców świetle Chloe ujrzała wysoką, barczystą sylwetkę.

Wade Benedict.

Przyszedł po nią. Naprawdę po nią przyszedł.

- Zabieraj to, co ma dla ciebie jakąś wartość, i idziemy, nie ma czasu do stracenia.

W tym momencie za jego plecami pojawiła się Treena.

- Szybciej! - ponagliła. - Ismael pilnuje, czy Ahmad nie wraca, ale nie będzie w stanie go zatrzymać.

W sąsiednim pokoju rozległ się płacz dzieci, obudzonych hałasem, co przypomniało Chloe z całą bolesną oczywistością, że jedyne, co kocha w tym domu, to właśnie owe trzy dziewczynki oraz ich rodzice. Wszystkie jej pamiętki zostały dawno zniszczone, a cenniejsze rzeczy sprzedane. Zawahała się. Jeśli odejdzie, już nigdy nie zobaczy ludzi, których kocha. Nie czuła się gotowa na uczynienie tego kroku, ponieważ nie wierząc w przyjście Wade'a, nie zastanowiła się, co zrobi, gdy on jednak się zjawi. W rezultacie musiała podjąć ostateczną decyzję w jednej krótkiej chwili, na rozważania nie było już czasu.

Z pomocą przyszła jej świadomość, że jeśli zostanie, może nie żyć długo, a to oznaczało koniec walki o to, w co wierzyła. Lepiej odejść i próbować z daleka przysłużyć się najbliższymi oraz ich wspólnej sprawie.

- Nie mam nic do zabrania. - Postąpiła krok w stronę Wade'a. - Jestem gotowa.

- Musisz wziąć to. - Treena podała jej niebieski czador, który dotąd trzymała przewieszony przez ramię.

- Ach tak, oczywiście.

Chloe nałożyła czador i właśnie go poprawiała, by siatka znalazła się na wysokości oczu, gdy usłyszała jakieś hałasy dobiegające od strony drzwi frontowych, a zaraz potem ostry głos Ahmada. Znieruchomiała. Poczowała, jak silna dłoń łapie ją za ramię i ciągnie ku wyjściu z izdebki. Uczyniła kilka kroków po omacku i wpadła na Wade'a, który zatrzymał się nagle. Udało jej się przesunąć siatkę na właściwe miejsce, a wtedy zobaczyła, że on patrzy w stronę hadzry, więc też obróciła się w tamtym kierunku i ujrzała, jak Ahmad wciąga Ismaela do pomieszczenia, trzymając go za kołnierz koszuli, po czym puszcza i wściekle kopie prosto w okaleczoną stopę.

Ismael jęknął, zachwiał się i byłby upadł, gdyby Treena nie podbiegła ku niemu i nie podtrzymała go. Ahmad zmierzył ich pogardliwym spojrzeniem i obrócił się ku pozostałym dwojgu.

- Wybierasz się dokądś, moja oblubienico?

Chloe nie dała mu satysfakcji i nie spuściła wzroku.

- Jak widzisz.

Na twarz wystąpiły mu czerwone plamy.

- Nigdzie nie pójdziesz.

- Nie możesz mnie zatrzymać, chyba że w jeden sposób.

- Z rozkoszą. - Wyszarpnął z pochwy zakrzywiony kindżał, którego ostrze błysnęło w świetle i rzucił się na Chloe.

Wade odepchnął ją na bok, sam stając na drodze napastnika. Chloe wstrzymała oddech, ponieważ nie widziała, by Amerykanin był uzbrojony, a z gołymi rękami nie miał szans. Spodziewała się najgorszego, tymczasem on wykonał błyskawiczny unik i pierwszy cios trafił w powietrze. Kilka kolejnych również zdawało się chybić celu, gdyż Wade zręcznie uchylał się i odskakiwał, jednocześnie manewrując tak, by odciągnąć Ahmada jak najdalej od Chloe. W którymś momencie przykucnął, sięgnął ręką za siebie i wyprostował się, trzymając w niej pistolet, który wycelował w przeciwnika.

Widząc, że wróg jest uzbrojony, Ahmad zatrzymał się, a potem jego wzrok, podobnie jak wzrok przerażonej Chloe, padł na przecięty na brzuchu i nasiąkający wilgocią czarny T-shirt Wade'a.

- Ostrzegałem cię, amerykański psie. Zapłacisz za to, że dotknąłeś mojej przyszłej żony.

- Ciekawe, że ona jakoś nie chce zostać na ślubie - zadrwił Wade.

- Jej zdanie nie ma żadnego znaczenia.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć, jeśli chodzi o kobiety.

- Dobrze wiem, co zrobić z taką suką.

- W takim razie to nie ja, tylko ty jesteś psem
- skwitował Wade.

Ahmadowi aż nóż zadrżał w ręku.

- Jesteś ślepy, skoro bronisz tej, która omotała męża innej, męża mojej siostry - wysyczał zmienionym głosem. - Dzięki swemu ciału i kobiecym sztuczkom ma nad nim taką władzę, że zgodził się przyprowadzić cię tutaj.

- Nie! - krzyknęła Treena, lecz żaden z nich nie zwrócił na nią uwagi. Nadal mierzyli się wzrokiem.

- Sam tutaj przyszedłem - rzekł natychmiast Wade.

- Obserwowałem dom, widziałem, jak Ismael po ciebie idzie i jak cię tu przyprowadza.

- I po czymś takim dalej chcesz ją poślubić? Pieniądze są silniejsze od zasad, co?

- Najważniejsza jest zemsta. Zawsze podejrzewałem tę diabolicę, a teraz się odkryła, dostarczyła mi dowody. To przez nią ten, który miał mi być jak brat, zdradził rodzinę, dlatego umrze razem z tą kobietą, gdy już będę jej panem.

- Nie! - krzyknęła ponownie Treena i skoczyła ku bratu, puściwszy ramię męża, który bezskutecznie próbował ją powstrzymać.

- Treeno, nie rób tego!

Ahmad ledwie spojrzał na siostrę.

- Nie obawiaj się, zostaniesz pomszczona.

- Pluję na twoją pomstę. - Głos jej drżał,



zarówno ze strachu, jak i z dumy. - To ja użaliłam się nad Chloe i postanowiłam ocalić ją przed tobą. To ja wysłałam Ismaela po Amerykanina. Ja!

Ahmad obrócił się ku niej z wykrzywioną twarzą, jego zaciśnięte na rękojeści sztyletu palce aż zbieleły.

- Ty! - prawie wypluł z siebie to słowo.

Chloe ogarnęło śmiertelne przerażenie. Otworzyła usta, by krzyknąć, ostrzegając Treene, lecz nie wydobył się z nich żaden odgłos. Miała wrażenie, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie, jakby każdy ułamek sekundy rozciągał się w nieskończoność. Próbowwała biec ku przyrodniej siostrze, lecz wykonanie jednego kroku zabrało jej całą wieczność, w czasie którego ręka Ahmada zdołała zatoczyć łuk. Ostrze błysnęło błękitno, gdy padł na nie blask lampy i przesunęło się w poprzek szyi Treeny, zostawiając czerwoną pręgę.

Z dziwnym, bulgotliwym westchnieniem Treena przycisnęła dłonie do szyi i zaczęła osuwać się jak marionetka, której przecięto sznurki. Ismael skoczył ku niej, złapał ją w objęcia, upadł na kolana, ostrożnie złożył żonę na podłodze. Z jego gardła wydarł się straszliwy krzyk, gdy przykrył dłonie Treeny swoimi, daremnie starając się powstrzymać upływ krwi.

Umierająca podniosła wzrok na męża i powiedziała coś samym ruchem warg.

- Nasze córki - powtórzył nieswoim głosem Ismael. - Tak. Do mojej matki. Tak zrobię.

Próbowała przekazać mu coś jeszcze.

- Tak, jeszcze dziś, serce mego serca, ukochana moja. Jego zemsta ich nie dosięgnie. Obiecuję.

Treena nie słyszała już ani przysięgi, ani słów miłości. Pełne słodczy rysy zapadły się, oczy stały się szkliste.

Ismael z jękiem zamknął jej powieki zakrwawioną dłonią, a drugą pogładził smukłe ciało, aż spoczęła na lekko wypukłym brzuchu. Wtedy obrócił głowę w stronę Ahmada.

- Zabiłeś ją - wyszeptał ze zgrozą i rozpaczą.

- Zabiłeś moją żonę, a swoją siostrę. Zabiłeś mego syna, a swego siostrzeńca.

Ahmad wydawał się go nie słuchać, z pustym wyrazem twarzy wpatrywał się w leżące na podłodze ciało.

- Jej córki - wymruczał do siebie. - One też są skalane...

- Ręce do góry - odezwał się zimno Wade.

- Ale już! I to tak, żebym je obie dobrze widział.

Ahmad potrząsnął głową jak bokser, który otrzymał cios i próbuje oprzytomnieć. Spojrzał na pistolet, spojrzął na Amerykanina, przypomniał sobie, że wobec broni palnej nie ma szans i posłuchał rozkazu.

- Dobra, a teraz cofaj się, grzecznie i spokojnie, aż znajdziesz się w tej komórce, która jest za tobą.

Chloe z całych sił starała się nie ulec emocjom, gdyż wiedziała, że nie czas na opłakiwanie Treeny, najpierw musieli unieszkodliwić mordercę, by nie zagroził dziewczynkom.

- On ma klucze od wszystkich pomieszczeń - rzekła przytomnie.

- Odbierz mu je.

Uważając, by nie znaleźć się na linii strzału i starając się trzymać jak najdalej od Ahmada, Chloe sięgnęła i szybko zerwała mu z paska metalowe kółko z kluczami.

- Zdechniesz za to - zagroził Ahmad, wycofując się do komórki, służącej za spiżarnię. - Ani ta diablica, ani ty nie unikniecie przeznaczenia. Zabiję ciebie i całą twoją rodzinę.

Wade z hukiem zamknął drzwi, przytrzymał je ramieniem, a Chloe energicznie przekręciła klucz w zamku.

- Wychodzimy. Szybko.

Miał rację, musieli się spieszyć, lecz ona nie potrafiła tak po prostu wyjść. Obróciła się ku Ismaelowi, który klęczał, tuląc w ramionach ciało zabitej żony, kiwając się w przód i w tył, ślepy i głuchy na wszystko. Potem Chloe popatrzyła w kierunku sypialni, skąd wciąż dobiegał płacz dzieci.

- Nie możesz pomóc - uciął Wade, lecz w jego głosie oprócz stanowczości brzmiało też współczucie. - Uciekajmy, póki jeszcze się da.

Dopiero w tym momencie zauważyła jego ściągnięte rysy i przypomniała sobie, że został ranny, więc nie zaprotestowała, kiedy objął ją zdecydowanie i wyprowadził z pokoju. Przeszli przez cały dom i wymknęli się na ulicę, gdzie panowała prawie zupełna ciemność. Nagle ktoś coś krzyknął, to brzmiało jak rozkaz, padły strzały. Wade błyskawicznie pociągnął Chloe w przeciwną stronę, w biegu strzelając za siebie.

- Widać Ahmad miał ze sobą ludzi - rzuciła zdyszana Chloe, z trudem starając się dotrzymać Wade'owi kroku. Miał dłuższe nogi, w dodatku jego ruchów nie krępował czador.

- Najwidoczniej. Dobrze, że coś ich zatrzymało, bo gdyby przyszli z nim, byłoby po nas.

Za ich plecami wypalono jeszcze parę razy, lecz nie usłyszeli odgłosów pogoni, co pewnie miało związek z tym, że Wade nie przestawał się ostrzeliwać, osłaniając ich ucieczkę.

- Może to tylko jego przyjaciel Zahir. Jest sam i dlatego nas nie ściga.

- Rozsądny chłopak. Poznałem go zresztą.

- Jeśli wejdzie do domu, to uwolni Ahmada!

- Lepsze to niż pogoń za nami.

Strzały umilkły. Chwilę potem Wade skrecił w porytą koleinami wąską uliczkę. Po obu

stronach biegł mur z gliny, nad ich głowami sucho szeleściły liście palm. Chloe ujrzała ciemny kształt u wylotu alejki, po paru krokach rozpoznała dość stary model volvo. Gdy znajdowali się jakieś pięćdziesiąt metrów od niego, Wade dał znak, by została. Skinęła głową i zatrzymała się, starając się złapać oddech, tymczasem jej towarzysz zaczął się ostrożnie podkraść do nieruchomego samochodu.

Nagle coś wyskoczyło z kępy krzaków przy lewym błotniku. Wade błyskawicznie przyłgął plecami do muru i obrócił głowę, by sprawdzić, czy Chloe zrobiła to samo. Tym razem pokręciła głową i wskazała palcem zdziczałego kota, który dla odmiany schował się pod tylnym zderzakiem i tylko łytał na ludzi świecącymi, zielonymi ślepiami. Wade mruknął coś pod nosem i podszedł bliżej.

Widziała, jak on zagląda do środka i nagle nieruchomieje. Odruchowo wstrzymała oddech. Po chwili Wade otworzył drzwi od strony kierowcy, nachylił się, sięgnął do kluczyka w stacyjce, przekręcił, lecz nic się nie stało, dookoła dalej panowała cisza.

- Co się dzieje? - szepnęła, gdy pospiesznie wrócił do niej.
- Zabili kierowcę i poprzecinali kable.
- Nie rozu...
- Tym wozem mieliśmy uciekać. Teraz już

wiem, czemu Ahmad znalazł się w domu później niż ja, chociaż mnie śledził.

Chloe na moment zacisnęła powieki i usta, starając się opanować.

- I co teraz?

- Zgadnij. - Oparł się plecami o ścianę, jakby zamierzał ją tak podpierać do rana.

- Nie mam pojęcia. Przecież mówiłeś, że wszystko gotowe do ucieczki.

- Bo było. Dwie doby temu. Tak, jak żądałaś, przełożyłem wszystko na dzisiejsze przedpołudnie, prosząc różnych ludzi o przysługę i opłacając paru innych. Czekwały na nas dwa miejsca w konwoju ciężarówek jadących do Pakistanu, ostatecznie naszym celem było międzynarodowe lotnisko w Rawalpindi. Ale kiedy się nie zjawiłaś w wyznaczonym czasie, pojechali bez nas. A teraz jest środek nocy i nie mamy już żadnego transportu.

Zrobiło jej się zimno.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy zdani na własne siły?

- Tak.

- Wiedziałaś więc, czym to grozi, a mimo to przyszedłeś po mnie na prośbę Treeny?

- Obiecałem Johnowi.

Miała wrażenie, że powodowało nim coś więcej niż dane słowo, lecz naraz przestała się nad tym zastanawiać, gdyż uświadomiła sobie,

że on przymknął oczy i oddycha coraz płycej i szybciej. Ostrożnie dotknęła jego brzucha i poczuła coś mokrego i lepkiego.

- Idiota! - wybuchnęła. - Zaraz się wykrwawisz na śmierć, a tymczasem stoisz i gadasz! O czym ty w ogóle myślisz?

- O tym, że jesteś znacznie bardziej rezydentna niż przy naszym pierwszym spotkaniu.

Parsknęła ze złością, sięgnęła pod czador, zdjęła z głowy chustę, którą przytrzymywała długie włosy i naddarła jej brzeg zębami, dzięki czemu udało jej się rozedrzeć ją potem rękami na pół. Jedną część materiału zwinęła w podłużny walek, przyłożyła go do rany i przytrzymała drugą częścią, którą obwiązała Wade'a w talii. Stęknął lekko, gdy ściągnęła końce, by zawiązać je na supeł.

- Bardzo sprawnie - pochwalił ją.
- Mam nadzieję, że to trochę pomoże.
- Na pewno nie zaszkodzi. Dzięki.

Nieco szorstko objęła go ramieniem, wiedząc, że on stracił wiele krwi i będzie musiała go podtrzymywać.

- Chodź.
- Masz jakiś plan?
- Wiem, gdzie znajdziemy pomoc, ale to spory kawałek stąd. Dasz radę? - Sięgnęła po jego rękę i przełożyła sobie przez ramię, by mógł

się na niej pewnie oprzeć. Zwisające palce Wade'a prawie dotykały jej piersi.

- Jak ty dasz, to i ja dam.

Usłyszała ślad humoru w jego głosie, jakby bawiło go, że ona bierze sprawy w swoje ręce i zamierza ratować jego, choć miało być dokładnie na odwrót. Chloe jednak wcale nie było do śmiechu.

Prowadziła go doskonale sobie znanymi wąskimi przejściami, ale potem musieli przejść przez najbardziej luksusową dzielnicę, gdzie ulice były szerokie, a niebezpieczeństwo napotkania patrolu - większe. Posuwali się wolniej, gdyż Chloe zatrzymywała się, słysząc jakikolwiek odgłos i uważnie obserwowała skrzyżowania i wyloty bocznych ulic, nim odważyła się przejść na drugą stronę. Starła się nie myśleć o tym, co zostawili za sobą i co mogło ich czekać na końcu drogi, skupiła się tylko na teraźniejszości, na tej - zdawałoby się - niekończącej się wędrówce przez śpiące miasto. Musieli iść, iść dalej, ponieważ gdyby przestali, nastąpiłby koniec, kres wędrówki.

Nagle ujrzała światła reflektorów i usłyszała warkot. Zmrużyła oczy, starając się dostrzec, co to za samochód, i już po chwili nie miała wątpliwości, że powoli zbliża się do nich patrol policyjny. Rozejrzała się gwałtownie, szukając drogi ucieczki. Najbliższa boczna aleja



znajdowała się za daleko, by zdołali do niej dotrzeć na czas. Wszędzie dookoła były porządne mury, parkany, ogrodzenia, broniące dostępu do krzewów i drzew, za którymi mogliby się ukryć. A jednak musiała coś wymyślić, i to szybko.

Istniał tylko jeden powód, dla którego kobieta i mężczyzna znajdowaliby się sami na ulicy po godzinie policyjnej. Owszem, prostytutka była zakazana, lecz - paradoksalnie - tolerowano ją w większym stopniu niż jakikolwiek inny kontakt niezamężnej kobiety z niespokrewnionym z nią mężczyzną.

Chloe czym prędzej ustawiła Wade'a plecami do muru, chwyciła brzeg czadoru i spódnicy pod nim, uniosła je, obnażając się aż do talii, przywarła do Wade'a całym ciałem, chwyciła go ręką za głowę i przyciągnęła ją do siebie, zmuszając go, by ukrył gładko ogoloną twarz w fałdach czadoru przy jej szyi.

Chwilę później pełznące wzdłuż ogrodzenia światła samochodu zatrzymały się nagle. Dostrzeżono ich. To był najbardziej niebezpieczny moment, gdyż policja musiała zdecydować, czy zatrzymać i ukarać prostytutkę, czy też nie, bo obsługiwany przez nią klientem może być jakiś wpływowy mieszkaniec dzielnicy, któremu na wszelki wypadek lepiej się nie narażać. Z drugiej strony inni mieszkańcy mogli sobie nie życzyć, żeby w tej spokojnej okolicy włóczyły

się takie... Z jękiem strachu mocniej przywarła do Wade'a i rozpaczliwie poruszyła biodrami, starając się udawać, że wykonuje swoją pracę.

Poczuła, jak on rozstawia szerzej nogi. Otoczył ją w talii jedną ręką, a drugą zacisnął na nagim biodrze, które gładził przez chwilę, jakby doceniając jego krągłość, a potem przesunął dłoń wzdłuż jej uda, chwycił Chloe pod kolanem i podniósł je wysoko do góry. Wypchnął biodra do przodu i posadził ją na sobie tak, że nagie, miękkie, wrażliwe ciało między jej nogami trafiło na przód jego dżinsów, wypukły, stwardniały, gorący nawet przez materiał.

Wstrząsnął nią dreszcz rozkoszy, aż szokujący w swojej intensywności zważywszy na to, w jakich okolicznościach się znajdowali. A jednak nie była odosobniona w swojej reakcji, gdyż Wade mocniej zacisnął dłonie na jej ciele i aż wstrzymał oddech.

To, co czuła między nogami, stało się jeszcze twardsze. Zesztywniała.

- Przestań. Ja tylko próbuję... To znaczy chciałam...

- Wiem, co robisz - szepnął. - Ale to wymaga pewnej pomocy z mojej strony.

- Nie pomagaj aż tak bardzo!

- Staram się, lecz... Naprawdę nic nie mogę na to poradzić.

Sam jego głos wydawał się zmysłową pieszczotą. Chloe też nic nie mogła poradzić na swoje reakcje, sutki jej stwardniały, choć wcale tego nie chciała. Próbowwała nie myśleć o tym, jak by to było, gdyby nie dzieliło ich ubranie, lecz i pod tym względem zawiodła ją silna wola.

To tylko fizyczna reakcja, zupełnie naturalna, tłumaczyła sobie gorączkowo. W końcu była normalną kobietą, jak dotąd pozbawioną zmysłowych doznań. Jakim cudem do tej pory mogło jej tego nie brakować? Jeśli przeżyją, będzie się śmiała z ironii losu, który wybrał taki moment na udzielenie jej jednej z podstawowych lekcji życia. Ale to kiedyś. Teraz była zbyt przerażona tym, co się działo.

- Lepiej zacznij się trochę ruszać - doradził.  
- Gapię się z rozdziawionymi gębami jak para półgłówków na przedstawienie w jarmarcznej budzie.

Odruchowo szarpnęła się do tyłu, lecz przytrzymał ją mocno.

- Tak się to robi. - Pokazał. - Zaraz złapiesz właściwy rytm.

Jęknęła z rozpaczą, lecz wiedziała, że miał rację i muszą udawać jak najlepiej.

- Ty chyba wcale nie jesteś aż tak ciężko ranny - zauważyła.

- Są rzeczy, które każdego faceta przywrócą do życia - mruknął i aż zadygotał, kiedy rzeczy-

wiecie złapała rytm. -Ale przysięgam, że wszystko mnie boli, ledwo stoję na nogach, a podtrzymuje mnie tylko ten mur i żarliwa nadzieja, że doprowadzisz do końca to, co zaczęłaś.

- Nie ma mowy!

- No wiesz? Co za szkoda!

Nie chciała, by droczył się z nią w takiej sytuacji, niezależnie z jakiego powodu. Był jeden sposób, by powstrzymać go od dalszych żartów. Wprawnym ruchem brody przesunęła sobie siatkę w czadorze na wysokość warg, chwyciła Wade'a za włosy, poderwała jego głowę do góry i przycisnęła usta do jego ust.

Były ciepłe i gładkie, ich dotyk miał w sobie taką słodycz, że Chloe nigdy nie podejrzewała, że może istnieć coś podobnego. Wade bez chwili wahania odpowiedział na pocałunek, a dzieląca ich siatka z cienkich sznureczków jednocześnie stanowiła przeszkodę i bodziec podsycający podniecenie. Całowali się coraz żarliwiej, Wade wsuwał czubek języka pomiędzy oka siatki, próbując poznać Chloe, na ile było to możliwe. Pragnęła zerwać z siebie czador, ściągnąć z nich wszystko, by nic ich nie dzieliło. Eksplozja tłumionych przez tyle lat pragnień oszołomiła ją zupełnie, więc Chloe zapomniała, gdzie się znajduje i czemu zaczęli to robić. To, co się z nią działo, było zarazem cudowne i przerażające.

I było to najlepsze, co mogło jej się w tym

momencie przydarzyć, ponieważ nie istniało skuteczniejsze lekarstwo na zaznaną przemoc, rozpacz i grozę. W całym swoim dotychczasowym życiu nie zetknęła się z potężniejszą siłą niż ta, której właśnie doświadczała, a która okazała się jedyną, jakiej Chloe nie potrafiła się oprzeć.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Samochód ruszył, światła przesunęły się po parkanie, oddalając się od nich coraz bardziej. Wade przywołał na pomoc całą swoją siłę woli, podniósł głowę, przerywając pocałunek, łagodnie puścił kolano Chloe, oparł ręce na jej ramionach i odsunął ją od siebie, a potem oderwał plecy od muru i wyprostował się, starając się opanować drżenie nóg oraz nie zwracać uwagi na bardzo poważne uczucie dyskomfortu na wysokości rozporka.

Chloe cofnęła się, opuściła czador i wygładziła go takim gestem, jakim niektóre kobiety poprawiają włosy po namiętym pocałunku. Nie patrzyła na Wade'a, czemu się wcale nie dziwił. Dziwił się za to, że mu nie przyłożyła, przecież na końcu go poniosło.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zapomniał się

w podobny sposób, lecz to zestawienie naprawdę okazało się ponad jego siły - nietknięta przez mężczyznę kobieta udająca prostytutkę. Chloe nawet nie do końca wiedziała, jak to zrobić, działała intuicyjnie, nie mając pojęcia, jaki to efekt na nim wywiera. Nie mogła mu zaaplikować lepszego lekarstwa na ból fizyczny i na gniew na samego siebie. W jego obecności znowu zginęła kobieta, a on nie zdołał temu przeszkodzić, gdyż nie spodziewał się, że wyda na nią wyrok śmierci ktoś z najbliższych. W objęciach Chloe na kilka chwil zapomniał o wszystkim, pragnął w niej zatonać, nic innego nie istniało.

Tak jak poprzednio oparła jego rękę na swoim barku, bez słowa otoczyła go ramieniem, a Wade zdał się na nią całkowicie i dał się jej prowadzić tam, gdzie chciała. Niedługo potem skręcili i zatrzymali się przy małej furtce w glinianym murze pobielonym wapnem. Chloe przyklękła, przez chwilę szukała czegoś pod kopczykiem kamieni obrosniętych bluszczem i wyjęła spod niego klucz. Chwilę później znaleźli się w sporym ogrodzie, otaczającym jasny parterowy dom. Jego okna były zupełnie ciemne.

Znaleźli ścieżkę przy samej ścianie domu, ruszyli nią w stronę tylnego wejścia, mijając po drodze altankę z ustawionymi jak do popołudniowej angielskiej herbatki meblami ogrodo-

wymi. Nagle spod krzewów coś wyskoczyło, Wade obrócił się gwałtownie, nim zdążył się zorientować, że to tylko jakieś nieduże zwierzę. Rana na brzuchu zapiekła go żywym ogniem.

- Mangusta - rzuciła beznamiętnie Chloe, która nawet nie drgnęła.

Zastanowił się, czy rzeczywiście miała nerwy jak postronki, czy też raczej znajdowała się w szoku po ostatnich przejściach. Raczej to drugie, bo przecież byli świadkami prawdziwego koszmaru. Znów ujrzał błysk kindżału, krew. Nie przewidział podobnego scenariusza, nie przyszło mu do głowy, by nawet taki fanatyk jak Ahmad mógł bez namysłu zabić własną siostrę, i to na oczach rodziny.

Wade z trudem odepchnął od siebie te myśli. Na podobne roztrząsania przyjdzie czas później, teraz musiał się skupić i uważać na to, co się dzieje.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Chloe, zauważając wyraz jego twarzy.

- Jasne.

- Już prawie jesteśmy na miejscu.

- Nie ma sprawy - rzucił lekkim tonem.

- Prowadź.

- Widzę, że musi cię bardzo boleć.

Źle zrozumiała jego grymas, lecz jej troska wzruszyła Wade'a.

- Nic mi nie jest.



- Uważaj, bo uwierzę...

A gdyby to Chloe zginęła zamiast swej przyrodniej siostry, gdyby to ona zapłaciła za jego brak przeczności? Boże, gdyby to córka Johna została zamordowana z jego winy, nigdy już nie doszedłby do siebie. Błysk kindżału, krew...

Nie myśl o tym, przykazał sobie surowo.

- Pukamy, czy stoimy tak całą noc? - spytał bardziej szorstkim tonem, niż zamierzał.

Od kilku chwil stali w ciemności przy tylnych drzwiach domu, panowała cisza, nic się nie działo.

- Wiem, że pewnie chcesz jak najszybciej się położyć, ale musimy poczekać. Tu jest stróż, robi obchód, zaraz nas znajdzie - wyjaśniła Chloe.

Rzeczywiście, zaraz potem rozległo się chrząknięcie, zapłonęła latarka, a jej żółtawe światło wydobyło z mroku pobrużdżoną twarz, zmierzwioną siwą brodę oraz ubranie, którego właściciel chyba nie zdejmował do spania, w dodatku od dłuższego czasu. Za to karabin był tak wypolerowany, że aż lśnił.

Latarka zaświeciła im w oczy, padło pytanie, zadane tak szybko i niewyraźnie, że Wade nic nie zrozumiał. Chloe odpowiedziała uprzejmym tonem.

- A, nasza Amerykanka - odparł stróż znacznie cieplej. - Witaj ponownie w progach tego domu. I ty witaj, niewierny.

Wade domyślił się, że starzec musiał o nim słyszeć i nie poprawiło mu to humoru. Im mniej osób wiedziało o czymkolwiek, tym lepiej.

Chloe w kilku zdaniach wyjaśniła, jakiej pomocy potrzebują. Stróż zastanawiał się przez chwilę, po czym dał znak, by poszli za nim i zaprowadził ich przez jakieś pomieszczenia do urządzonego z przepychem dużego dziennego pokoju. Na środku szemrała fontanna, woda falowała łagodnie w płytkim zbiorniku zdobionym mozaiką, dookoła stały wyściełane meble, na podłodze leżał wspaniały dywan z Buchary.

Stary człowiek zgiął się w ukłonie, zaprosił gestem, by usiedli i zostawił ich samych. Wade, ignorując otaczające ich luksusy, spojrzał na Chloe i pytająco uniośł brwi.

- Czekamy.

- Na co?

- Na to, co nastąpi. W świecie islamu cierpliwość jest jedną z podstawowych cnót. - Opadła na najbliższą otomanę. - Ty też usiądź, inaczej zaraz się przewrócisz.

Przysiadł na samym brzegu miękkiej sofy, w którą najchętniej by się zapadł, ale wolał nie rozgaszczać się zanadto w miejscu, które może będzie musiał szybko opuścić, jeśli coś pójdzie nie po ich myśli. Nie podobało mu się, że szmer fontanny tłumi inne odgłosy, wolałby wyraźnie słyszeć, co dzieje się dookoła. Czy zrobiono to

specjalnie? Tkwił więc na brzeжку kanapy, bacznie nadstawiając uszu.

Upływały długie minuty. Wade'owi zdawało się, że słyszy jakiś zdecydowany głos, na szczęście damski, potem zbliżające się szybkie kroki i w pokoju pojawiła się kobieta. Pulchna, z rozwianymi siwiejącymi włosami, pobrzękująca liczną srebrną biżuterią, ubrana w zielono-fioletowy długi kaftan skojarzyła się Wade'owi z czarownicą.

- Wybaczcie, że tak długo was tu trzymałam, lecz dzięki temu wszystko już czeka.

- Na co? - spytał podejrzliwie Wade, wstając, choć kolana miał jak z waty.

- Na ciebie, panie.

- Na mnie? Kim jesteś?

Chloe podniosła się i stanęła u jego boku, jakby pilnując, by nie zrobił nic głupiego.

- To Ayla. Przyjaciółka. I wdowa.

- Nic dziwnego, skoro przez ostatnich dwadzieścia lat zginęło dwadzieścia milionów ludzi. Ale nie narzekam. Wojna jest straszna, ale i z niej może czasem coś dobrego wyniknąć. Naprawdę.

Zabrzmiało to tak, jakby wcale nie brakowało jej nieżyjącego męża, przeciwnie. Wade znów pytająco spojrział na Chloe, a ona skinęła głową. Wyraźnie chciała, by zaufał tej kobiecie i przestał węszyć podstęp.

- W tym domu odbywają się lekcje - zdradziła. - Więcej wiedzieć nie musisz.

Nic nie odpowiedział. Czy naprawdę sądziły, że w razie aresztowania mógłby wydać kogokolwiek? Wolałyby zginać.

- Możemy iść? - spytała gospodyni, a kiedy skinął głową, wskazała w głąb domu. - Tędy.

Chloe podeszła do niej i obie popatrzyły na niego wyczekująco. Wade odpowiedział dokładnie takim samym spojrzeniem.

- Proszę. - Ayla ponownie zachęciła go gestem.

Czemu miał iść pierwszy w głąb ciemnego domu? Czy to pułapka? Teraz on wykonał gest, zapraszający, by kobiety poszły przed nim.

- Tędy, w lewo, drugie drzwi - wyjaśniła Ayla.

Skłonił głowę.

- Wy najpierw.

- Nie, panie, my za tobą.

Szacunek, z jakim się do niego zwracała, uzmysłowił mu, w czym problem.

- Kobiety mają pierwszeństwo. Tak mnie wychowano.

- Piękny zwyczaj. Ale nalegam, byś szedł pierwszy.

- A ja nalegam, żebym mógł iść za wami.

- Skrzyżował ramiona, okazując, że nie ustąpi.

; - Nie rozumiesz - wtrąciła po angielsku

Chloe. - Tutaj zawsze puszcza się przodem mężczyzn.

- Rozumiem doskonale, ale ja czegoś takiego nie zrobię. Moi przodkowie przewróciliby się w grobach.

- Przecież dzisiaj kazałeś mi iść za tobą na ulicy!

- To było zupełnie co innego, w niebezpiecznej sytuacji nie posyła się kobiety pierwszej.

- Czyli reguły zmieniają się w zależności od okoliczności?

- Tak. Słuchaj, albo idziecie przede mną, albo stoimy tu do rana.

- Nie bądź śmieszny! — ofuknęła go.

Może i był śmieszny, ale w żadnym wypadku nie zamierzał ustąpić.

- O co chodzi? - spytała wdowa w języku pasztu.

- On jest uprzejmy. - Łypnęła na niego ponuro. - Po amerykańsku. Trudno, musimy zrobić, jak sobie życzy. - Uniosła dumnie głowę, wymaszerowała z pokoju.

Wdowa wciąż nie rozumiała, czego się od niej oczekuje, więc Wade ujął ją pod ramię i skierował ku wyjściu. W sumie dobrze się stało, bo dzięki temu ona już po paru krokach zorientowała się, jak z nim źle, podtrzymała go i zaprowadziła do pomieszczenia wyglądającego jak mała sala szpitalna. Zaskoczony Wade

ujrzał stół operacyjny, bezcieniową lampę, umywalkę z kranem i podręczny stolik na kółkach, na którego blacie spoczywały równo poukładane narzędzia chirurgiczne.

- Zechciej usiąść. - Ayla wskazała mu stół i nachyliła się do Chloe. - Ja mam szyć, czy ty to zrobisz?

Chloe zawahała się.

- Może ja. Jeśli będzie tego za dużo, ty dokończysz.

- Chwileczkę - wtrącił Wade, niepewny, czy dobrze zrozumiał tę wymianę zdań. - Któraś z was zamierza założyć mi szwy?

- Tak będzie bezpieczniej. Po pierwsze, nie możesz iść do szpitala, bo nie wiadomo, czy już nas nie szukają. Po drugie, w tutejszych szpitalach nie wyrzuca się zużytych igieł, to nie Zachód, gdzie wszystkiego jest w bród.

- Rozumiem.

- Jej mąż był lekarzem, miał w domu prywatną klinikę, Ayla pracowała jako jego asystentka, nim przyszli talibowie. Jeśli wolisz, ona się tobą zajmie.

- Nie, ty to zrób.

- Tak będzie lepiej, bo Ayla ma jeszcze sporo rzeczy do załatwienia. Musimy stąd zniknąć przed świtem. - Skinęła przyjaciółce głową i wdowa wyszła z pomieszczenia.

Chloe zapaliła lampę, przysunęła bliżej kosz

na odpady i zbliżyła się do Wade'a. Przez moment był przekonany, że nie wiedziała, od czego zacząć, ale ona po chwili stania bez ruchu fachowo potrząsnęła dłońmi, rozluźniając w ten sposób palce i pochyliła się, by rozwiązać chustę, za pomocą której prowizorycznie opatrzyła ranę. Żeby dosięgnąć supła na plecach, musiała przysunąć się bliżej i aż oprzeć o kolana Wade'a, a ponieważ siedział na wysokim łóżku, znalazły się one na wysokości łona Chloe. Nie miał nic przeciw równie przyjemnemu kontaktowi, lecz pewnie jej było niewygodnie, gdy musiała tak się nachylać, więc rozsunał kolana, położył dłonie na talii Chloe i chciał ją przyciągnąć do siebie.

Zesztywniała, duże oczy spojrzały na niego pytająco przez siatkę w czadorze. Czyżby jego gest przypomniawszy jej to, co robili wcześniej? Z trudem próbował odegnać od siebie tamto wspomnienie.

— Staram się pomóc. Stań bliżej, będzie ci wygodniej.

Nie odpowiedziała, ale przysunęła się trochę i rozwiązała supeł. Zakrwawiona chusta zdążyła przyschnąć do przodu T-shirtu, więc Chloe odrywała ją po kawałeczku. Wade starał się siedzieć nieruchomo i normalnie oddychać, chociaż rana znów zaczęła krwawić i boleć. Potrzebował jakoś odwrócić swoją uwagę od blis-

kości Chloe i od tego, co się działo z jego brzuchem. Ujął w dwa palce fałd czadoru, który spoczywał na jego kolanie.

- Twoja przyjaciółka pokazała mi swoją twarz, więc dlaczego ty wciąż chodzisz w tym obrusie?

- Inaczej moje włosy byłyby odkryte, bo użyłam chusty na opatrunek. Do tego mam krew na spódnicy, łatwo odgadnąć, że twoją.

- Ayla nie zakrywa włosów.

- Jest u siebie w domu. I nie ma męskich krewnych, którzy mogliby jej tego zabronić.

- Ty już też nie. W dodatku nie zobaczysz tych ludzi więcej, więc nawet jeśli się dowiedzą, że znalazłem się bliżej ciebie, niż wypada, to co to szkodzi?

- Potrzebujemy ich pomocy, dlatego lepiej nie zrażać ich do siebie lekceważeniem tutejszych obyczajów. Ponadto, gdyby ktoś wiedział, że byliśmy blisko, a potem by nas schwytano, skazano by nas na śmierć za... za to, co ich zdaniem zrobiliśmy.

- Przecież jesteście niewinni!

- Powiedz to mulle, który będzie cię skazywał na śmierć.

- Na pewno nie ma żadnego innego powodu, dla którego nie chcesz tego zdjąć?

- To znaczy?

- Może próbujesz się ukryć?



Przerwała na chwilę, jej oczy błysnęły za siatką jakby z urazą.

- Przed kim lub przed czym?

- Przed ściągnięciem na siebie niepożądaney uwagi.

- Zapewne twojej? - skwitowała cierpko, wracając do swego zajęcia.

- Albo innych mężczyzn.

- Gratuluję bystrości umysłu. Z twoich słów wynika, że sama z siebie myślę to, co próbują nam narzucić talibowie.

Wygłosivszy tę ironiczną uwagę, odwinęła do końca skrwawioną chustę, wrzuciła ją do kosza i podeszła do umywalki w rogu, by umyć ręce, zaś Wade śledził ją spojrzeniem, chyba wreszcie odgadując prawdziwy powód, dla którego uparcie nie zdejmowała czadoru. I wcale mu się to nie podobało. Jeśli Chloe nadal zamierzała zostać i wypełniać swoją misję w Hazaristanie, niezależnie od tego, co się stało, to Wade musiał znaleźć sposób, by ją od tego odwieść. Na pewno nie mógł na nią naciskać w tej kwestii, ta kobieta źle znosiła wszelkie próby zmuszania jej do czegokolwiek.

Osuszyła ręce, wróciła do niego i zaczęła ostrożnie wyciągać koszulkę ze spodni, starając się ją bardzo delikatnie odrywać od rany, do której przyschła. Pomyślał, że nie zniesie tych powolnych tortur, odsunął Chloe, chwycił brzeg

T-shirtu, szarpnął gwałtownie, odrywając wszystko za jednym razem i błyskawicznie ściągnął przez głowę zakrwawiony materiał.

- To chyba musiało nieźle boleć. - Wzięła od niego koszulkę i cisnęła do kosza.

- Jak masz coś zrobić, zrób to od razu i miej to z głowy. - Przebiegł go dreszcz, więc mocno zacisnął zęby.

- Aleś się popisał! Teraz będzie bardziej krwawić.

- Wszystko jedno. Zaczynaj.

- Nie ma tu żadnych środków znieczulających - ostrzegła. - Ale postaram się zrobić to tak szybko, jak się da.

- Bierz się do dzieła. I nie pocieszaj mnie już więcej, bo się wycofam.

- Nie możesz!

- Żartowałem.

Zganiła go spojrzeniem, a przynajmniej tak mu się wydawało, bo przez tę przekłętą siatkę prawie nic nie było widać. Wade miał wrażenie, że czador odgradza ją niczym murem, dostawał od tego szału i aż go ręce swędziały, by najzwyczajniej w świecie zerwać z niej to cholerstwo. Oczywiście musiał się powstrzymać, ale w zamian przyrzekł sobie, że gdy tylko nadarzy się sposobność, namówi Chloe, by sama to zdjęła.

Uświadomił sobie, że ona nie bierze się do

pracy, tylko stoi, przyglądając mu się w milczeniu. Chwile mijały i nic się nie działo, a Wade czuł się pod tym baczным spojrzeniem coraz bardziej nieswojo. Miał wrażenie, jakby dotykała go wzrokiem i na samą tę myśl...

- O co chodzi? - spytał szorstko. - Nie widziałas półnagiego mężczyzny, czy co?

- Nie.

- Nawet w Stanach?

- Owszem, na plaży i na basenie. Ale to byli tylko chłopcy.

Miłe rozróżnienie, lecz ledwie zwrócił na nie uwagę. Otworzył usta, by zadać pewne pytanie, ale opamiętał się w porę. W końcu nie jego sprawa, czy Chloe miała kiedyś mężczyznę. Chyba jednak i tak odgadła, o czym myślał, bo cofnęła się o krok. Potem odwróciła się gwałtownie i znów umyła ręce.

Zjawił się stróż, niosąc naczynie z wrzątkiem, brodę miał wilgotną od unoszącej się pary. Powiedział coś szybko do Chloe, obrzucił Wade'a współczującym spojrzeniem i wyszedł.

- Pytał, czy ma mnie przytrzymać?

- Niedługo przyjedzie samochód, który zabierze nas w bezpieczniejsze miejsce - wyjaśniła, wyjmując szczypcami z wrzątku wygotowane igły i nożyczki. - Mam nadzieję, że nie zostawiłeś w hotelu żadnej rzeczy, po którą koniecznie musisz wrócić?

Pomyślał o telefonie satelitarnym. Nat będzie czekał na wieści od niego, mógłby też im sporo pomóc. Z drugiej strony najlepszym sposobem na wyciągnięcie Chloe z tego kraju było zgadzanie się na jej warunki.

- Nie.
- To świetnie.

Dała znak, że jest gotowa, więc położył się na stole, podkładając ramię pod głowę, zamknął oczy. Poczul dotknięcie ciepłego, wilgotnego materiału. Chloe zaczęła zmywać z jego ciała zaschniętą krew, ale zdawało mu się, że dotyka go również palcami, przesuwając nimi delikatnie po jego brzuchu i boku. Czy to od tego jakby pieśczonego dotyku dostał nagle gęsiej skórki na plecach?

Potem zabrała się za przemywanie i dezynfekowanie rany, co już nie należało do przyjemności i dawało mu przedsmak tego, co go czeka. Pierwsze wkłucie igły było najgorsze.

Wade zesztyniał gwałtownie, mając wrażenie, że ból przeszył każdą komórkę jego organizmu. Po chwili zmusił się do tego, by skupić się na głębokim, spokojnym oddychaniu. Nie próbował walczyć z bólem, przyjął go, pozwalał mu płynąć falami przez całe ciało i rozpraszać się. Do samego końca leżał już bez jednego drgnienia, gdy Chloe zszywała jego przeciętą skórę, jakby reperowała rozpruty szew.

Wreszcie było po wszystkim. Chloe założyła mu porządny opatrunek z gazy i owinęła taką ilością bandaży, że starczyłoby na zrobienie mumii. Wróciła Ayla, przynosząc im obojgu gorącą i słodką herbatę, bo oboje byli osłabieni i potrzebowali cukru. Potem razem z Chloe ubrała Wade'a w luźną koszulę bez guzików, głęboko wyciętą z przodu. Dżinsami musiał zająć się sam, kobiety wyszły, zostawiając mu workowate spodnie khaki. Niestety, nie dostarczono mu żadnej bielizny, a jego bokserki również były zakrwawione. Trudno.

Przebranie się wymagało od niego takiego wysiłku, że kiedy skończył, był cały zlany potem. Ledwie trzymał się na nogach, potrzebował pomocy, by wyjść z pokoju. Podziękował wdowie uprzejmie i składnie, a przynajmniej tak mu się wydawało, wsparł się na ramionach Chloe i stróża, którzy zaprowadzili go do samochodu. Kierowca czekał przy otwartych drzwiach. Wade z ulgą osunął się na tylne siedzenie.

Z całej drogi zapamiętał pojedyncze obrazy, jakby ktoś wyświetlał mu slajdy. Brama, przez którą przejechali bez zatrzymywania się. Forteca z uzbrojonymi strażnikami na dachu. Młoda kobieta z potężnym biustem, jeszcze podkreślonym przez gorset haftowany w niebieskie

kwiaty, trzymająca na biodrze małe dziecko. Miękki materac w pokoju pozbawionym okien. Smak chleba i pożywnej zupy, jedzonych w ciemności. Cisza, spokój, sen.

Tym razem ten sen był inny, a przecież taki sam i powtarzał się w niezliczonych wariantach. Czasem młoda żona nafciarza ginęła nie od kuli, tylko ktoś podcinał jej gardło. Czasem ginęła Chloe. Czasem Ayla. Albo młoda kobieta w haftowanym gorsecie, a niebieskie kwiaty robiły się czerwone. Dzieci przyrodniej siostry płakały. Wszystkie te wizje były pełne cierpienia i krwi. We wszystkich biegł, biegł, co sił, ale nie zdążał, krzyczał słowa ostrzeżenia, ale nikt ich nie słyszał.

Czasami ktoś przychodził i kładł się obok niego, ktoś, kto miał miękkie ciało kobiety, pachniał świeżością, bardzo słodko. Przytulała go, gładziła po ramionach i plecach, a czasem odwracała się tyłem i pozwalała, by jego ramiona otaczały ją, i nie odsuwała się, gdy dłoń Wade'a miękko spoczywała na jej piersi.

W swoich snach znał tę kobietę, jej kształty, dotyk skóry. Znał jej imię, znał sekrety jej duszy. Pragnął jej, pragnął rozpaczliwie, ten głód trawił go aż do trzewi. Ale czuł też, że jeśli to zdradzi, jeśli zawoła ją po imieniu, sen się skończy, ona zniknie, czar pryśnie. Milczał więc. A kiedy przy nim była, nie nawiedzały go koszmary, jakby

miała moc je odgonić i sprowadzić na niego dobry, uzdrawiający sen.

Potem budził się, zlany potem, z ustami spieczonymi gorączką, odkrywał, że jego towarzyszka znikła i zadawał sobie pytanie, czy nie wymyślił sobie tego pod wpływem maligny, czy Chloe naprawdę przy nim była.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Od jak dawna tu jesteście?

Odwróciła się szybko, słysząc zadane cichym głosem pytanie i ujrzała całkowicie przytomne spojrzenie Wade'a. Nie wiedziała, że się obudził. Przestała ścielić swoje pościelenie, podeszła do jego materaca, przyklękła.

- Niecałe dwie doby. - Odruchowo dotknęła czoła swego podopiecznego. - Widzę, że dziś rano czujesz się lepiej. Gorączka ci spadła.

- Chyba tak.

Zerknął na chustę, która zakrywała jej włosy oraz większą część twarzy, potem popatrzył jej prosto w oczy, jakby próbując wy badać, czy rzeczywiście doświadczyli jakiejś bliskości fizycznej w czasie jego choroby, czy tylko mu się zdawało. Chloe czekała, aż on zada pytanie, zastanawiając się jednocześnie, co mu odpowie.



Niewiele odpoczęła przez te dwie doby, a jeśli spała, to zazwyczaj przy nim, bo tylko wtedy się uspokajał. Poza tym poiła go, karmiła łyżeczką, przemywała mu rozpaloną twarz chłodną wodą. Przy bardziej intymnych potrzebach wyręczał ją jeden z mieszkańców tego domu, ale i tak znała Wade'a lepiej niż jakiegokolwiek innego mężczyznę. Słyszała, o czym majaczył w gorączce, tuliła go, by mógł spać bez koszmarów i odzyskiwać siły.

On chyba jednak też nie chciał poruszać tego tematu, gdyż spytał o co innego.

- Czy coś się działo przez te dwa dni?

- Policja cię szuka - uprzedziła, ponieważ niezależnie od swojego stanu musiał o tym wiedzieć, również po to, by dał się nakłonić do dalszej ucieczki. Nie mogli dłużej przebywać w tym domu i narażać jego mieszkańców.

- Jesteś oskarżony o porwanie mnie.

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

- Ahmad ukrył fakt, że odeszłam z własnej woli i że nie jesteśmy spokrewnieni, co pozwoli mu bez przeszkód mnie poślubić, gdy zostanę znaleziona i odstawiona do domu. Pewnie potem dokona tego wielkiego odkrycia, dzięki czemu będzie miał pretekst, by mnie zabić.

- Kiedy już położy łapę na spadku po twoim ojcu.

- Dokładnie. - Zawahała się. - Policja myśli,

że to ty zabiłeś Treenę, kiedy próbowała zapobiec porwaniu.

Zbladł pod opalenizną.

- A co na to jej mąż? Nie zaprzecza?

- Na to wygląda.

- Nie rozumiem tego.

Chloe również była tym wstrząśnięta i próbowała tłumaczyć sobie zdumiewające zachowanie Ismaela.

- Kochał ją i kocha swoje córki. Pewnie próbuje je ocalić przed zemstą Ahmada, dla którego i one stały się diabelskim pomiotem. Gdyby Ismael bronił tego, co zrobiła Treena, mój przyrodni brat mógłby go zabić za zdradę i zhańbienie rodziny, a wtedy nic by mu nie przeszkodziło zabrać dziewczynkę od Willi, matki Ismaela. Miałyby do tego prawo jako ich wuj, męski krewny jest zawsze ważniejszy.

- Naprawdę myślisz, że potrafiłby zabić własne siostrzenice?

- Kto to może wiedzieć? - Westchnęła ciężko. - Nawet gdyby ich nie zabił, pewnie oddałby je na wychowanie swoim dziadkom, którzy tak wspaniale wychowali jego, a to też oznaczałoby dla nich śmierć, tylko innego rodzaju.

Wiedziała, że po śmierci Ismaela nikt nie zdołałby pokrzyżować planów Ahmada co do jego córek. Imam nie mógł go powstrzymać, ponieważ jako dezerner i zdrajca związany

z silami opozycyjnymi zostałyby zastrzelony, gdyby tylko wychylił nos z kryjówki w górach.

- Ten twój przyrodni brat to psychopata  
- stwierdził z odrazą Wade.

- Nie przeczę. Z kolei dla innych to zagorzały patriota. Ogłosił dżihad przeciw tobie.

Uniósł brwi.

- Czy to nie jest rodzaj świętej wojny?

- Tak, ale to bardzo pojemne pojęcie, wiele się w nim mieści, może oznaczać walkę przeciw złu pod jakąkolwiek postacią. Dla Ahmada uosabiasz wszelkie zło, bo nie tylko jesteś niewierny, ale w dodatku splamiłeś honor jego rodziny. To wystarczy, żeby cię zabić.

- Najlepiej w długich i niezwykle wymyślnych męczarniach?

- Pojąłeś sedno sprawy, jak widzę.

- Powiem ci, że nasz stary dobry Ahmad trochę oszukuje, wyręczając się policją. Co to za przyjemność, jeśli to oni utną mi łeb, a nie on?

- Chodzi tylko o to, żeby uniemożliwić ci ucieczkę z kraju.

- Mnie?

Jak widać, przytomność umysłu wróciła mu już zupełnie.

- Chciałam powiedzieć „nam”.

Milczał przez chwilę.

- Czy tym, którzy udzielili nam pomocy dwa dni temu, nic nie grozi?

- Nie, policja nie trafiła do Ayli. Kiedy tylko poczujesz się na siłach, opuścimy i ten dom, by nikogo nie narażać.

- Będę gotów wtedy, kiedy i ty - zadeklarował.

- Jesteś pewien?

Kącik jego ust natychmiast uniósł się w krzywym uśmiechu.

- Nie wierzysz mi?

- Nie o to chodzi. Niewielka gorączka po odniesieniu rany to normalna rzecz, ale z tobą było naprawdę źle, bałam się, że niestarannie oczyściłam ranę i wdało się zakażenie.

- Zrobiłaś wszystko świetnie. Nie martw się. Dam radę.

Odniosła dziwne wrażenie, że on coś knuje. Przyjrzała mu się uważnie, ale jego pokryta dwudniowym zarostem twarz nie zdradzała niczego.

- W takim razie wyjeżdżamy dziś po południu. Jeśli nam się uda, trafimy na granicę tuż przed zmianą wartowników, oni wtedy są najmniej skłonni do szczegółowego sprawdzania papierów.

- A mamy jakieś?

- Tak, właśnie je dostaliśmy. Podróżujemy jako obywatele Arabii Saudyjskiej. Pojedziemy do Pakistanu przez przełęcz Azad, to dobra trasa do przerzutu uciekinierów, bo niedaleko po

drugiej stronie są obozy dla uchodźców, można szybko znaleźć pomoc po opuszczeniu kraju. Kiedy już uda się przekroczyć granicę, dotarcie do Rawalpindi nie powinno być trudne.

- Jestem pod wrażeniem.

Próbowała doszukać się ironii w jego głosie, lecz nie znalazła.

- Już nieraz przierzucano ludzi za granicę. W dodatku miałyśmy sporo czasu na przemyślenie szczegółów.

- My?

- Ten dom należy do członkiń RAW-y i ich mężczyzn. - Nie zamierzała zdradzać mu nic więcej, więc zmieniła temat. - Powinieneś coś zjeść, żeby odzyskać siły. Jesteś głodny?'

- Zjadłbym konia z kopytami. Tylko nie bierz tego dosłownie, wcale nie upieram się przy koninie...

- Nie obawiaj się. To tutaj taki rarytas, że nie marnuje się go na byle Amerykanina.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, opuścił ją nastrój do żartów. Wade zgodził się na ucieczkę, chociaż tym razem wszystko zaplanował ktoś inny. Zdał się na Chloe i inne kobiety, nie dopytywał o rodzaj transportu, o broń. Bardzo łatwo to poszło, za łatwo. Coś się za tym kryło, lecz nie potrafiła odgadnąć, co. Z drugiej strony jaki podstęp mógł szykować ranny, pozbawiony możliwości działania człowiek?

Niepokoilo ją też, jak uda jej się przekonać Wade'a do pewnego szczegółu ich ucieczki, o którym dotąd nie wspomniała, spodziewając się gwałtownego sprzeciwu. Postanowiła poczekać z tym do ostatniej chwili, by nie zostawić mu wyjścia i praktycznie wymusić na nim zgodę.

- Nie! I to nie jest zwykłe „nie”, ale „nie, po moim trupie”!

Zwinął w kłęb podany mu czador i cisnął nim o ścianę. Chloe spiorunowała Wade'a wzrokiem, podniosła czador i ponownie wepchnęła mu go w ręce.

- Musisz to włożyć. Straże graniczne nie będą przyglądać się zasłoniętej kobiecie, jednej z wielu. Z pewnością dostali już rozkaz zatrzymywania białych mężczyzn.

- Nie będę się ukrywał za babską spódnica!  
- Czador znów poleciał w jej stronę jak piłka.  
- Zresztą i tak nikt mnie nie weźmie za kobietę przy moim wzroście, więc cały ten pomysł to czysta głupota.

- Dlatego nie będziesz stał, tylko siedział z tyłu samochodu, udając, że ci niedobrze od jazdy, albo że jesteś w ciąży, albo co tylko chcesz. Dzięki temu będziesz mógł się skulić i udąć niższego.

Wade skrzyżował ramiona, wsuwając palce

pod pachy i całą postawą demonstrując swoją rezerwę.

- Nie włożę tego.

- Musisz! - zawołała z gniewem. - Nie ma innego sposobu. Dobrze, nie podoba ci się idea chodzenia w czadorze, ale mnie nie podoba się ona również, innym kobietom też, a męczymy się w nich codziennie od lat. My możemy, więc i ty możesz, przez kilka godzin nic ci się nie stanie, nie przesadzaj.

Przyjrzał jej się bacznie.

- Czyj to był pomysł?

- Kilku osób.

- Ale twój też, prawda? Taka mała, prywatna zemsta za to, co powiedziałem wtedy u Ayli?

- Wcale nie. - Nie zamierzała się przyznawać, że kiedy już wymyśliły, w jaki sposób niepostrzeżenie wywieźć Amerykanina do Pakistanu, faktycznie przeszło jej przez myśl, że Wade dostanie nauczkę. Według niego nosiła czador z własnej woli? Niech się więc przekona, czy można dobrowolnie nosić coś takiego.

Przyglądał jej się przez kilka długich chwil bardzo intensywnie, potem wyciągnął rękę, wyrwał czador z rąk Chloe, strzepnął go, rozpostarł jak wielki kremowy obrus, przyjrzał mu się z najgłębszym obrzydzeniem, zmiął go gwałtownie i rzucił w jej stronę.

- Nie!

- Tak! - Cisnęła czadorem z powrotem.  
- Jeśli mam cię wydostać z tego kraju, musisz ze mną współdziałać.

- Hej, to ja miałem cię stąd wydostać!

- Ale sytuacja się zmieniła i nie dasz rady. Może to moja wina. A może zwykły pech. Albo przeznaczenie. Albo cokolwiek innego. Ale niezależnie od tego, czemu tak się stało, musisz się z tym pogodzić. Teraz potrzebujemy jak najszybciej przedostać się za granicę, a przebranie cię to najlepszy sposób.

Oddychała ciężko, rozgniewana nie na żarty, a Wade patrzył, jak zakrywająca dolną połowę jej twarzy chusta unosi się wraz z każdym oddechem. Nagłe w jego oczach coś błysnęło.

- Zawrzemy umowę.

- Umowę? - spytała podejrzliwie.

- Tak. Wydaje mi się całkiem uczciwa, zważywszy, czego ode mnie żadasz. Włożę to świństwo, jeśli ty zdejmiesz swoje.

- Słucham?

- Przestaniesz nosić czador i ten szal czy też inny welon, którym się zasłaniasz.

Odruchowo uniosła dłoń ku chuście.

- Nie mogę, ja też potrzebuję się ukryć.

- To nie musi być w tej chwili - oznajmił wspaniałomyślnie. - Ale gdy tylko znajdziemy się bezpiecznie po drugiej stronie granicy, ściągniesz to z siebie.



Odetchnęła z ogromną ulgą. Przecież zostawiała go w Pakistanie i wracała z kierowcą do Ajzukabadu.

- W porządku.

Na jego twarzy odbiło się zdumienie.

- Zgadzasz się?

- Tak.

- Naprawdę pokażesz mi swoją twarz bez żadnych zasłon?

- Przecież powiedziałam! - zirytowała się.

- Nie rozumiem zresztą, czemu to dla ciebie takie ważne.

- Nie lubię, kiedy ktoś przede mną coś ukrywa.

Zaniepokoiła się. Czy to możliwe, by ją przejrzał? Nie, na pewno nie.

- Niczego nie ukrywam.

- W takim razie zdejmij chustę.

- Nie ma czasu - oświadczyła, położyła kremowy czador na materacu Wade'a i ruszyła ku drzwiom. - Ubieraj się. Za dziesięć minut wyjeżdżamy.

Przez całą jazdę do granicy myślała o tym, że Wade za nic nie może się dowiedzieć o jej planowanym powrocie. I o słowach, jakie mu się wrywały przez sen i dzięki którym pojęła, jakie koszmary go dręczyły. I o tym, że nie chce mu pokazać swojej twarzy.

Co ją właściwie powstrzymywało? Próżność,

nakazująca lękać się, że jej wygląd go rozczaruje? A może nie chodziło wcale o ukrycie ciała, tylko myśli i uczuć? Przez te długie lata czador stał się dla niej maską, mogła pod nią schować całą swoją nienawiść i gniew. W zdominowanym przez mężczyzn świecie Chloe udawała, że jest nikim i niczym, a po cichu oddawała się zakazanej działalności, walcząc z reżimem dostępnymi sobie sposobami. I teraz nagle miała chodzić z odsłoniętą twarzą, by każdy mógł zobaczyć, co jest na niej wypisane? To tak, jakby musiała stanąć przed wszystkimi zupełnie naga.

Zostawili miasto za sobą, skierowali się w stronę gór Hindukusz. Ujrzeni przed sobą brązowe wzgórza, porośnięte z rzadka jałowcami i sosnami, za nimi wznosiły się potężne skalne szczyty, ich wierzchołki tonęły w chmurach. Gdzieś tam wysoko znajdowało się parę przełęczy, które od wieków służyły jako przejścia dla kupców, najeźdźców i uchodźców.

Jechali starym, czterdziestoletnim kombi, prowadził je Kemal, rosły Tadżyk, który posługiwał się językiem dari, odmianą perskiego. Obok niego siedziała Freszta, jedna z najodważniejszych członkiń RAW-y w Hazaristanie. Miała za zadanie przesmuglować do Pakistanu kasetę wideo z nagraniem egzekucją kobiety oskarżonej o cudzołóstwo i wręczyć ją osobom, które

przełożą ją zachodnim dziennikarzom, sympatyzującym z walką prowadzoną przez RAW-ę.

Chloe siedziała z tyłu razem z Wade'em, który rzucał tak wściekłe spojrzenia przez siatkę w czadorze, jak więzień, którego ukarano za niepopelnione winy. Byłoby to nawet komiczne, gdyby nie przypominało jej, jak sama się czuła, gdy musiała włożyć to okrycie po raz pierwszy. Ale i bez tego nie okazałaby rozbawienia na widok cichej furii Wade'a, bo mogłoby go to rozjuszyć, a wtedy niechybnie zdarłby z siebie czador i już więcej go nie tknął.

- Dobrze się czujesz? - spytała, by wytłumaczyć, czemu tak mu się przygląda.

Łypnął na nią wymownie.

- Chodzi mi o to, czy nie jest ci słabo albo czy rana nie zaczęła krwawić - sprecyzowała.

- Nie-warknął, otwarcie demonstrując swój zły humor.

Nie mogła się na niego gniewać, w końcu to przez nią znalazł się w takiej sytuacji. Gdyby odmówiła od razu, zamiast kazać mu czekać, aż ona się zastanowi, dawno byłby bezpiecznie w domu, cały i zdrowy. Miała wyrzuty sumienia również z innego powodu - przecież nie uda mu się osiągnąć celu swojej wyprawy, gdyż Chloe nie wróci z nim do Stanów. Ona sama z kolei skorzystała na jego przyjeździe, gdyż dzięki niemu wiedziała, że jest kobietą bogatą, a co za

tym idzie - niezależną. Będzie mogła działać dla dobra sprawy. Miała wobec Wade'a spory dług wdzięczności.

- Daleko jeszcze? - odezwał się po jakimś czasie.

- Dwie godziny do granicy i tyle samo na lotnisko w Rawalpindi. Zabrałam bilety lotnicze, które miałeś w kieszeni džinsów. Jak widzisz, realizujemy plan ucieczki niewiele różny od twojego.

Kiedy nie odpowiedział, zerknęła w jego stronę. Siedział z twarzą odwróconą do okna, zapatrzony w coraz bliższe góry.

Wydostali się wreszcie z doliny rzeki Kaszi i od tej pory droga zaczęła się stopniowo wznosić, wijąc się serpentynami pośród wzgórz. Wbrew przewidywaniom Chloe dotarcie do granicy zajęło im ponad trzy godziny, gdyż musieli zwolnić. Biegnąca wąwozami stara, wyboista szosa stała się nie tylko bardziej stroma, ale i bardziej zatłoczona, ponieważ w stronę Pakistanu zmierzali liczni uchodźcy, zazwyczaj całymi rodzinami, wąską drogę tarasowały pełne dobytku wozy i wózki, najczęściej ciągnięte przez osła, lecz czasem trafiała się i koza. Po obu stronach wąwozu wznosiły się pionowe skały, więc na jego dnie powietrze stało nieruchomo, panowało gorąco i zaduch. Śmierdziało spalinami, odchodami zwierząt, ludzkim potem. Ani

otwieranie, ani zamykanie okien w samochodzie nie poprawiało sytuacji. Owinięte czadorami kobiety oddychały ciężko, ale Chloe wiedziała, że Wade musi się dusić jeszcze bardziej, ponieważ nie był przyzwyczajony do podobnego utrudnienia.

Zatrzymywali się coraz częściej, nie tylko z powodu coraz większego tłoku na drodze, lecz również dlatego, że kombi zaczęło podejrzanie rzeźzić i Kemal co jakiś czas polewał chłodnicę wodą z plastikowego baniaka, który trzymał w bagażniku. Ta sama woda służyła im też do picia, przy czym tylko kierowca mógł pić normalnie, pozostała trójka musiała ostrożnie łykać płyn przez przesuniętą ku ustom gęstą siatkę w czadorze.

Słońce przesuwało się coraz bardziej ku zachodowi, cienie wydłużały się. Skalne ściany po obu stronach drogi zrobiły się jeszcze bardziej strome i zupełnie już niedostępne, w dodatku przejście zaczęło się zwężać, a wszystko to razem wywoływało w uciekinierach uczucie dobrowolnego pchania się w pułapkę. Wreszcie ujrzeli budynek graniczny i zatrzymali się w prowadzącej do niego kolejce. Kierowca otworzył i wysiadł, by ocenić sytuację. Stał na szosie, patrząc przed siebie zmrużonymi oczami, naraz jego brwi ściągnęły się pod turbanem w prostą linię, więc Freszta, która biegłe władała pasztu

i dari, oraz kilkoma narzeczanymi, zadała Kemalowi pytanie w jego rodzimym języku. Nastąpiła krótka wymiana zdań, Chloe nie rozumiała słów, lecz brzmiały w głosach niepokój wychwyciła od razu.

- Co się dzieje? - spytała bez tchu.

- Strażnicy zatrzymali ciężarówkę, zabrali kierowcy papiery i przeszukali skrzynię.

- To wszystko?

- Nie. Tą ciężarówką jedzie też kobieta, której kazali zdjąć czador.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kolejka przesunęła się, znowu podjechali nieco do przodu. Wznoszące się po obu stronach drogi strome skalne ściany odcinały drogę ucieczki. Nie mogli też zawrócić, gdyż natychmiast ściągnęliby na siebie uwagę, a tego właśnie musieli uniknąć. Nie pozostało nic innego, jak jechać dalej, mając nadzieję, że strażnicy tylko wrywkowo urządzają tak dokładną kontrolę. Wade nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł się równie bezradny, ale mógł za to winić tylko samego siebie. Czemu pozostawił opracowanie ucieczki komu innemu? Co prawda, on też pewnie nie wymyśliłby nic lepszego, ponieważ w zaistniałej sytuacji nie było zbyt wiele możliwości wydostania się z Hazaristanu.

Na domiar złego było mu gorąco pod metrami materiału, oddychał z trudem, pot spływał mu po

skórze, miał wrażenie, że wszystko go swędzi. Ale najgorsze okazało się poczucie uwięzienia, ledwo się powstrzymywał przed zerwaniem z siebie czadoru bez względu na konsekwencje. Po tych paru godzinach nie mógł zrozumieć, czemu Hazarki dotąd nie wywołały powstania i nie wymordowały wszystkich mężczyzn dookoła. On by chyba tak zrobił, bo to przekłete okrycie doprowadzało go do szału. Podziwiał Chloe, która siedziała w absolutnym spokoju, gdy zbliżali się do granicy.

Dotknął rękojeści pistoletu zatkniętego za pasek, by sprawdzić, czy w razie potrzeby łatwo będzie go wydobyć.

- Kemal ma broń? - spytał Chloe.
- Oczywiście.
- A umie zrobić z niej użytek?

Spojrzała na niego zimno.

- W jego rodzinie od pokoleń wszyscy mężczyźni są wojownikami.

- To czemu nie jest w wojsku?

- Był. Do czasu, gdy talibowie otoczyli jego rodzinną wioskę i zabili wszystkich mieszkańców w odwecie za pomaganie partyzantom. Stracił wtedy dziadka, matkę, dwóch młodszych braci, siostrę i trzech siostrzeńców. Gdy się o tym dowiedział, zdezerterował. Ponieważ jego siostra należała do RAW-y, pomaga nam i służy jako nasz łącznik z partyzantami.



Wade zastanowił się, czy Freszta też ma za sobą podobnie traumatyczne przejścia i doszedł do wniosku, że w tym nękanym wieloletnią wojną kraju pewnie każdy mógłby opowiedzieć straszne historie o cierpieniu, jakie dotknęło jego rodzinę.

- Nie wiedziałem, że współdziałacie z partyzantami.

- Tylko czasami. Niektórzy z nich interpretują nakazy Koranu równie dogmatycznie jak talibowie. Ale względne złagodzenie restrykcji w Afganistanie daje nam pewną nadzieję na to, że może mentalność mężczyzn w tym regionie trochę się zmieni.

„Nam”. Czyli kobietom z RAW-y. Znowu nieświadomie podkreślała swoją wspólnotę z nimi, co w odczuciu Wade'a nie rokowało dobrze ich wspólnej ucieczce. Na razie jednak nie zamierzał się nad tym zastanawiać, ponieważ mieli inne problemy.

Znów podjechali kawałek do przodu. Wielka ciężarówka przed nimi zasłaniała widok, więc nie wiedzieli, co się dzieje, mogli jedynie dostrzec stojącą na poboczu parę ludzi, która zdawała się potulnie czekać na koniec rewizji.

- Gdyby sprawy potoczyły się źle, czy Kemal jest gotów sięgnąć po broń?

- Jak najbardziej. Jego zadaniem jest chronić nas i przewieźć przez granicę.

Czyli uważała Wade'a za chwilowo niezdolnego do obronienia jej. Bardzo dobrze, niech dalej tak myśli. Owszem, nie był w najlepszej formie, lecz szczęśliwie natura obdarzyła go silnym organizmem o wyjątkowej zdolności regeneracji, więc Wade znajdował się w znacznie lepszym stanie, niż komukolwiek mogło się wydawać, lecz nie zamierzał się z tym ujawniać tak długo, jak tylko się da. Było mu na rękę, by Chloe uważała go za ciężko rannego, bo wtedy nie miała się przed nim na baczności. Stało się dla niego jasne, że w ciągu tych dwóch dni spędzonych w domu kobiet z RAW-y utwierdziła się w przekonaniu, że nie może zostawić przyjaciół i zdradzić sprawy. Zapewne planowała odstawić go w bezpieczne miejsce, wrócić do Hazaristanu i znów działać w podziemiu. Nie zamierzał do tego dopuścić, w końcu nie po to przyjechał do tego kraju. Musiał ją przechytrzyć.

Ciężarówka przed nimi podjechała na wyznaczone stanowisko przy strażnicy, kierowca wysiadł i natychmiast został starannie obszukany. Funkcjonariusze poszukiwali broni. Widząc to, Freszta powiedziała coś do Kemala, który pomacał pod siedzeniem, sprawdzając, czyjego broń jest na miejscu. Wade sprężył się, czujny i gotowy do wymiany ognia ze strażnikami, choć wolałby, żeby w samym środku walki nie znajdowały się dwie kobiety.

Ich poprzednikowi w kolejce dano znać, że może jechać.

- Skul się, zamknij oczy i udawaj chorego  
- przynagliła Wade'a Chloe, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Podobne sztuczki były wbrew jego naturze, lecz z drugiej strony mogły zapobiec strzelaniu, a więc wystawieniu kobiet na niebezpieczeństwo. W dodatku nie umiał oprzeć się prośbie widocznej w oczach Chloe.

Kemal podjechał kawałek, zatrzymał się, strażnik coś warknął, potem rozległ się szelest, co oznaczało, że kierowca podał mu papiery.

Chwila ciszy. Wade słyszał tylko świergot ptaków, potem gdzieś w oddali zaryczał osioł i umilkł.

- Wszyscy wyjść.
- Kiedy... - zaczęła Freszta.
- Milczeć. Wszyscy wysiadać. Kobiety zdejmą czadory.

Wade usłyszał, jak Chloe gwałtownie wciąga powietrze, poza tym żadne z ich czwórki nawet nie drgnęło. Wpadli. Wiedzieli, że wpadli.

Położył dłoń na rękojeści pistoletu i zaczął się powoli rozprostowywać, zastanawiając się gorączkowo, jak uprzedzić Kemala, by ten był gotów otworzyć ogień. Nagle Chloe otworzyła drzwi od swojej strony, wystrzeliła na zewnątrz niczym pocisk i wrzeszcząc wniebogłosy, rzuci-

ła się ku strażnikowi. Wymachiwała rękami jak wariatka, krzycząc donośnie. Mają zdjąć czador? On chce je zbezczęścić, pokalać, wszyscy wiedzą, że czador jest święty, a kobieta nietykalna, tymczasem on, rozpustnik i lubieżnik, próbuje wykorzystać swoją pracę do ohydnych, najohydniejszych celów. A gdyby ktoś zdierał z twarzy zasłony kobietom z jego rodziny? Gdyby one zostały w taki sposób obnażone na oczach ludzi? Gdyby je ktoś chciał zhańbić?

Strażnik próbował coś odkrzykiwać, ale mimo to zaczął się cofać, wyraźnie zaskoczony atakiem kobiety. Chyba nigdy w życiu nic podobnego go nie spotkało. Chloe szalała, napierała na niego, słowa wylatywały jej z ust coraz szybciej, machała rękami, fałdy niebieskiego czadoru trzepotały jak skrzydła wielkiego ptaka, który za chwilę oderwie się od ziemi. Wyglądało to tak, jakby zaganiała strażnika z powrotem do budynku.

Wade zaniepokoił się. Nie powinna odchodzić tak daleko od samochodu.

- Przywołaj ją - powiedział w języku pasztu do Freszty. - Najlepiej zawołaj, że zasłabłem.

Skinęła głową, w jej oczach też widniała troska.

- Tak będzie najlepiej.

Słyszac wołanie, Chloe wykonała ostatni gest, gest pełnej gniewu pogardy, wyrwała

strażnikowi z ręki ich papiery, obróciła się na pięcie i pomaszerowała do samochodu. Opadła na siedzenie, zatrzasnęła drzwi, aż echo odbiło się o skały.

- Ruszaj - odezwała się do Kemala. - Odjeżdżamy. Natychmiast!

Odpowiedział coś i zacisnął palce na broni, która zdążyła się pojawić na jego kolanach.

- Mówi, że strażnicy zaczną strzelać, więc on musi być gotowy, nie może prowadzić - przetłumaczyła Freszta.

- Nie zaczną, jeśli odjedziemy od razu. Teraz mamy przewagę - przekonywała Chloe. - Powiedz mu to!

Wade wiedział, że miała rację. Dzięki jej bezprzykładnej odwadze zyskali jedną jedyną szansę, ale czas działał na ich niekorzyść. Lada moment strażnik ochłonie z szoku i podejdzie do nich ponownie.

Kemal pokręcił głową, gdy Freszta przełożyła słowa Chloe. Wade miał dość.

- Jazda! - rozkazał twardo.

Kierowca zrozumiał ton komendy, z żołnierskiego nawyku posłuchał, rzucił pistolet na podłogę i dał gwałtownie do tyłu, wycofując ze stanowiska, miał jednak dość przytomności umysłu, by po tym pierwszym ostrym manewrze ruszyć do przodu tak spokojnie, jak człowiek wiozący rodzinę na niedzielną wycieczkę.

Mieli wrażenie, że samochód dosłownie pełznie. Czekali na krzyk, na odgłos strzału. Wade chciał złapać Chloe i przygiąć ją w dół, aby nie stanowiła tak dobrego celu. Freszta zaczęła się odwracać.

- Patrz przed siebie - ostrzegł Wade. - Zachowujmy się tak, jakbyśmy mieli pełne prawo odjechać.

- Słusznie - zgodziła się.

Zauważył kątem oka, że Chloe przypatruje mu się przez siatkę. Pewnie była wściekła na niego. Aż bał się na nią spojrzeć.

- Zacząłeś wydawać rozkazy?-spytałacicho.

- Chciałem tylko wydostać cię stamtąd jak najszybciej, nim strażnik dojdzie do siebie. Na jego oczach kobieta zmieniła się we wcieloną furię, to rzadki widok w tych stronach! Wygrałaś bez dwóch zdań, ale w podobnych sytuacjach nie należy przeciągać struny.

- Czy... - urwała nagle.

- Czy co?

- Czy bałeś się, że coś mi się stanie?

Zerknął na nią. Wyraźnie próbowała zajrzeć przez otwór w czadorze Wade'a, by wyczytać coś z jego twarzy, ale oczywiście nic to nie dało. Bardzo jej tak dobrze, niech się przekona, jak rozmawia się z kimś, kto zasłania twarz. Może wreszcie zrozumie, czemu on chce ją tak bardzo zobaczyć.

- Owszem.

- W takim razie powinnam ci podziękować.

Wadę oniemiał i milczał przez dość długi czas, podczas gdy coraz bardziej oddalali się od granicy.

- Podziękować? - wydusił z siebie wreszcie.

- To nie jesteś na mnie wściekła za wtrącenie się i przejęcie inicjatywy? Przecież to ty zorganizowałaś ucieczkę, nie ja. To twoja operacja.

- Zacząłeś rozkazywać, bo zaistniała taka konieczność. Udzieliłeś mi wsparcia, gdy tego potrzebowałam. Jestem ci wdzięczna.

Aż się roześmiał i pokręcił głową.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Nic. Roześmiałem się z zaskoczenia. Ty nie masz za co dziękować! To była jedna z najodważniejszych rzeczy, jakie w życiu widziałem. Znam weteranów wojennych, twardego faceta, którzy zastanowiliby się dwa razy, zanim zaatakowaliby uzbrojonego strażnika, mając do dyspozycji tylko siłę słowa.

Z zakłopotaniem spuściła wzrok.

- Wściekłam się i przestałam się zastanawiać, co robię. Na samą myśl o tym, że zedrą z nas czadory, dostałam szału.

- Nieważne, co tobą powodowało, liczy się rezultat. Uratowałaś nas.

Popatrzyła na niego i po raz pierwszy nie odwróciła szybko spojrzenia, jak to zazwyczaj

czyniła, dzięki czemu mógł się wreszcie przekonać, jakie ona ma oczy. Niebieskozielone, jasne i czyste. Zdawała się zaglądać mu w samą duszę, w głębi której coś się poruszyło, jakby ją rozpoznało, jakby czekało na nią od niepamiętnych czasów. Wade zapragnął tej kobiety jak żadnej innej, ale zapragnął jej nie tylko fizycznie, cała jego istota tęskniła i wrywała się do niej jednej. Wpatrywał się w nią, szczęśliwy jak jeszcze nigdy, że jest mężczyzną, uświadamiając sobie jednocześnie, że dokonuje podobnego odkrycia przebrany w damskie szmatki. Co za ironia losu!

- Byłam niesamowicie przerażona - wyszeptowała cicho Chloe.

Ona drży, uświadomił sobie. Dotknął jej ramienia, powiódł palcami wzdłuż ręki, w ten sposób odnajdując smukłą dłoń ukrytą w fałdach czadom. Ujął ją i pociągnął - delikatnie i zapraszająco. Naraz w jej oczach ujrzął ogromny smutek i w tym momencie zrozumiał już bez żadnych wątpliwości, że ona postanowiła go opuścić. Już nie podejrzewał, już wiedział.

Po chwili wahania Chloe przytuliła się do niego, bardzo przy tym uważając na jego ranę. Pozwoliła się objąć. Myślał, że będzie płakała, lecz ona po prostu siedziała tak, powoli dochodząc do siebie. Coraz bardziej oddalali się od przełęczu Azad, a Wade czuł, jak napięte mięśnie Chloe rozluźniają się stopniowo.



Ujechali dwadzieścia parę kilometrów od granicy, gdy spod maski zaczął się wydobywać biały dym, a cała czwórka poczuła swąd spaliny. Chloe i Wade wyprostowali się gwałtownie. Kemal zwolnił i zaczął się intensywnie wpatrywać w drogę przed nimi, w nadziei znalezienia choćby kawałka pobocza, na które mógłby bezpiecznie zjechać. Nim trafili na odpowiednie miejsce, silnik zgasł.

Siłą rozpędu ujechali jeszcze kawałek, wreszcie zatrzymali się. Kierowca siedział przez chwilę nieruchomo z malującym się na twarzy wyrazem największego obrzydzenia, potem grzotnął pięścią o kierownicę, otworzył drzwi, wysiadł, podniósł maskę i odskoczył z głośnym przekleństwem, gdy buchnął na niego kłęb gryzącego dymu. Freszta odruchowo parsknęła śmiechem, lecz szybko spoważniała i z niepokojem obróciła się do Wade'a.

- Musisz się znać na tych amerykańskich maszynach. Wygląda, jakby coś się paliło. Jak sądzisz?

- Silnik się zatarł, moim zdaniem poszła głowica.

- Czy to coś poważnego?

- Trzeba ją wymienić na inną, sprawną, inaczej nie pojedziemy.

Ponieważ znajdowali się na pustkowiu, ich szanse na wymianę silnika były oczywiście

żadne. Podejrzenia Wade'a potwierdził kierowca, wracając z posępną miną i rzucając krótkie zdanie w języku dari.

- Nie da się tutaj naprawić - przetłumaczyła Freszta.

Wadę wysiadł i rozprostował się z ulgą.

- Mogę rzucić okiem?

Kemal oparł się plecami o samochód i bez słowa zapalił papierosa, co Wade uznał za milczące pozwolenie. Zrobił krok, poczuł, jak to przekłete ubranie krępuje mu ruchy, zdarł z siebie czador, z ulgą cisnął go na tylne siedzenie i - nareszcie wolny - podszedł do otwartej maski, spod której buchało nieznośne, iście piekielne gorąco. Zgodnie z jego przewidywaniami nie było czego zbierać. Głowicę diabli wzięli, zawory się zatarły, aż dziwne, że nic się nie stopiło.

Pozostawała piesza wędrówka.

Usłyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwi, zaraz potem zza uniesionej maski wyłoniła się Chloe i stanęła obok niego.

- I co myślisz?

Wade uśmiechnął się krzywo.

- Koniec jazdy.

- Tego się obawiałam...

- Co ja bym teraz dał za telefon komórkowy i GPS!

- Najlepiej zapomnij o takich rzeczach

- poradziła. - Zaczynij myśleć tak, jakbyśmy cofnęli się w czasie o kilkadziesiąt lat.

- Albo i więcej - skomentował ponuro, spoglądając na idącego w przeciwnym kierunku mężczyznę, który prowadził osła, objuczonego zwiniętym dywanem, dwoma glinianymi dzbankami oraz trójką bystrookich dzieci, z których żadne nie miało nawet sześciu lat. - I co teraz?

- Skąd mam wiedzieć?

- To ty zorganizowałaś tę część ucieczki.

- Ale nie tak to miało wyglądać. - Zirytowała się. - W dodatku zupełnie nie znam tej okolicy.

- Cóż... - Rozejrzał się dookoła po pustkowiu zalanym pomarańczowym światłem zachodzącego słońca. - Możemy zatrzymać przechodzącego wielbłąda i dalej pojechać na nim. Albo podciągnij czador i pokaż kostkę, złapiemy na nią stopa, oczywiście pod warunkiem, że trafi się jakiś wyjątkowy kierowca, który nie ma nic do Amerykanów.

- To wcale nie jest śmieszne!

- A czy ja żartuję?

Sytuacja była poważna, lecz Wade czuł się tak dobrze i beztrósco, jakby wypił sporą ilość wina. Może ta dziwna reakcja wynikała z osłabienia spowodowanego utratą dużej ilości krwi, może tak go ucieszyło wydostanie się z Hazaristanu, a może miało to coś wspólnego z kobietą,

która stała przy nim. W każdym razie był w znakomitym nastroju.

- Jest nas czworo, tylko duża ciężarówka zdoła nas zabrać.

- Możemy dalej iść na piechotę, ale w takim przypadku musisz wyskoczyć z czadoru.

- Znowu zaczynasz?

Tym razem nie pójdzie jej z nim tak łatwo, już się nie wykręci.

- Wyjechaliśmy z Hazaristanu. Nikt nie patrzy. Ściągaj to.

- Przestań!

- Zawarliśmy umowę.

Chloe westchnęła wymownie.

- Pakistańczycy wcale nie są aż tacy postępowi. W dodatku połowa ludzi, którzy jeżdżą tą drogą, to Hazarowie i Afgańczycy.

- A co to ma do rzeczy? - burknął niechętnie, choć domyślał się, że taką właśnie odpowiedź usłyszy.

- Naprawdę chcesz kogoś sprowokować i ściągnąć na nas kłopoty, kiedy będziesz musiał wystąpić w mojej obronie?

Oczywiście miała rację, lecz Wade wcale nie kwapił się, by to przyznać. Z kłopotu wybawiła go Freszta, która właśnie podeszła do nich.

- Rozmawiałam z Kemalem - oznajmiła bez żadnych wstępów.

Wade zerknął na Tadżyka, który dalej stał

oparty o samochód, minę miał tak samo ponurą jak przedtem.

- I?

- I doszliśmy do wniosku, że my dwoje nie jedziemy dalej, skoro i tak musielibyśmy wracać, a nie mamy czym.

- Freszta, nie możesz mi tego... - zaczęła Chloe, lecz tamta rzekła szybko:

- Wysłuchaj mnie, proszę. To naprawdę nie była łatwa decyzja. - Z powagą wpatrywała się w przesłonięte siatką oczy Chloe. - Ta droga wiedzie prosto do Peszawaru, nie potrzebujecie przewodnika, a łatwiej będzie dwóm osobom niż czterem. Trzeba się rozdzielić. Dalej podróżujecie sami.

Zdaniem Wade'a brzmiało to rozsądnie. Spojrzał ponad ramieniem Freszty w stronę Kemala, a ten w milczeniu skinął głową, pokazując, że jemu takie rozwiązanie też pasuje. Jedna Chloe nie chciała na nie przystać.

- Zostawisz mnie, żebym sama opiekowała się rannym?

- Nie jest z nim aż tak źle. Wytrzyma podróż.

Wade nie miał pojęcia, czym się przed nią zdradził, w każdym razie ta kobieta go przejrzała.

- A jak mnie złapią samą z mężczyzną?

- Trudno, tu jest to źle widziane, ale na pewno nie grozi ci kara śmierci. Kiedy znaj-

dziecie się w Stanach, w ogóle nikt nie zwróci na to uwagi.

- A jeśli Ahmad nas dopadnie?

- Musisz po prostu ufać, że twój Amerykanin cię obroni.

Chloe nie poddawała się.

- A co z twoją misją?

- Przekazuję ją tobie.

Freszta uniosła brzeg czadoru i wyjęła nieduży płaski pakiet spod szerokiej szarfy, którą była przepasana w talii. Podała go Chloe, lecz ta nie sięgnęła po niego, za to zerknęła na Wade'a, jakby niezadowolona, że stał się świadkiem tej wymiany. To od razu zaostrzyło jego ciekawość, przyjrzał się więc uważniej pakunkowi. Miał wielkość i kształt kasety wideo, lecz równie dobrze mógł zawierać ładunki wybuchowe.

- Weź to, Chloe. Musisz.

- Nie mogę. Nie wiem, komu to przekazać ani jak znaleźć tych ludzi.

- Nie ma sensu opowiadać ci, jak radziłyśmy sobie do tej pory, ponieważ lepiej, żebyś zabrała to do Ameryki. Tam poszukasz szanowanego dziennikarza, któremu nasze dobro będzie leżało na sercu i który nada temu taki rozgłos, jak trzeba.

- Ale przecież ja nie zamierzam...

- Wiem. Znam twoje poświęcenie, twoją odwagę, wielkość twego serca. Rozmawiałam

o tobie z Aylą i Willą, rozważyliśmy wszystko i po długim namyśle podjęliśmy decyzję. Wypełnienie tej misji od początku należało do ciebie, a nie do mnie.

- Nie!

- Tak. Jesteś naszą siostrą w walce, musisz pomóc naszej wspólnej sprawie.

- Ale jeśli pojedę, być może nigdy nie uda mi się wrócić!

- Jeśli tak ma być, niech tak się stanie. Pewne rzeczy w życiu są przeznaczone, więc może to kismet przywiódł cię do mego kraju, byś cierpiała z nami i teraz wypełniła dla nas tę misję. Posłuchaj! - poprosiła żarliwie, gdy Chloe próbowała jej przerwać. - Jeśli wrócisz, zginiesz prędzej czy później. Zbyt się wyróżniasz, byś mogła się długo ukrywać, ktoś cię wyda albo dla pieniędzy, albo dla zapewnienia sobie miejsca w raju. My codziennie ryzykujemy życie, ale to co innego, my urodziłyśmy się w Hazaristanie, nie porzucimy go. Ty jesteś z kraju wolnych kobiet, wracaj tam i walcz o naszą wolność.

Chloe wyprostowała się.

- Zrobię, czego żądasz, siostró - rzekła zmienionym głosem, jakby dławili ją łyzy.

Naraz Kemal poruszył się i spojrzał na drogę. W oddali pojawiły się dwa światła, które zbliżały się szybko. W stronę przełęczy Azad

jechała ciężarówka, więc Tadżyk wyszedł na środek drogi i stanął z uniesioną dłonią. Kiedy kierowca zaczął hamować, Kemal dał znak Freszcie i zawołał do niej nagłym tonem. Odwróciła się, wepchnęła pakiet w dłonie Chloe, objęła ją, ucałowała przez materiał w oba policzki.

- Niech Allah cię strzeże, przyjaciółko, niech cię obdarzy długim i szczęśliwym życiem.

- Ciebie również.

Freszta przeniosła poważne spojrzenie na Wade'a.

- Czuwaj nad nią.

Powodowany nagłym impulsem, przyłożył dłoń do serca i skłonił głowę. Widział to wielokrotnie u ludzi Wschodu, lecz nigdy nie przyszło mu do głowy, by ten gest naśladować. W tej jednak chwili wydał mu się najodpowiedniejszy. Freszta musiała uśmiechnąć się w odpowiedzi, gdyż jej oczy za siatką rozjaśniły się wyraźnie. Chwilę potem już biegła do stojącej ciężarówki, Kemal pomógł jej wsiąść, nie z grzeczności bynajmniej, lecz tak było szybciej, w dodatku dzięki temu sam miał miejsce przy oknie. Ruszyli.

Wade spojrzął na swoją towarzyszkę, lecz nie zwracała na niego uwagi, odprowadzała wzrokiem oddalający się samochód.

Sytuacja przedstawiała się więc następująco:



on, Wade Ethan Benedict we własnej osobie, utknął gdzieś na pustkowiu w obcym kraju, bez mapy, środka transportu i planu działania. Dysponował tylko częścią swojej normalnej siły oraz jednym pistoletem z ograniczoną liczbą amunicji, do tego towarzyszyła mu kobieta, która postrzegała go jako niepotrzebne obciążenie i chciała znajdować się zupełnie gdzie indziej, w dodatku w innym towarzystwie, przy czym miałoby to być towarzystwo kobiet. Na domiar złego zmierzchało się, a jedyne schronienie tej nocy mógł im zaofiarować ten porzucony samochód, jednocześnie stanowiący cenny kąsek dla ukrywających się w górach rabusiów i bandytów.

A jakby tego wszystkiego było mało, Wade stracił rozum. Tak, ewidentnie musiał zwariować, ponieważ nie czuł ani niepokoju, ani zdenerwowania, ani nawet irytacji, tylko niezmaconą, obłądną radość.

Jezu, jaki on był szczęśliwy!

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Co cię tak rozbawiło? - spytała ostro Chloe.

- Nic, zupełnie nic.

Odwrócił się czym prędzej i bacznie zlustrował wzrokiem otaczające ich łąki, ciemniejące wzgórza, a za nimi ostre szczyty Hindukuszu. Chloe pożałowała, że tak na niego naskoczyła, w końcu to nie z jego winy wypadki potoczyły się tak niesprzyjająco i to nie z jego winy czuła się dojmująco samotna. Chociaż nie do końca, bo gdyby nie zjawił się w Hazaristanie, nie doszłoby do tego wszystkiego. Jej przyjaciółki widziały w przebiegu wypadków rękę przeznaczenia, lecz Chloe widziała w tym raczej rękę Wade'a Benedicta, co wcale jej się nie podobało.

Tymczasem on podszedł do samochodu,

otworzył bagażnik i sprawdził jego zawartość. Znalazł gruby wór, pełen różnych przydatnych przedmiotów, do tego dywanik modlitewny oraz poplamiony wełniany koc. Te dwie ostatnie rzeczy zwinął ciasno razem i podał Chloe. Wzięła je od niego odruchowo i wsunęła do środka pakiet z kasetą, krzywiąc się jednocześnie, gdyż wełna przeszła zapachem kóz i papierosowego dymu.

- Po co mi to dajesz?

- Na biwaku takie rzeczy są potrzebne.

- Na biwaku?

- Dobra, możesz nazwać mnie tchórzem, ale głupio byłoby nocować w porzuconym wozie na środku pustej drogi. Zaryzykowałbym, gdybym był sam, ale jestem z kobietą.

- Dam sobie radę.

- Uważaj, bo w niej ednym przypadku były to czyjeś ostatnie słowa. - Wystawił na drogę do połowy pełny pięciolitrowy baniak z wodą.

- Podoba mi się ten Kemal, wiedział, co trzeba ze sobą mieć w razie noclegu gdzieś poza domem. Przenocujemy w zacisznym miejscu, a rano ruszymy do Peszawaru.

Łypnęła na niego.

- Przyznaj się... Należałeś do skautów, tak?

- Nie, ale jak byliśmy dziećmi, to razem z braćmi praktycznie mieszkaliśmy w lesie przy domu.

- Tu nie Luizjana.

- Dzięki temu nie zjedzą nas komary i nie będziemy marzyć o klimatyzacji.

Rzeczywiście zrobiło się znacznie chłodniej, odkąd słońce schowało się za górami.

- A nie możemy spać w samochodzie?

- W tej okolicy części samochodowe muszą być na wagę złota. Do rana zostanie z niego tylko szkielet.

- Zapominasz o tutejszych zwyczajach. Tu za kradzież obcina się rękę.

Posłał jej wymowne spojrzenie.

- Żeby obciąć złodziejowi rękę, trzeba go najpierw złapać. A perspektywa utraty ręki zapewne nie zachęca rabusiów do pozostawiania świadków przy życiu. Jesteś na tyle ciekawa, by zostać i się przekonać?

Chloe naraz nabrała ochoty na biwak.

- Jako ekspert pewnie masz już upatrzone dobre miejsce?

- Tam. - Wskazał na kępę cedrów znajdującą się spory kawałek drogi od szosy. Rosły na łagodnym zboczu, z jednej strony chronione stromą skalą jak ścianą.

- Będzie wygodnie jak w domu - mruknęła cierpkim tonem Chloe. - Prowadź więc, nieustraszony przywódco!

Wziął bianiak z wodą, zarzucił na ramię wór.

- Damy mają pierwszeństwo - odparł z błyskiem w oku.

Bez słowa zmierzyła go spojrzeniem, wsadziła sobie pod ramię zwinięty koc, drugą ręką zebrała brzeg czadoru, by jej nie przeszkadzał i ruszyła na przełaj przez łąki. Nim zrobiło się zupełnie ciemno, zdołali dotrzeć do drzew i rozpalic ogień. Wade zbudował z kamieni okrągły murek, wewnątrz którego fachowo ułożył drwa na ognisko, Chloe zaś znalazła w worze zapałki, płaskie naczynie do gotowania wody, plastikowy kubek oraz torebkę z herbatą. Na koniec rozłożyła po jednej stronie ogniska dywanik modlitewny, a po drugiej koc.

- Nie do końca jak w domu, ale całkiem niezgorzej - skomentował Wade, zerknąwszy ponad płomieniami, i uśmiechnął się.

Ciepłe światło zatańczyło na jego twarzy, zamigotało w oczach, zaś Chloe nagle uprzytomniła sobie, jak bardzo Wade jest atrakcyjny. Wyciągnął się po przeciwnej stronie ogniska, opierając na zgiętym kolanie rękę, w której trzymał naczynie z herbatą i sprawiał wrażenie tak zadowolonego, jakby naprawdę zrobili sobie zwykły biwak. Nocny wiatr rozwiewał mu włosy, z jego twarzy zeszła szarawa bladeść spowodowana wpływem krwi i gorączką, znów widać było głęboką opaleniznę. W niczym nie przypominał chorego mężczyzny, który majaczył w gorączce ledwie dobę wcześniej.

Chloe przyłapała się na tym, że się na niego

gapi, więc czym prędzej odwróciła wzrok i sięgnęła po niedużą skórzaną sakwę, którą też znalazła w worku.

- Chcesz coś zjeść?

- A co tam jest?

- Tradycyjna hazarska mieszanka orzechów, ziaren i suszonych owoców. Czasem trafia się też suszone mięso.

Wyciągnął rękę, a Chloe nasypała mu pełną garść.

- Zjem później - stwierdził, układając jedzenie na brzegu dywanika.

Chloe wyłowiła z sakwy wysuszoną na słońcu morelę i zaczęła ją skubać zębami.

- Pewnie wasze biwaki w dzieciństwie wyglądały trochę inaczej - zauważyła.

Wade miał przez moment dziwny wyraz twarzy, który znikł, nim Chloe zdołała go rozszyfrować.

- Zgadza się... Przede wszystkim nie mogły w nich brać udziału dziewczyny. Co prawda nie wiem, po co takie zakazy, kiedy nie ma komu zakazywać.

- W waszej rodzinie nie było żadnych dziewczynek?

- Nie. Sami chłopcy. Adam, ja, Clay i Matt. Dwaj ostatni byli bliźniakami.

- Byli?

- Matt zginął w tragicznym wypadku.

- Tak mi przykro - szepnęła, ujrawszy, jak przez jego twarz przemknął skurcz bólu.

- To się stało dawno, dziesięć lat temu. Zostawił córkę imieniem Lainey. Niedawno miała przeszczep nerki, na szczęście wszystko poszło dobrze. Clay oddał jej swoją, bo kocha tę małą na zabój. Jej matkę zresztą też.

- Nie rozumiem.

- Ożenił się z ukochaną Matta. Nic dziwnego, mieli identyczny gust.

- A twój trzeci brat?

- Adam? Też ma żonę, jest wprost niesamowita, mówię ci, czyta w jego myślach! To mogłoby być naprawdę straszne, ale mój brat za tym przepada.

- Czemu?

W jego oczach pojawił się szelmowski błysk.

- Uwierz mi, wolałabyś nie wiedzieć...

Chloe na wszelki wypadek postanowiła nie drażnić tego tematu.

- Masz jeszcze jakieś bratanice lub brataników?

- Na razie nie, ale w rodzinie jest sporo dzieci, moi kuzyni się o to postarali.

W ten sposób dowiedziała się o istnieniu Kane'a, Luke'a i Roana oraz ich żon i pociech, a także o mieście Tum-Coupe, jego mieszkańcach, kwadratowym rynku z jednym pomnikiem upamiętniającym konfederatów, a drugim ku

czci żołnierzy poległych w Wietnamie, o corocznym Świącie Piratów, o pobliskim jeziorze i dookolnych mokradłach. W głosie Wade'a pobrzmiwała tęsknota, co zdradzało Chloe, jak kochał tamtych ludzi i miejsce, w którym się urodził.

- Dlaczego wyjechałeś z Turn-Coupe? - spytała, kiedy zamilkł.

Wzruszył ramionami.

- Długa historia i niezbyt zajmująca. I tak już wystarczająco dużo gadałem.

- Na razie nie mamy nic lepszego do roboty. Chętnie posłucham.

Popatrzył na nią ponad ogniskiem, w jego pociemniałych oczach ujrzała coś dziwnego, a wtedy przebiegł ją dreszcz, serce zabiło jej szybciej, usta rozchyliły się bezwiednie. Ogarnęło ją uczucie napiętego wyczekiwania, lecz Wade spuścił wzrok i zapatrzył się w trzymane w rękę naczynie, poruszył nim, by machinalnie zakręcić resztką herbaty na dnie. Wyraziste rysy stwardniały.

- Oczywiście, jeśli to zbyt osobiste... - zaczęła Chloe.

- Niespecjalnie. Zwykła rodzinna historia. Adam był najstarszy, pracowity, rzetelny, dobrze się uczył i starał się spełniać pokładane w nim nadzieje. Clay i Matt byli najmłodszy, to też uprzywilejowana pozycja, w dodatku



mieli siebie nawzajem. Jako środkowy syn potrzebowałem się jakoś wyróżnić, więc wiecznie się stawiałem, honorowy jak diabli i ogólnie upierd... trudny. Ale nie wiem, czy aż tak trudny, jak ojciec, nieuleczalny perfekcjonista, głęboko przekonany, że jest tylko jeden sposób robienia każdej rzeczy i jest to oczywiście jego sposób. Dlatego ciągle siedzieliśmy w lesie, z dala od starego, ale to nie zawsze skutkowało, co i rusz podpadałem ojcu, a on w ramach wbijania mi rozumu do głowy regularnie lał mnie pasem. To głównie z tego powodu mama w końcu go zostawiła, gdy miałem kilkanaście lat, a jedyną osobą, którą to zaskoczyło, był właśnie ojciec. Zamiast zastanowić się nad sobą i próbować wszystko naprawić, obarczył ją całą winą za rozstanie, czego my czterej nie mogliśmy mu wybaczyć, zwłaszcza ja. - Przerwał na chwilę. - Mówiłem ci, że to nudne.

- Nie, wcale nie.

Zaintrygowała ją ta opowieść, zaintrygował ją ten dawny Wade Benedict, różny od opanowanego twardziela, który odszukał ją na stadionie i zakradł się nocą do jej ogrodu. W dodatku dobrze było dowiedzieć się, że pozornie idealne rodziny, a tak sobie wyobrażała Benedictów, gdy mieszkała z tatą na należącym do nich kempingu, również mają swoje problemy, czasem bardzo poważne. Czyli rodzice Wade'a też

się rozeszli... To stwarzało pewną wspólną doświadczeń między nim a Chloe.

- Wyjechałeś więc z Turn-Coupe, bo nie mogłeś już dłużej wytrzymać z ojcem?

- Tak. W dodatku miałem dość tej dziury, chciałem zobaczyć kawałek świata. Przez jakiś czas mieszkałem w Nowym Orleanie u mamy, ale u niej przewalała się masa ludzi, to artystka, prowadzi dom otwarty, przyciąga różnych dziwaków... W końcu wynająłem sobie własny kąt. Pracowałem jako barman, studiowałem, zdobyłem dyplom. Akurat wtedy szukano inżynierów do pracy na Bliskim Wschodzie, no to pojechałem. - Zerknął na nią. - Naprawdę chcesz tego słuchać?

Zignorowała jego pytanie.

- To nie poszedłeś do wojska?

- Czemu myślisz, że byłem w armii?

- Czasem zachowujesz się jak komandos. I miałeś koszmary w związku z jakąś nieudaną operacją militarną czy czymś takim. Ale mogłam coś źle zrozumieć, bo mówiłeś przy tym o jakiejś kobiecie, więc to chyba nie była operacja wojskowa...

- Jezu - wyszeptał i wolną dłonią przeciągnął po twarzy z taką siłą, że jego rysy na chwilę zmieniły się w tragiczną maskę.

- Wybacz, nie powinnam była o tym wspominać. Jestem okropna.

- Nie, czemu? - Parsknął krótkim, wzgardliwym śmiechem. - Właściwie masz prawo usłyszeć całą historię, żeby wiedzieć, jaki obrońca ci się trafił.

Nie podobała się jej brzmiąca w jego głosie pogarda dla samego siebie ani gwałtowność, z jaką chlusnął do ogniska resztką herbaty, ale zmiana tematu nie była już możliwa.

- Nie zaciągnąłem się do wojska, ale pracowałem jako funkcjonariusz ochrony korpusu dyplomatycznego. Tak się złożyło, że w Arabii Saudyjskiej któregoś dnia obroniłem na ulicy nastolatka przed czymś, co wyglądało na napad rabunkowy, dopiero potem się okazało, że ci dwaj to nie złodzieje, lecz terroryści, a potencjalna ofiara jest synem dyplomaty. Uratowałem mu życie, w rezultacie złożono mi oficjalne podziękowania i nieoficjalną wizytę, podczas której ówczesny szef ochrony, Nathaniel Hedley, zaproponował mi pracę.

Intuicja podpowiedziała jej, że o tym spotkaniu zapewne dałoby się powiedzieć dużo więcej, lecz nie zamierzała o to dopytywać. Przynajmniej na razie.

- Ale przecież miałeś już wtedy pracę, prawda? Czemu się zgodziłeś?

- Chyba mi pochlebiło, że będę obracać się wśród ludzi, którzy mają wysoką pozycję, duże pieniądze, realne wpływy. Młodym ludziom

takie rzeczy imponują. Jednocześnie byłem idealistą, czułem potrzebę zrobienia czegoś szlachetnego, przyłączenia się do jakiejś „sprawy”. Wierzyłem, że będę ochraniał ludzi, którzy dbają za granicą o najżywotniejsze interesy naszego kraju. Takie tam głupoty... Oczywiście morderczy trening i opowieści zawodowców wybiły mi z głowy sporą część tych rojeń pięknoducha, ale żeby mnie wyleczyć do końca, musiało się wydarzyć coś więcej.

Zdaniem Chloe Wade wcale nie został wyleczony do końca ze swego idealizmu i skłonności do szlachetnych działań, przecież na prośbę przyjaciela wyruszył w ryzykowną misję do Hazaristanu. Trudno o lepszy dowód.

- Coś więcej? To znaczy co? - Dopiła swoją herbatę i odstawiła kubek.

- Pewnego razu przyleciał z wizytą do ambasadora nafciarz z Teksasu, miało to związek ze zbliżającym się szczytem OPEC. Przywiózł ze sobą żonę, eksmodelkę, którą wysyłał co roku do Szwajcarii na farmę piękności, żeby mu ją tam odświeżyli. Nie muszę ci mówić, że mógłby być jej dziadkiem, a przedtem miał dwie inne równie młode żony. Ponieważ zajmował się głównie pomnażaniem swojej fortuny, dziewczynie się nudziło, więc zabawiała się pływaniem nago w basenie i zapraszaniem nieznanym mężczyznom do tańca. Pozwalała sobie na to,

bo prawnik, który sporządził umowę przedślubną, był jej dawnym kochankiem. Rozwód kosztowały nafcjarza dziesięć milionów.

- Dolarów? - zdumiała się Chloe.

- Aha. Leżały zdeponowane na oddzielnym koncie i czekały tylko na orzeczenie rozwodu, by zmienić właściciela. Kiedy ta dziewczyna wypłała o jednego za dużo, mawiała, że ciężko zapracowała na każdego centa z tych dziesięciu baniek.

- Och!

- Właśnie. Może ten stary wiedział, co ona do niego czuje, może nie. Trudno przeniknąć myśli faceta, który ma początki alzheimera, a przy tym realną władzę, jaką daje posiadanie niewyobrażalnej fortuny.

- I co się stało? Żona nafcjarza zaprosiła cię do... tańca?

- Na tańcu się skończyło - zastrzegł się i spojrzał na Chloe gniewnym wzrokiem, gdyż w jej głosie usłyszał cień powątpiewania. - Nie sypiam z cudzymi żonami. W każdym razie niedługo potem dziewczynę i wicekonsula porwali islamscy terroryści. Należałem do grupy biorącej udział w akcji ratunkowej. Ustaliliśmy, gdzie są przetrzymywani, opracowaliśmy szczegółowy co do sekundy plan działania. Dostałem się do budynku, znalazłem zakładników i już prawie ich wyprowadziłem na zewnątrz, kiedy

wydarzyło się coś, czego nie przewidzieliśmy...  
- Urwał, jakby nie potrafił wydusić z siebie nic więcej.

Chloe postanowiła przyjść mu z pomocą.

- Dziewczyna zginęła. Miała na imię Sylvie. Wiem, bo dużo majaczyłeś. Z twoich słów wynikało, że to nie terroryści ją zabili.

- Zgadza się. Jej mąż najpierw opłacił porywaczy, a potem jednego z naszych ludzi, który miał dopilnować, żeby Sylvie nie przeżyła próby odbicia jej. Ja też byłem do odstrzału jako świadek, ale kula tylko mnie drasnęła, wylizałem się z tego. To i tak niczego nie zmieniło, bo nikt nie zamierzał przeprowadzić porządnego śledztwa, niezależnie od moich zeznań. Śmierć zakładniczki uznano za nieszczęśliwy wypadek. Wdowiec zabrał ciało do Ameryki, a tydzień potem popełnił samobójstwo.

- A ciebie od tamtej pory zżera poczucie winy - odgadła.

- Powinienem był ją ocalić, byłem tak blisko... Ale nie wyczułem zagrożenia, zapomniałem, że kobiety najczęściej zabija ktoś z rodziny. Sylvie zginęła, gdyż przeoczyłem ten fakt i to samo spotkało...

- Nie! - przerwała mu gwałtownie, z łatwością odgadując tok jego myśli. - Nie odpowiadasz ani za nikczemność tego starego człowieka, którego Sylvie zdecydowała się poślubić, ani za

fanatyzm Ahmada, każący mu zamordować własną siostrę i jej dziecko. Nie ponosisz żadnej winy za to, że inni dopuszczają się zbrodni.

- Ale powinienem był przewidzieć, co się wydarzy. Powinienem był temu zapobiec.

- Tak, i może jeszcze zapobiec całemu złu, jakie się wydarza na świecie? Może weź na siebie odpowiedzialność za akty przemocy, terroru i bezmyślnego okrucieństwa, jakie wydarzają się naokoło każdego dnia? Bardzo szlachetnie, tylko to nic nie da! Obwinianie się nie prowadzi do niczego, jedyne, co naprawdę ma sens, to wytrwałe przeciwstawianie się złu.

Wade milczał przez jakiś czas, słychać było wyłącznie trzask płonącego ogniska i szum wiatru w gałęziach cedrów. Jakaś ciężarówka jechała od strony przełęczy, jej światła sunęły w ciemności, wreszcie oddaliły się i znikły.

- Mówisz z doświadczenia, bo to jest właśnie to, co próbujesz robić, prawda? - odezwał się wreszcie Wade. - Próbujesz pozbyć się poczucia winy za śmierć matki, walcząc z reżimem, który ją zabił.

Ta ocena była tak trafna i tak niespodziewana, że Chloe poczuła nagły przypływ bólu. Łzy zaczęły dławić ją w gardle.

- Nie zdołałam zapobiec ukamienowaniu...  
- wyznała ledwo dosłyszalnie. - Wybiegłam do niej, ale mnie przytrzymali...

- I tak nie dałabyś rady jej ocalić. Nie sposób przemówić tłumowi do rozsądku, bo tłum kieruje się instynktami, często najniższymi.

- Wiem, ale...

- Ale nadal gnębi cię poczucie, że powinnaś była coś zrobić i żadne racjonalne argumenty nie są w stanie wykorzeńić tego przekonania. Logika sobie, a emocje sobie.

Jego słowa poruszyły jakieś struny w głębi jej duszy, gdyż Wade nazwał po imieniu to, co od lat dręczyło Chloe, ona sama nigdy się na to nie odważyła. Tak dobrze mógł ją zrozumieć tylko człowiek, który posiadał podobne doświadczenia i zmagał się z takimi samymi wątpliwościami i takim samym bólem jak ona.

- Przynajmniej teraz mogę coś zrobić. Dla innych.

- Tak, przeciwstawiasz się talibom i staremu prawu, które narzucili wszystkim dookoła. A jednocześnie ulegasz im, bo chowasz się za czadorem, bojąc się, co z tobą będzie, jak go zdejmiesz.

- Wcale nie, przecież zdejmuję go zawsze wśród rodziny i przyjaciół - zaprotestowała gwałtownie, nie dopuszczając do siebie myśli, że jej upór w kwestii ubioru mógłby oznaczać wygraną jej przeciwników.

- Ale nie przy mężczyznach.

- Bo to zakazane.



- Tutaj to nie jest zakazane. I na pewno nie jest zakazane w mojej obecności.

Siedział nieruchomo, wpatrując się w nią intensywnie, lecz spokojnie. W jego wzroku nie ujrzała ani rozkazu, ani groźby, ani nawet zachęty - czyli nic, przeciw czemu mogłaby zaprotestować.

- Wcale się nie chowam - powtórzyła.

- Nie?

- Nie!

- W takim razie pozwolę sobie ponownie ci przypomnieć, że zawarliśmy umowę. Ja się z mojej części wywiązałem.

Jego nieustępliwość uświadomiła jej, że chociaż wyrwała się spod władzy talibów, wciąż jeszcze nie odzyskała wolności, gdyż oni dalej dyktowali jej, co ma nosić i jak. Ta myśl wywołała w niej bunt, więc Chloe chwyciła brzeg spowijającej ją tkaniny i zaczęła ją z siebie gwałtownie ściągać, szamocząc się z metrami materiału, dusząc się pod nimi. Wreszcie zerwała z siebie czador do końca i ze wzdrgnięciem odrzuciła go precz.

Poczuła się obnażona. Zrobiło jej się chłodno. Ogarnął ją dziwny strach. Odruchowo złapała za róg pożyczonej chusty, by jej brzegiem zakryć twarz i zrozumiała w pół gestu, co zamierzała zrobić. Ponieważ za nic nie chciała pokazać, że jednak przesiąknęła sposobem myślenia swoich

wrogów, udała, że chodziło jej o coś zupełnie innego - desperacko ściągnęła chustę z głowy, tym samym odsłaniając nie tylko twarz, lecz również włosy i szyję. Potrzebowała przywołać na pomoc całą swoją dumę i całą odwagę, by podnieść wzrok i spojrzeć na Wade'a.

Nie miała pojęcia, jak wyglądała, ponieważ w ciągu ostatnich lat prawie nie patrzyła do lustra, bo i po co? Czuła, jak wiatr rozwiewa jej włosy i chłodzi skórę.

- Wielki Boże... - odezwał się cicho Wade.

Chloe nerwowo przełknęła ślinę, uświadamiając sobie poniewczasie, że teraz wszystkie takie reakcje doskonale widać. Zmusiła się do tego, by przenieść spojrzenie z punktu gdzieś ponad barkiem Wade'a na jego twarz, a nie wiedząc, jak sobie poradzić z sytuacją, przywołała na pomoc swego starego przyjaciela - gniew.

- I co? Zadowolony?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo - stwierdził, uśmiechając się szeroko. - Szczęśliwy.

Siedzieli bez ruchu, przypatrując się sobie nawzajem, płomienie rzucały na ich twarze złotoczerwone błyski. Nagłe ciszę rozdarł krzyk, a zaraz po nim rozległ się stukot kamienia spadającego ze zbocza.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nim odgłos zdążył przebrzmieć, Wade zerwał się na równe nogi, w jego dłoni pojawił się pistolet. Gestem nakazał Chloe pozostać przy ognisku, a sam bezszelestnie znikł w cieniu cedrów. Czuła się nieswojo, będąc tak doskonale widoczna w świetle płomieni, pragnęła wstać i podążyć za Wade'em, powstrzymała ją tylko myśl, że mógłby przez pomyłkę wziąć ją za napastnika i wystrzelić.

Kilka minut później usłyszała czyjeś ciche głosy, a potem z mroku wyłonił się Wade, broń miał schowaną. Przystanął i gestem zaprosił jakichś ludzi, by się zbliżyli. Chloe ujrzała mężczyznę, kobietę oraz dwójkę dzieci, sześciolatniego chłopca i nieco młodszą od niego dziewczynkę. Sądząc po ubraniach, byli Uzbekami. Zakurzeni i zmęczeni, musieli mieć za

sobą długą podróż, najprawdopodobniej pieszą, na co wskazywał stan ich butów. Kobieta trzymała się z tyłu za mężem, wzrok utkwiała w ziemi, dzieci chowały się lękliwie za matką. Ojciec rodziny, wychudły, lecz mimo to sprawiający wrażenie silnego, miał pociągłą, brodatą twarz i przenikliwe, ciemne oczy, których spojrzenie powędrowało od Wade'a ku Chloe i z powrotem.

- Amerykanie, prawda?

- Mądre oczy dużo widzą - odparła Chloe.

- Zechciejcie, proszę, usiąść z nami przy ogniu.

Przysunęli się troszkę bliżej, wzrok mężczyzny na króciuteńki moment spoczął na naczyniu do gotowania herbaty, lecz mimo to Uzbek odparł grzecznie:

- Nie chcemy przeszkadzać.

Chloe zerknęła na Wade'a, który powinien pełnić obowiązki gospodarza, skoro przyprowadził tych ludzi, lecz on marszczył brwi, jakby nie rozumiał, o czym mowa. I pewnie tak było, gdyż Uzbek mówił po pasztuńsku z bardzo silnym akcentem i rzeczywiście trudno było go zrozumieć.

- Jesteście naszymi gośćmi - rzekła. - Pozwólcie, że zrobię wam herbaty.

Napełniła blaszane naczynie wodą, ustawiła je na płaskim kamieniu, ułożonym na samym brzegu ogniska, dołożyła drew, a potem starannie wytarła plastikowy kubek, nalała do niego

zimnej wody i trzymając go w obu dłoniach, pełnym szacunku gestem podała go gościowi. Przyjął, lecz upił tylko trochę, resztę oddał żonie. Ona również ledwie przytknęła wargi do kubka, potem napoiła spragnione dzieci.

- Chyba macie za sobą długą podróż - zagadnęła Chloe, ponownie napełniając kubek wodą, by wędrowcy mogli choć trochę ugasić pragnienie, nim dostaną herbatę.

Okazało się, że mężczyzna posiadał gospodarstwo na skraju małej wioski, gdzie jego rodzina żyła jeszcze od czasów Mahometa. Partyzanci zabrali mu owce i kozy, a talibowie za karę podpalili mu pola i dom, ponieważ nie zapobiegł kradzieży, w ten sposób pomagając ich wrogom. Miał szczęście, że go nie zabili. Zostawił zgłiszcza, zabrał rodzinę i ruszył do obozu dla uchodźców. Tego popołudnia przekroczyli granicę, ale napotkali po drodze innych wędrowców, a ci mówili, że w obozach nie ma co jeść, że przyjeżdżają ludzie, robią zdjęcia głodnych dzieci, obiecują pomoc, tylko widać pieniądze trafiają do czyichś kieszeni, bo pomocy jak nie było, tak nie ma. W takim razie dokąd on ma pójść z żoną i dziećmi, co zrobić? Nie wie.

W trakcie tej opowieści Wade podszedł i przysiadł na piętach obok Chloe, a gdy zapadła cisza, spytał:

- Co on mówi?

Chloe powtórzyła mu wszystko. Słuchał uważnie, co jakiś czas kiwając głową.

- Spytaj go, jak się znaleźli aż tutaj, skoro przeszli przez granicę zaledwie kilka godzin temu. To dość daleko, jeśli podróżuje się na piechotę, w dodatku oni mają dwójkę małych dzieci, co jeszcze ich spowalnia.

- Podwiózł ich kupiec, który ma sklep w Kaszi, ale druga z jego żon jest Pakistanką i mieszka w jakiejś wiosce tu niedaleko, więc on jeździ przez granicę parę razy w tygodniu - przetłumaczyła mu po chwili odpowiedź Uzbeka.  
- Wysadził ich, kiedy zjechał z głównej drogi.

Wade słuchał, jednocześnie przyglądając się dziewczynce. Miała włosy do pasa i wielkie na pół twarzy oczy, które wbiła w mały kopczyk jedzenia zostawiony na dywaniku modlitewnym. Przyciągało ją jak magnes, podkradała się do niego coraz bliżej. Kiedy Wade pochylił się, wyciągając rękę w kierunku jedzenia, dziewczynka odskoczyła niczym spłoszony królik, przytuliła się do matki. Wade wybrał największy orzech, położył go sobie na otwartej dłoni i powoli wyciągnął ją w stronę dziewczynki.

- Nie tak - powiedziała cicho Chloe, a gdy na nią spojrział, wskazała, że najpierw należy zaoferować jedzenie głowie rodziny.

Albo nie zrozumiał, albo nie zamierzał się przejmować lokalnymi obyczajami, gdyż

z powrotem skupił całą uwagę na dziewczynce i czekał. Mała spojrzała na matkę, a ta odwróciła głowę, udając, że niczego nie widzi, to samo zrobił po chwili ojciec, potem zaś Chloe. Skoro nikt nie patrzył, kroczek po kroczeniu zbliżyła się jak ostrożna wiewiórka, po czym porwała orzech i wsadziła do buzi, na której odmalował się uszczęśliwiony uśmiech. Zaraz potem zdecydowanym gestem wyciągnęła rączkę, żądając więcej, więc Wade zebrał z dywanika wszystko i ostrożnie przesypał w nadstawione już obie garstki.

Chloe uśmiechnęła się, spojrzała na Wade'a i przez dłuższą chwilę nie potrafiła oderwać od niego oczu, gdyż jego twarz promieniała. Czy to możliwe, by dorosłemu mężczyźnie mogło sprawić radość zdobycie zaufania obcego dziecka? Nigdy by tego nie podejrzewała. Wade tymczasem wyglądał tak, jakby pokochał tę malutką Uzbekkę, którą widział po raz pierwszy i której zapewne więcej już nie zobaczy. Sprawiał wrażenie uszczęśliwionego z tego powodu, że mógł oddać jej swoją kolację, choć przez to sam był głodny.

Ocknęła się z zapatrzenia i zwróciła się do gościa:

- Wybacz mu, proszę, on nie zna tutejszych obyczajów.

Uzbek z powagą skinął głową.

- Nie obraził mnie. Dobrze uczynił.

Chloe zauważyła kątem oka, jakim wzrokiem przypatruje się siostrze chłopczyk, więc czym prędzej odmierzyła taką samą porcję i wyciągnęła ku niemu rękę z zapraszającym uśmiechem. Ałbo miał więcej śmiałości, albo siostra dała mu przykład, gdyż bez ociągania przyjął mieszankę owoców, ziaren i orzechów, po czym schował się za plecami ojca i spałaszował wszystko w mig, podczas gdy dziewczynce wciąż jeszcze zostało pół porcji. Zapatrzył się pożądliwie na jej jedzenie, ale mimo to nie próbował go odebrać, za co Chloe nagrodziła go pełnym aprobaty skinieniem głowy. Chłopiec uśmiechnął się - blado, ale jednak.

Trochę zawstydzona, że z powodu dziecka zaniedbała dobry obyczaj, tym samym okazując lekceważenie głowie rodziny, z szacunkiem podała Uzbekowi sakwę z resztą jedzenia, a potem szybko odwróciła się i zajęła starannym składaniem swego czadoru, by nie krępować gościa, gdy będzie jadł i dzielił się z żoną. Nagle poczuła jakieś dziwne ciepło, podniosła wzrok i ujrzała, jak Wade jej się przygląda. W jego oczach wyczytała tyle gorącego uznania - i coś jeszcze, coś równie gorącego - że zaczerwieniła się po korzonki włosów. By ukryć zakłopotanie, wzruszyła ramionami. Cóż, oboje obejdą się tego wieczoru bez kolacji, trudno.



Gdy goście zjedli, kobieta pociągnęła lekko męża za rękaw, by się do niej nachylił i zaczęła szeptać mu coś do ucha. Słuchał, kiwając głową, na jego pociągłej twarzy malowała się powaga, a gdy żona skończyła, zwrócił się do Wade'a, choć czasem spoglądał też na Chloe, która tłumaczyła jego słowa.

- Moja żona pragnie, bym ci powiedział, że to Allah skierował nasze kroki ku twemu ognisku. Okazałeś gościnność nam i naszym dzieciom. Zawsze będziemy o tym pamiętać i wychwalać twoją szlachetność. Jest coś, co mogę ci powiedzieć w zamian za wyświadczone nam dobro. Czy chcesz to usłyszeć?

- Tak, z wielką ochotą wysłucham twych słów - odparła po chwili Chloe w imieniu Wade'a, jednocześnie czując ukłucie niepokoju.

- Kupiec, z którym jechaliśmy, dwa dni temu widział wielkie poruszenie na granicy. Talibowie szukali dwojga ludzi, którzy podobno mieli właśnie wtedy próbować ucieczki do Pakistanu. Był tam też oficer, krzyczał na wszystkich i groził, bo tej pary nie znaleziono. To jego wrogowie, nazywał ich przekłętymi Amerykanami, przysiągł świętą wojnę przeciw nim. Kobięcie poderżnie gardło, mężczyzna będzie umierał w długich męczarniach, a cały jego ród zostanie starty na proch do ostatniego potomka, imię jego zostanie wymazane, by wszelka pa-

mięć o nim znikła. Ten oficer zrobi to, choćby miał jechać na najdalszy kraniec świata. Sądzę, panie, że to groźby przeciw tobie i twej żonie.

- A imię rodu, które ma być wymazane?  
- spytała Chloe z trudem, gdyż nagle zaschło jej w gardle. - Zdradził je?

- Tak, ale dziwnie brzmiało w moich uszach i nie umiem teraz powtórzyć - odparł z żalem.

- Czy może... Benedict?

Żona znowu pociągnęła go lekko za rękaw i skinęła głową, patrząc przy tym na Chloe. Uzbek nie potrzebował jednak jej pomocy, gdyż odparł bez wahania:

- Tak, właśnie tak. Bene-dik.

- Chloe, o co chodzi? - spytał zaalarmowany Wade.

Kiedy przetłumaczyła, twarz mu sposepniała.

- Skoro chce zniszczyć całą moją rodzinę...  
- Urwał gwałtownie.

- To zamierza ścigać nas aż do Stanów Zjednoczonych - dokończyła. - W sumie nie-trudno nas wytropić, bo łatwo się domyślić, że wybraliśmy najbliższe przejście graniczne i najbliższe lotnisko.

- Tak, ale coś mi tu nie pasuje... - Zastanawiał się na głos, ściągając brwi, aż pojawiła się między nimi pionowa zmarszczka. - Czy oni przeczucaliby wysokiego rangą oficera do Ameryki tylko dlatego, że ten ma z kimś porachunki

osobiste? Nie, to się raczej wiąże z wykonaniem jakiegoś zadania, do którego Ahmad się zgłosił albo został wyznaczony już wcześniej, a zemstę na nas planuje wyrzucić przy okazji.

- Nie rozumiem. Jacy oni? Talibowie?

Zerknął na nią.

- Ahmad nigdy nie wspominał o tym, co robi, gdzie jeździ, z kim się widuje?

- Nie przypominam sobie.

Z roztargnieniem skinął głową, skupiony wyłączenie na tym, co zaprzętało jego myśli.

- Co ja bym teraz dał za mój telefon satelitar-ny, który zostawiłem w hotelu! Koniecznie muszę zadzwonić!

- Zadzwonisz z Peszawaru albo z lotniska.

- Tylko ciekawe, kiedy tam dotrzemy...

- Cóż, przekonamy się jutro.

Noc oboje spędzili bezsennie. Wade krążył wokół ich skromnego obozowiska, trzymając wartę, głównie dlatego, że na dywaniku zasnęły dzieci. Rodzice chcieli przenieść je gdzie indziej, lecz Wade nie pozwolił na to. Chloe z kolei nie mogła dopuścić, by ranny obywatel się nie tylko bez jedzenia, ale i bez odpoczynku, więc przezwyciężyła poczucie skrępowania i gestem zaprosiła go na swój koc. Odmówił zdecydowanie. Kiedy leżała potem skulona na brudnym wełnianym pledzie, przykryta czadorem,

drząc z chłodu i wpatrując się w gwiazdy, zastanawiała się, czemu nie chciał spać przy niej i czy ta odmowa sprawiła jej prawdziwą ulgę, czy też czuła żal.

Wstali rano, gdy dzieci jeszcze spały. W zamian za rzeczy Kemala Uzbek zgodził się oddać swój wysłużony turban Wade'owi, by jego wygląd mniej rzucał się w oczy. Trochę to pomogło, lecz niewiele, gdyż wysoki wzrost i brak brody - bo trzydniowy zarost się nie liczył - od razu przyciągał uwagę. Chloe znów włożyła czador i ruszyła z Wade'em w stronę szosy, gdzie zamierzali łapać autostop. Rodzina została w obozowisku wśród cedrów, ponieważ mężczyzna znalazł w worze nylonową linkę, więc natychmiast przystąpił do sporządzania sideł na jakąś drobną zwierzyne, by przede wszystkim zdobyć pożywienie.

Po upływie półtorej godziny Wade stracił cierpliwość i zamiast tkwić dalej na poboczu z uniesioną ręką, na widok kolejnej nadjeżdżającej ciężarówki po prostu wszedł na środek drogi i stał tak, by zmusić kierowcę do zatrzymania się. Tamten próbował go wyminąć, Wade uskoczył w ostatniej chwili. Dopiero wtedy ciężarówka zaczęła hamować z przerażającym piskiem opon.

- Chodź! - ponaglił Wade.

Chloe zerwała się z kamienia, na którym

siedziała, i pobiegła w stronę stojącego wozu. Kiedy tylko znaleźli się w kabinie, kierowca ruszył, z wielką swadą perorując przez całą drogę do Peszawaru, co myśli o metodach Wade'a oraz o tym, że jest zakaz zabierania uchodźców, ale on się zatrzymał, bo zobaczył, że ma do czynienia z kimś zupełnie innym. Monologował tak z wielkim podnieceniem i podwiózł ich do samego centrum.

Dalej poszło już śmiesznie łatwo. Wade wynajął samochód, więc bez przeszkód dotarli do Rawalpindi. Na lotnisku kupili przybory toaletowe i każde z nich poszło się odświeżyć i doprowadzić do w miarę porządnego wyglądu. W łazience Chloe z determinacją cisnęła czador do kosza na śmieci.

Najgorsze okazało się czekanie na ich lot, to była prawdziwa próba nerwów. Bez chwili przerwy przeczesywali wzrokiem tłum i bacznie obserwowali twarze wszystkich mężczyzn znajdujących się w zasięgu wzroku, obawiając się ujrzeć Ahmada, który przecież odgadł, którądy biegła trasa ich ucieczki. Wreszcie wywołano pasażerów lotu do Zurychu do odprawy paszportowej. Niedługo później Chloe i Wade zajęli miejsca w fotelach, zamknięto drzwi, odsunięto rękaw, samolot zaczął kołować... I znaleźli się w powietrzu.

Udało im się. Uciekli. Byli wolni.

Chloe obróciła głowę i spojrzała na swego towarzysza. Ich oczy spotkały się i tak siedzieli przez kilka chwil, a potem Wade uśmiechnął się i przykrył jej dłoń swoją. Dopiero ten ciepły dotyk uświadomił Chloe, że sama ma ręce lodowato zimne, co świadczyło o tym, jak bardzo była zdenerwowana. Obróciła dłoń, mocno spłotła palce z palcami Wade'a, przyjrzała im się. Dziwne. Jeszcze kilka dni wcześniej byłoby dla niej nie do pomyślenia, by siedzieć z nim w ten sposób, trzymając go za rękę, zaś w tym momencie wydawało jej się to najzupełniej naturalne.

Targały nią najróżniejsze uczucia - od ulgi po niepokój. Co ją czeka? Gdzie znajduje się Ahmad? Co zamierza zrobić Wade, gdy w końcu wylądują w Nowym Orleanie? Podniosła na niego pytający wzrok, lecz on spał. Uśmiechnęła się, pozwoliła powiekom opaść i chwilę później ona także zasnęła, lecz nie rozluźniła uścisku i przez tych kilka godzin lotu trzymali się za rękę.

W Zurychu po raz pierwszy poczuła się zagubiona. Ujrzała ogromne lotnisko, nieprawdopodobnie czyste i nowoczesne, usłyszała brzmiące zupełnie obco w jej uszach rozmaite europejskie języki, ale najbardziej wytrącały ją z równowagi ubrania otaczających ją ludzi, gdyż bardziej odsłaniały nogi, ramiona, plecy

i dekolty, niż zakrywały. Kolory tych strojów wydały się przyzwyczajonej do intensywnej barw Wschodu Chloe mdłe, pozbawione życia, ale rozumiała, że tak jest bardziej elegancko, a w dodatku nie odwraca uwagi od samej osoby.

Na ich tle ona wyglądała egzotycznie i krzykliwie w swej turkusowej bluzie ze stójką i długimi rękawami oraz w spódnicy do kostek, haftowanej złotą nicią, które dostała w domu członkini RAW-y. Wyróżniała się z tłumu również dlatego, że już drugą dobę chodziła i spała w tym samym ubraniu, wygniecionym i nieświeżym. Wcale się nie dziwiła, że przypatrywano jej się dziwnym wzrokiem i raczej trzymano się na dystans. Wade miał podobny problem, lecz zostało im tak niewiele czasu między jednym lotem a drugim, że nie mogli nawet myśleć o poszukaniu jakiegokolwiek sklepu.

Kiedy wreszcie wylądowali w Atlancie, oboje już ledwie widzieli na oczy, zmęczeni długą podróżą, brakiem snu, suchym powietrzem w samolocie, w którym byli zamknięci przez długie godziny lotu nad oceanem. Kolejka do kontroli paszportowej zdawała się ciągnąć na kilometr, trwało to wszystko w nieskończoność, Chloe denerwowała się, czy w Ameryce jej sprosowany przez Wade'a paszport nie zostanie staranniej sprawdzony niż w Europie, gdzie ledwie na niego spojrzano. W dodatku stała w tej kolejce

sama, gdyż Wade poszedł zadzwonić i bardzo długo nie wracał. Jego powrót sprawił jej ogromną ulgę, a ta z kolei wywołała niepokój Chloe, która zrozumiała, jak dalece stała się zależna od tego mężczyzny. Bez niego byłyby kompletnie zagubiona i bezradna.

- Dzwoniłeś do rodziny? - spytała, gdy siedzieli, jedząc lody i czekając na kolejny lot, na szczęście już ostatni.

- Tak, musiałem się dowiedzieć, co zdażyli zrobić, odkąd rozmawiałem z nimi z Rawalpindi. Załatwiłem też dla nas samochód.

- Dokąd pojedziemy z lotniska?

Właściwie powinna była zainteresować się tym wcześniej. Czemu bez reszty zdała się na Wade'a? Może ta zaskakująca obojętność wynikała najzwyczajniej w świecie ze zmęczenia? Na razie wystarczała jej świadomość, że znajdowała się na amerykańskiej ziemi.

- Do domu. Przynajmniej na jakiś czas, a jak już trochę się oswoisz z sytuacją, to zdecydujesz, co dalej. Chyba że już masz jakiś pomysł?

- Nie bardzo...

- To zupełnie zrozumiale.

Z jego lodu zaczęło kapać, więc Wade zręcznie oblizał koniec wafla, a na ten widok Chloe poczuła dziwne gorąco w dole brzucha. Odwróciła wzrok.

- Pewnie z czasem wynajmę mieszkanie.



Oczywiście najpierw muszę uzyskać dostęp do pieniędzy po tacie.

- Nie ma sprawy, załatwimy to.

Nagle zrozumiała, co chciałyby zrobić.

- I... i chciałabym odwiedzić jego grób.

- Kiedy tylko będziesz gotowa.

Szybko skończyła jeść loda - pierwszego od dwunastu lat - i podniosła spojrzenie na Wade'a. Ponieważ miał wzrok utkwiony w jej ustach, domyśliła się, że pewnie umazała się lodami, więc starannie oblizała wargi, czując na nich rozkoszną słodycz. Teraz on szybko odwrócił oczy.

Kiedy wylądowali w Nowym Orleanie, poczuła przypływ paniki. Jeszcze za wcześnie, j eszcze nie czuła się przygotowana wewnętrznie na ten powrót. To wszystko stało się za szybko.

Ludzie tłoczący się wokół nich wydali jej się różni od Europejczyków. Śmiali się głośno, gadali jeden przez drugiego, zachowywali tak bezpośrednio, jakby byli wśród dobrych znajomych. Choć tu i ówdzie dawało się dostrzec garnitur lub garsonkę, większość osób miała na sobie T-shirt, dzinsy oraz sportowe obuwie. Chloe szczególnie interesowały Amerykanki, więc przyglądała im się ukradkiem, lecz uważnie. Zupełnie ich nie przypominała. Preferowały krótkie włosy, malowały się, poruszały się śmiało i swobodnie, nie przejmując się tym, że

kształty ich piersi, bioder i pośladków rysują się wyraźnie pod ubraniami, przyciągając męskie spojrzenia. Chloe uświadomiła sobie nagle, do jakiego stopnia jest więźniem przekonań, nakazów, a nade wszystko zakazów, które jej wpojono. W odróżnieniu od niej te kobiety były wolne, oswojone ze swoją seksualnością, naturalne. Musiała bardzo niekorzystnie wyróżniać się na ich tle, jej skrupowanie dawało się łatwo dostrzec. Nagle zachciało jej się śmiać, gdy wyobraziła sobie, że jest jedyną dziewczyną na całym lotnisku.

Ruszyła w tym samym kierunku, co reszta pasażerów, lecz wówczas Wade lekko dotknął jej ramienia.

- Tędy. - Wskazał w stronę głównej hali.  
- Nie ma sensu czekać na taksówkę pod halą przylotów, gdzie będzie największy tłum. Pójdziemy na inny postój, złapiemy taksówkę od razu i pojedziemy do wypożyczalni samochodów. Zgoda?

- Ale ten napis mówi, że tu na dolnym poziomie jest wypożyczalnia.

- I spore kolejki, tylko o tym napis już nie wspomina. Nie warto brać samochodu z lotniska, szkoda czasu. Szybciej będzie skoczyć do miasta, uwierz mi.

Zbyt zmęczona, by wdawać się w dyskusję, obróciła się posłusznie ku głównej hali i nawet

nie odsunęła się, gdy Wade położył dłoń na jej karku i pokierował nią, bo prawie wpadła na starszą panią na wózku. Przeszli przez halę i znajdowali się ledwie kilka metrów od wyjścia, gdy ktoś podbiegł do nich z boku, zwinnie przemykając się pomiędzy pilotem ciągnącym czarną walizkę na kółkach a opalonym grubasem w słomkowym kapeluszu.

Wade błyskawicznie pociągnął Chloe tak, by znalazła się za nim, a sam wykonał szybki półobrót i przyjął bojową postawę.

- Do diabła, stary! - Niedoszły napastnik zatrzymał się gwałtownie i w obronnym geście uniósł ręce. - Jak ty tak witasz rodzinę, to co robisz z wrogami?

- Niech cię licho, braciszku. Nie rób mi tego więcej. - Wade odetchnął, wyprostował się, zrobił długi krok do przodu i uściskał tamtego, serdecznie klepiąc go po plecach.

Kiedy odsunęli się od siebie, Chloe przeniosła spojrzenie z jednego na drugiego i porównała ich wygląd. Brat Wade'a był od niego ciut niższy, włosy miał nieco ciemniejsze, a oczy w kolorze czystego błękitu. Mimo tych różnic podobieństwo okazało się uderzające - takie same rysy, takie same szerokie ramiona, taka sama pewność siebie, granicząca z arogancją.

- Nie zamierzałem napędzić ci strachu, po prostu bałem się, że znikniesz mi z oczu, nim cię

dopadnę. Dopiero co zdażyłem tu wejść, najpierw podrzuciłem Adama do hali przylotów, bo nie wiedzieliśmy, którędy wyjdziecie.

- Kiedy dzwoniłem, nikt mi nie powiedział, że wybieracie się po nas na lotnisko.

- Wtedy jeszcze sami nie mieliśmy o tym pojęcia. Rodzinna decyzja jak zwykle musiała zapaść w ostatniej chwili, przecież nie mogło być inaczej. - Przechylił głowę, starając się zajrzeć za plecy Wade'a. - To co? Przedstawisz mi tę dziewczynę, czy chowasz ją tylko dla siebie?

- Zaryzykuję i pokażę ci ją, bo wiem, że tobie tylko Janna w głowie. Poznajcie się... Chloe Madison, Clay Benedict. - Z tymi słowy odsunął się nieco w lewo i gestem zaprosił Chloe, by podeszła bliżej.

Gdy stanęła u boku Wade'a, ujrzała, jak oczy Claya rozszerzają się. Powiódł wzrokiem po jej rozpuszczonych włosach, sięgających sporo za pas. Jego spojrzenie powędrowało dalej w dół ku stopom w miękkich skórzanych sandałach, a później zawróciło ku twarzy, po drodze zauważając krągłe biodra, mocno wciętą talię, pełne piersi.

- A. Niech. Mnie - wygłosił w oszołomieniu.

- Dobrze powiedziane - skwitował Wade.

- Chloe, potraktuj to jako komplement. Na moim młodszym bracie mało co robi wrażenie.

- Słuchaj, powiedziałaś, że jedziesz po jakiegoś dzieciaka - zaprotestował Clay, w ogóle na niego nie patrząc. - No to człowiek się nie spodziewał, że ujrzy boginię.

- Ja też się nie spodziewałem. Odkryłem to, dopiero gdy się rozebrała.

Clay wysoko uniósł brwi.

- Będziesz musiał mi wszystko opowiedzieć.

- Później. Na razie potrzebna nam gorąca kąpiel i czyste łóżko.

- Rozumiem...

- Oddzielna kąpiel i oddzielne łóżka - sprecyzował Wade dobitnie, tak dobitnie, że zabrzmiało to prawie jak reprimenda.

- Przepraszam, jeśli powiedziałem coś nie tak.

Mimo tych przeprosin Clay nadal musiał snuć pewne przypuszczenia, zdradzał to wymowny błysk w jego oku. Ten nacisk Wade'a na rygorystyczne przestrzeganie zasad przyzwoitości był rzeczywiście zastanawiający, Chloe też zwróciła nań uwagę, lecz nie potrafiła odgadnąć jego przyczyny.

Tymczasem młodszy z Benedictów dwornym gestem wskazał drzwi.

- Pani, pozwól tędy, twój rydwan czeka. Spieszmy, bo zaraz przekroczę maksymalny czas parkowania, czyli pięć minut.

Rydwan miał postać luksusowej popielatej

terenówki o szerokich oponach, dobrych na podmokłe, bagniste obszary Luizjany. Chloe z lekkim zaskoczeniem przyjrzała się komfortowym siedzeniom i eleganckiemu wykończeniu, ponieważ od lat nie widziała samochodu tej klasy, niemal zapomniała, że takie w ogóle istnieją. Razem z Wade'em zajęła miejsce z tyłu, gdyż obok Claya miał usiąść najstarszy z braci, Adam, po którego musieli zjechać na niższy poziom lotniska. Zabrało im to kilka minut ze względu na utrudnienia w ruchu spowodowane jakąś przebudową, lecz w końcu znaleźli się nieopodal wejścia do hali przylotów.

- O, jest - rzekł Clay i zatrząbił.

Opierający się o betonowy słupek i obserwujący wyjście z hali wysoki mężczyzna odwrócił się, a Chloe w mig rozpoznała kolejnego Benedicta. Pomachał ręką i ruszył w ich stronę.

Naraz rozległ się huk. W pierwszej chwili Chloe pomyślała, że pewnie zderzyły się jakieś samochody, lecz w następnym ułamku sekundy Wade chwycił ją za ramię, ściągnął z siedzenia na podłogę i przytrzymał, krzycząc jednocześnie na cały głos:

- Chowajcie się, strzelają!

Clay skulił się za kierownicą, Adam wskoczył na przednie siedzenie, zatrzasnął za sobą drzwi, padły dwa kolejne strzały, posypało się szkło

w tylnych oknach, kule gwizdnęły Chloe nad głową.

- Jedź! - ponaglił najstarszy z braci. - Jedź!

Rozległy się krzyki przerażenia, trąbienie samochodów, więcej strażów.

Terenówka wystartowała z wizgiem opon, skręciła gwałtownie i umknęła z szaleńczą prędkością. Chloe nic nie widziała, czuła tylko, jak Wade trzyma ją mocno, dzięki czemu podczas zakrętu nie rzuciło nią o drzwi.

Przepełniało ją uczucie bezsilnej wściekłości. Sądziła, że przynajmniej przez jakiś czas będzie bezpieczna, bo nawet jeśli przyrodni brat rzeczywiście podaży za nią i Wade'em do Stanów, miną dni, albo nawet tygodnie, zanim zdoła ich odnaleźć.

Myliła się. On wcale nie przyjechał za nimi. On już na nich czekał.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Oho, mamy towarzystwo - skwitował ponuro Wade, który obejrzawszy się zobaczył, jak Ahmad wraz z dwoma innymi ludźmi wskakuje do podjeżdżającego po nich zielonego samochodu osobowego, który natychmiast ruszył w ślad za terenówką.

Zastanawiał się, co ci trzej by zrobili, gdyby on i Chloe wyszli właśnie tym dolnym wyjściem i tylko we dwoje. Zastrzeliliby ich na miejscu? Czy raczej podeszliby, sterroryzowali ich nożami i wywieźli w jakieś ustronne miejsce, gdzie mogliby się z nimi rozprawić powoli i tak okrutnie, jak tylko wyobraźnia by im na to pozwalała? Nie, nie było sensu zastanawiać się nad tym, przecież na szczęście nic się nie stało. Należało za to pomyśleć nad znacznie ważniejszą kwestią, mianowicie: co dalej?



- Wybrali sobie złych ludzi do śledzenia  
- rzucił wesoło Clay, jakby odpowiadał na niezadane pytanie brata. - Nie wspominając już nawet o tym, że wybrali sobie do tego celu wyjątkowo złe miasto. - Płynnie dodał gazu i pewną ręką prowadził terenówkę po zakrętach drogi wyjazdowej z lotniska.

- Ciagle są za nami - zaraportował Adam, gdy wreszcie wyskoczyli na prostą i wydostali się na autostradę międzystanową I-10.

- Już niedługo - odparł niewzruszenie Clay, przemykając się między wozami i zmieniając pasy.

Ścigający wóz zdołał ich nie zgubić, ale wyłącznie dzięki temu, że zajechał drogę dwóm innym pojazdom, a trzeci wyprzedził po prawej. Jak dobrze pójdzie, niedługo naszych hazardzkich gości złapie policja, pomyślał Wade. Miał tylko nadzieję, że nie zatrzymają również terenówki, która co prawda nie jechała tak niebezpiecznie, ale zdecydowanie przekroczyła dozwoloną prędkość. Naraz zorientował się, w jakim kierunku podążają. Na wschód.

- Hej, co ty robisz? - zdumiał się. - Czemu nie jedziemy do Turn-Coupe?

- Mama kazała mi przywieźć was do niej.  
- Clay zerknął we wsteczne lusterko, a potem zwinnie zmienił pasy, żeby nie wjechać w pika-pa ciągnącego przyczepę z łódką.

- Wykluczone! - zaprotestował z miejsca Wade. - Jeśli ta wesoła ekipa wiedziała, gdzie na nas czekać, to równie dobrze mogli już wywęszyć, gdzie ona mieszka.

- Tym bardziej musimy do niej jechać - uciał Adam.

- Masz rację - zgodził się Wade, ze znużeniem pocierając twarz dłonią.

Napięcie tych ostatnich kilku dni dało mu się we znaki bardziej, niż sądził, skoro przestawał logicznie myśleć. Oczywiście, że musieli jechać do matki. Co prawda nie nazywała się już Benedict, ponieważ powróciła do panieńskiego nazwiska, lecz mimo to stanowiła pierwszorzędnny cel ataku dla kogoś, kto chciał uderzyć w rodzinę. Wystarczyłoby ją porwać, by mieć w garści ich wszystkich i dyktować warunki.

Zerknął na Chloe, zobaczył, jak bardzo pobladła. Wcale się temu nie dziwił, w końcu wiedziała najlepiej ze wszystkich, do jakich zbrodni potrafił się posunąć jej przyrodni brat, usilnie starając się dochować wierności swoim fanatycznym przekonaniom na temat tego, co jest dobre, a co złe. Niezależnie od poglądów Ahmada Wade nie mógł nie doceniać jego wytrwałości i uporu, które to cechy znamionowały również Benedictów. Na swój sposób ten człowiek trochę ich przypominał.

Słyszając przeciągłe buczenie klaksonu, znowu

zwrócił uwagę na sytuację na drodze. Clay bravurowo przeskoczył ze skrajnego lewego pasa na skrajny prawy, cały czas sygnalizując światłami, że prosi o przepuszczenie. Nowoorleańczycy umieją odpowiadać grzecznością na grzeczność, więc przepuszczono go, dzięki czemu mógł dać nura prosto w boczny zjazd z autostrady. Wade obrócił się, by spojrzeć przez tylną szybę. Hazarowie rozpaczliwie próbowali powtórzyć ich manewr, odcięła ich wielka ciężarówka z cysterną, wyminęli ją w zupełnie wariacki sposób, prawie wpadając pod koła dwóch innych samochodów, które w ostatniej chwili zahamowały z przeraźliwym piskiem opon i wściekłym trąbieniem. Zielony wóz zdołał zjechać z autostrady za terenówką.

Chociaż pościg trwał w najlepsze, Wade ani przez moment nie martwił się o jego rezultat. Owszem, Clay mógł sobie być chłopakiem z bagien, który więcej czasu spędzał na tropieniu aligatorów i robieniu im artystycznych zdjęć niż na spacerowaniu po mieście, ale i tak zdołał dobrze poznać Nowy Orlean, dokąd woził Janę i Lainey, kiedy potrzebowały iść do lekarza, na zakupy czy do kina i gdzie przyjeżdżał odwiedzać matkę. Ta orientacja Claya miała się teraz okazać bardzo przydatna, gdyż sprawne poruszanie się po tym jedynym w swoim rodzaju mieście nie należało do łatwych rzeczy.

Serce Nowego Orleanu stanowiła stara Dzielnica Francuska, ulokowana przy zakolu Missisipi przypominającym kształtem półksiężyc. Wszystkie nowsze arterie omijały starówkę na najróżniejsze sposoby, prowadząc a to wzdłuż rzeki, a to prostopadle do niej i nagle zakręcając, wijąc się, biegnąc górą lub dołem po kilkupiętrowych skrzyżowaniach. Oprócz zabytkowej starej dzielnicy trzeba było też objeżdżać miejskie parki oraz wielkie stare cmentarze, z których to miasto słynęło. W rezultacie powstał przyprawiający przyjezdnych o ból głowy labirynt pełen pułapek w postaci ślepych ulic, ulic przechodzących na pewnych odcinkach w jednokierunkowe albo zmieniających nazwę kilka razy na jednym prostym odcinku. Mógł się w tym połapać tylko rdzenny nowoorleańczyk, albo ktoś, kto przywykł do odnajdywania drogi w płataninie nieoznaczonych na żadnych mapach kanałów i przesmyków na bagnach Luizjany. Clay należał do tej drugiej kategorii.

I rzeczywiście, wkrótce zdołali zgubić ogon. Pojechali wtedy do Dzielnicy Francuskiej i zostawili samochód przy ciągu szeregowych domków na Dumaine Street, gdzie ich mama miała wykupione miejsce parkingowe dla siebie oraz swoich gości. Rozglądając się bacznie dookoła, minęli trzy domy. Mieszkanie mamy znajdowało się w czwartym budynku z kolei, na piętrze

nad grill-barem. Gdy podeszli, poczuli zapach zwietrzałego piwa oraz znacznie od niego silniejszą woń smażonych krewetek.

Zadzwonili do bocznych drzwi, w domofonie odezwał się kobiecy głos, potem rozległ się brzęczyk, więc mogli wejść do mrocznego korytarzyka, z którego prowadziły na górę stare kręcone schody z szeroką poręczą wypolerowaną przez długie lata dotykiem rąk i o mocno wydeptanych stopniach. U szczytu czekała uśmiechnięta kobieta z grubym brązowo-srebrzystym warkoczem przerzuconym przez ramię. Ramiona rozłożyła szeroko, a efekt jeszcze podkreślały szerokie rękawy niebieskiego kaptana, przywiezionego ongiś z podróży do Maroka. Zapach krewetek stawał się coraz silniejszy z każdym krokiem. Mama gotowała na ich cześć, to oczywiste.

- Kochanie! - Przytuliła Wade'a do siebie, jak to tylko ona potrafiła, zarazem czule, słodko i prawie łamiąc delikwentowi kości. - Dzięki Bogu!

- Dobrze, już dobrze... Ja też się stęskniłem. - Jego głos był trochę zmieniony, ale nie tylko dlatego, że od tego uścisku zaboląła go niedawno odniesiona rana.

Kolejno każdy z gości musiał utonąć w serdecznych objęciach pani domu, nie wykluczając Chloe, która wyłoniła się z nich zupełnie oszoło-

miona, gdyż nie spodziewała się podobnego powitania.

- Mamo, ubieraj się, musimy jechać - zażądał Wade.

- Przecież dopiero weszliście! Usiądźcie chociaż na chwilę, zjedzcie coś.

- Nie ma czasu, musimy się stąd zbierać, wszyscy, i to natychmiast, bo...

- Chwileczkę - przerwała mu. - Chodź no tu do mnie.

- Mamo... - zaczął protestować, ale ona złapała go za ramię i drugą dłonią dotknęła jego czoła.

- Słusznie mi się wydawało, masz gorączkę. I jeśli się nie mylę, to przez koszulę poczułam bandaż. Coś ty sobie zrobił?

- Nic. A teraz...

Adam ściągnął brwi.

- Bandaż? - spytał, wchodząc do mieszkania jako ostatni i zamykając za sobą drzwi.

- Dostał nożem - wyjaśniła Chloe, wiedząc, że Wade dalej będzie próbował bagatelizować sprawę. - Potrzebny mu lekarz, pewnie nie obejdzie się bez antybiotyku.

- Na to wygląda - zgodziła się z westchnieniem mama.

- Później - uciał Wade, spojrzawszy na Chloe z wyrzutem, jakby okazała się zdrajczynią. - Teraz trzeba się stąd zbierać.

- Ale skąd ten pośpiech?

W tym momencie w kuchni odezwał się minutnik, więc mama, nie czekając na odpowiedź, pospieszyła zdjąć z ognia wielki gar pełen krewetek, ziemniaków, kolb kukurydzy, warzyw. Odcedziła je, w powietrzu rozszedł się zapach przypraw, a tymczasem Wade, który podążył za nią, ze wszystkich sił starał się ją przekonać do natychmiastowego wyjścia, relacjonując, co się wydarzyło, i tłumacząc, co im grozi. Spojrzała na syna tylko wtedy, gdy dotarł do tego momentu opowieści, w którym Ahmad pojawił się na lotnisku, próbując ich zamordować, po czym spokojnie wyjęła z szafki wielki plastikowy pojemnik i zaczęła przekładać do niego krewetki i warzywa.

- Czy ty mnie w ogóle słuchałaś? - prawie krzyknął Wade.

- Jeśli myślisz, że zmarnuję porządny obiad przez jakichś psychopatów, to grubo się mylisz.

- Mamo, nie ma czasu na takie rzeczy!

- Trzeba coś jeść - oświadczyła. - Zwłaszcza ty, bo musisz odzyskać siły. Zabierzemy to ze sobą. Adam, wyjmij lód z zamrażalnika i przełóż go do tego pojemnika na lód, który stoi na półce za twoimi plecami.

- Mamo! - jęknęli z desperacją dwaj starsi bracia.

- Lepiej przestańcie się sprzeciwiać i pomóżcie, będzie szybciej. - Clay rozejrzał się, zobaczył dwie świeże bagietki zawinięte w firmowy papier z piekarni i wsadził je sobie pod pachę, zaś mama z aprobatą pokiwała głową.

- Znam świetne miejsce, gdzie możemy pojechać - oznajmiła. - Do Nottoway, tego starego domu przy River Road, byłam tam wiosną na plenerze malarskim. Zostałam bardzo miło przyjęta.

- Nie możemy zwalić się na głowę jakimś ludziom.

- Możemy, bo to hotel. No, coś w rodzaju hotelu. I znajduje się całkiem niedaleko Turn-Coupe. Same zalety.

- Nie, hotel odpada, bo zapłacimy kartą i trafimy do systemu komputerowego, więc da się nas namierzyć. Ahmad i jego kumple mają przekonania żywcem ze średniowiecza, ale posiadają też dostęp do nowoczesnej technologii.

- To żaden problem, menedżerka jest moją znajomą, załatwię to z nią. Jak nie Nottoway, to co? Grand Point?

Wade przeczesał włosy palcami.

- Sam nie wiem. Wolałbym nie wciągać w całe zamieszanie rodziny, to nie w porządku.

- Już jest w to wciągnięta - zauważył Clay, nachylił się i porwał z pojemnika wielką soczystą krewetkę, nim mama zdążyła nałożyć



pokrywkę. Podmuchał, zręcznie wyciągnął krewkę ze skorupki i wsadził do ust.

Na ten widok Wade'owi aż pociekła ślinka, zaczął się wahać, czy nie ulec mamie. Jednocześnie zauważył, że Adam przysunął się do okna i uważnie lustruje ulicę w dole.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zadzwoiłem do Roana, Adam skontaktował się z Lukiem i Kane'em, postanowiliśmy na czas zagrożenia zebrać się wszyscy razem, bo nie wiadomo, jak daleko w głąb rodziny zamierzają sięgnąć ci maniacy od dżihadu. Kuzyni właśnie zmieniają Grand Point w fortecę.

To brzmiało rozsądnie. Roan sprawował urząd szeryfa w Tunica Parish, a Grand Point, stara siedziba rodu, znajdowała się na terenie tej właśnie gminy, w razie potrzeby Roan mógłby więc bardzo szybko wezwać uzbrojone posiłki. Z kolei Luke i Kane doskonale znali znajdujące się na tyłach domu jezioro i mokradła, w dodatku świetnie posługiwali się bronią.

- Kochani, najpierw potrzebujemy lekarza dla Wade'a - oświadczyła ich matka. - Niech sprawdzi, czy w ranę nie wdała się infekcja. Reszta może poczekać.

- Popieram - odezwała się Chloe. - Ja i moi przyjaciele staraliśmy się opatryć go jak najlepiej, ale naprawdę mieliśmy ograniczone możliwości.

- Jestem pewna, że wszystko zrobiliście dobrze - pospieszyła z zapewnieniem matka Benedictów.

- Wezwijmy starego Watkinsa - zaproponował Clay, za co został obrzucony pełnym politowania spojrzeniem.

- Przeszedł na emeryturę dziesięć lat temu, ma wiedzę lekarską więcej niż sprzed pół wieku! W dodatku ci dwoje zaraz mi się tu przewrócą.

- Obróciła się do Chloe. - Powiedz no, kiedy wyście ostatni raz porządnie się wyspali? I dobrze najedli?

- Jakiś czas temu...

- Tak też myślałam! W takim razie postanowione, jedziemy do Nottoway. - Wyjęła z lodówki wielką miskę z sałatką oraz brytfannę z pudlingiem, jedno wręczyła Adamowi, drugie Clayowi, po czym uniosła brwi. — Co tak stoicie? Idziemy, nie ma czasu!

Nottoway okazało się dawną rezydencją planatorów trzciny cukrowej. Już z daleka dostrzegli lśniące białe kolumny frontonu, wznoszące się na wysokość trzech kondygnacji, całe kilometry długich werand oraz co najmniej dwieście okien. Z broszury, którą Wade przejrzał w recepcji, gdy mama poszła porozmawiać z menedżerką, wynikało, że jest to największa rezydencja zbudowana na Południu przed wojną secesyjną, licząca sobie, bagatela, sześćdziesiąt cztery pokoje,

o pomieszczeniach gospodarczych nie wspominając. Rezydencja, chlubiąca się wspaniałą salą balową i, co ciekawe, kręgielnią, była codziennie otwarta dla zwiedzających, zaś pokoje gościnne wynajmowano w domu zarządcy, a także w niedużej willi, gdzie swego czasu mieszkowali młodszy synowie oraz cii z gości, którym chciano zapewnić więcej swobody. Wszystkie zabudowania znajdowały się na ogrodzonym terenie, liczącym sobie kilka tysięcy akrów, w dodatku zostały ogrodzone murem, a jedyna droga do nich wiodła przez budynek mieszczący sklep z pamiątkami. Trudno byłoby znaleźć w promieniu wielu kilometrów bardziej odosobnione i lepiej strzeżone miejsce.

- I co? Świetnie wam doradziłam, prawda?  
- spytała triumfalnie mama, gdy zaprowadziła ich na piętro domu zarządcy i otworzyła drzwi.

Chloe i Wade ujrzeli miniapartament - w większym pomieszczeniu znajdował się stół, kominek, łóżko oraz biurko z lampą, w małym. urządzono oddzielną sypialnię, trzecie zajmowała łazienka. Meble w obu pokojach wyglądały na autentyczne, a nie na współczesne podróbki. Wade, który dorastał w liczącym sobie ponad dwieście lat Grand Point, poczuł się jak w domu.

- Może być - przyznał niechętnie.

- Tu jest cudownie! - stwierdziła Chloe, rozglądając się dookoła.

- Właśnie takiej odpowiedzi oczekiwałam - stwierdziła z aprobatą mama. - A teraz zjedzmy coś, zanim przyjedzie doktor, ma się zjawić za pół godziny. Moja znajoma okazała się tak miła, że zadzwoniła po niego ze swojej komórki. Oficjalnie to ona jest pacjentką, żaden Benedict nie zostanie nigdzie zarejestrowany. Nie wytropią nas.

Apartament nie został co prawda przewidziany na pięcioro gości, ale jakoś sobie poradzili, zwłaszcza Chloe i Wade nie przejmowali się pewną ciasnotą, gdyż najbardziej interesowało ich jedzenie. W samolotach i na lotniskach nie najedli się za bardzo... Chloe nie bardzo potrafiła wyjmować krewetki ze skorupki, więc Wade robił to za nią, za co obdarzyła go uśmiechem, który wydał mu się cenniejszy od orderu najwyższej klasy.

- Co z Janną i Lara? - spytał, nakładając wszystkim pudding na jednorazowe talerze, które kupili w przydrożnym markecie razem z kilkoma zmianami ubrań i innymi niezbędnymi rzeczami. - Są w Grand Point?

- Lara znalazła się w drodze pięć minut po twoim telefonie, bo praktycznie na niego czekała i była gotowa - odparł Adam. - Od trzech czy czterech dni mówiła mi, że ma złe przeczucia

w związku z tobą i że powinniśmy jechać do Grand Point, bo wracasz do domu.

- Janna zabrała Lainey i też tam pojechała - dodał Clay. - Co prawda w tym tygodniu zaczyna się nauka, ale na razie nie puścimy jej do szkoły, postanowiliśmy nie ryzykować.

- A Tory i Regina? No i April?

- Dwie pierwsze już są na miejscu, razem z Roanem i Kane'em - wyjaśnił Adam. - April ma cykl spotkań autorskich, lecz odwołała pozostałe. Luke właśnie teraz odbiera ją z lotniska.

To oznaczało, że najbliższa rodzina powinna być bezpieczna. Ród Benedictów liczył sobie oczywiście znacznie więcej osób, lecz dwaj bracia i trzech kuzyni wraz ze swymi żonami i dziećmi stanowili najbardziej prawdopodobny cel ataku Ahmada jako osoby najbliższe Wade'owi. Cała piątka należała do ludzi spokojnych, nieskorych do gniewu, ale groźnych, gdy już komuś udało się ich rozsierdzić. Hazarowie nie mieli pojęcia, na kogo się porwali.

Kiedy dopijali wino, przysłane im przez medżerkę, zjawił się lekarz. Poprosił Wade'a do sypialni, starannie obejrzał ranę, oczyścił, zaaplikował jakąś maść oraz zastrzyk antybiotyku, założył świeży opatrunek, zostawił antybiotyki doustne i oznajmił, że rana goi się dobrze, tylko na samym końcu szwu wdała się infekcja, lecz to w sumie nic groźnego. Zdziwił się, gdy otrzymał

zapłatę w gotówce, nie zadawał jednak pytań i znikł równie szybko, jak się pojawił.

Niedługo potem rodzina zaczęła się zbierać, choć Clay zaofiarował się, że zostanie i będzie trzymał wartę, zaś Adam wspomniał o pracującym w nowoorleańskiej policji przyjacielu, który chętnie by podłapał po godzinach dodatkową pracę za w miarę godziwe wynagrodzenie, i był gotów owego przyjaciela przywieźć. Na to mama obruszyła się, odpowiadając, że w Nottoway jest wyjątkowo bezpiecznie, a strażników nie widać wyłącznie dlatego, że starają się nie zwracać na siebie uwagi. Cała trójka sprzeczała się jeszcze, schodząc po schodach.

Wade zamknął za nimi drzwi, obrzucił powątpiewającym spojrzeniem dwustuletni zamek, z którym poradziłoby sobie sześćioletnie dziecko i odwrócił się do Chloe. Przyglądała mu się, w jej oczach ujrział zdenerwowanie i zmęczenie.

- Masz miłą rodzinę. Wolałabym ich w to nie wciągać - szepnęła cicho, Wade ledwie ją słyszał. - Tak mi przykro...

- Nie powinno ci być przykro, przecież to nie twoja wina.

-. Ale to wszystko by się nie zdarzyło, gdyby mój tata nie wysłał cię po mnie.

- Tak, a nie wysłałby mnie, gdybyś nie znalazła się w tarapatach. Tylko czy to ty je spowodowałaś? Nie! Pewnych rzeczy nie da się

uniknąć i już. Trzeba więc z nimi żyć najlepiej, jak się da. - Zauważył dziwny uśmiech na jej twarzy. - Mówię poważnie.

- Wiem. Po prostu pomyślałam sobie, że chociaż wydajesz się twardy i zasadniczy, to twoje towarzystwo jest naprawdę mile.

Mina mu się wydłużyła. Miłe? Tylko tyle?

- Cóż mam rzec... Dzięki - mruknął bez entuzjazmu.

Uśmiechnęła się, lecz potem znowu spoważniała.

- Twoja rodzina znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Czy oni zdają sobie sprawę z tego, jak wielkie niebezpieczeństwo im grozi?

- Wy tłumaczyłem im całą sytuację.

- Znam sposób myślenia Ahmada. To nas obwinia o śmierć Treeny, nie siebie, a żal z powodu utraty siostry i siostrzeńca jeszcze dodatkowo podsycą jego nienawiść. On potrzebuje zadać nam ból, rozumiesz? Nie zgadza się cierpieć sam, inni muszą doświadczyć tego, co on, nie mogą być szczęśliwi. Zadowolony go tylko wymazanie wszelkiego śladu po naszym istnieniu.

- To nie będzie takie proste, obiecuję.

- Nic go nie powstrzyma. Jedynie własna śmierć.

Włos mu się zjeżył na głowie, jakby usłyszał

głos przeznaczenia. Odsunął od siebie tę myśl. Niemożliwe, by Chloe miała podobne zdolności... Na pewno nie.

- To się da załatwić - rzucił.

- Nie wątpię. Pytanie tylko, ilu twoich kuzynów, ich żon i dzieci Ahmad zdoła wcześniej wyeliminować z gry.

To było najbardziej przerażające ze wszystkiego i właśnie z tego powodu Wade wołałaby znajdować się razem z resztą rodziny w Grand Point, trwać tam na posterunku z braćmi i kuzynami, ale rozumiał, że bardziej im się przyda, gdy odpocznie, wyśpi się i zregeneruje siły.

- Jeśli Ahmad spróbuje tknąć jakąś naszą kobietę lub dziecko, to już po nim — warknął.

Smutno potrząsnęła głową.

- Ale to nie wróci nikomu życia ani nie zmniejszy niczyjego cierpienia - rzekła cicho, a kiedy nie uzyskała żadnej odpowiedzi, zabrała torbę ze swoimi nowymi ubraniami i znikła w łazience, skąd po krótkiej chwili dobiegł szum prysznic.

Wade stał przez minutę czy dwie, patrząc nie wiadomo na co, po czym chwycił klucz leżący na biurku i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi. Po lewej ujrzał ogólnodostępny salon, po prawej podwójne drzwi, które prowadziły na tylną werandę. Przy nich znajdowały się schody, prowadzące na parter, zbiegi więc po nich



i wyszedł na zewnątrz prosto na regularny staw ogrodowy z fontanną. Obszedł go dookoła, cały czas rozglądając się uważnie, by poznać otoczenie i upewnić się, czy w okolicy nie kręci się nikt podejrzany. Starając się nie tracić z oczu domu zarządcy, przespacerował się przy dawnej wozowni, potem przy głównym budynku, który opuszczała jakaś wycieczka, na koniec przy sklepie z pamiątkami i restauracji. Uznawszy, że oddalił się trochę za bardzo, zawrócił i przysiadł na żeliwnej ławce w cieniu majestatycznych dębów. Nie chciał krępować Chloe swoją obecnością, zamierzał wrócić, gdy ona już na pewno zdaży się wykapać i pójdzie spać.

Ptaki ćwierkały w gałęziach pobliskiej magnolii, para wiewiórek goniła się po balustradzie jednej z werand rezydencji. Wade z ulgą wdychał wilgotne powietrze Luizjany, zupełnie inne niż suche powietrze w Hazaristanie, które здаowało się palić mu płuca. Nie ma to jak w domu... Usiadł bokiem na ławce, podkulił jedną nogę, wyciągnął ramię wzdłuż oparcia, położył na nim głowę, przymknął oczy. Tylko na chwilę.

Obudził się, gdy ostatnie promienie słońca kładły się pod drzewami. Usiadł gwałtownie, bacznie rozejrzał się dookoła. Wszystko wyglądało tak samo, nadal w zasięgu wzroku nie miał nikogo, nic się nie zmieniło, z wyjątkiem tego, że czuł się o niebo lepiej, nawet rana od

noża dokuczała mu znacznie mniej. Mimo to ogarnęło go poczucie winy, a wraz z nim niepokój, więc zerwał się z ławki i pospieszył z powrotem do domu zarządcy.

Na piętrze było dość ciemno, za drzwiami apartamentu panowała absolutna cisza, nie wydostawał się spod nich nawet promyk światła. Pełen obaw Wade nie mógł trafić kluczem w zamek, nie tylko dlatego, że niewiele widział. Wszedł do środka, przystanął, pozwalając oczom przywyknąć do mroku.

Nic. Nadal żadnego szelestu, ruchu, najlżejszego choćby oddechu.

Na łóżku nie było nikogo.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wade zrobił kilka kroków, zajrzał do drugiego z pomieszczeń i tam ją znalazł.

Leżała na łóżku, z jedną ręką odrzuconą za głowę, jej ciało rysowało się wyraźnie pod cienkim przykryciem. Rozczesane i jeszcze wilgotne włosy zwisały z poduszki, piersi pod bawełnianym T-shirtem unosiły się i opadały w rytm głębokiego, równego oddechu. Dopiero wtedy odetchnął i on. Podeszedł ostrożnie, oparł się barkiem o futrynę, zapatrzył się na śpiącą.

W jednej chwili poczuł przypływ pożądania - tak gwałtownego i silnego, że aż zimny pot wystąpił mu na czoło. Chciał położyć się obok niej, wtulić twarz w jej włosy, poczuć ich zapach, mieć dłonie pełne ciepłego, miękkiego ciała, zanurzyć się w nim na całą wieczność, a przynajmniej do następnego poranka. Ale to

nie była tylko czysto fizyczna, zupełnie naturalna reakcja na bliskość kobiety, z którą łączyły go szczególne przejścia i która wydawała się tak dostępna, gdy niebezpieczeństwo - przynajmniej chwilowo - minęło. To było coś więcej, znacznie więcej. Patrząc na nią, Wade czuł się tak, jakby widział przed sobą rodzinny dom, lecz nie mógł wejść. Jakby widział swoje miejsce na ziemi, lecz nie miał prawa się zbliżyć. To okazało się ponad jego siły.

Rozluźnił palce, kurczowo zaciśnięte na swojej parze kluczy i przypomniał sobie, że jako gość Nottoway posiada szczególny przywilej, mianowicie po godzinach zwiedzania wolno mu wejść do rezydencji. Postanowił to zrobić, gdyż dzięki temu mógł znaleźć się z dala od pokusy. Jeśli zostanie, niechybnie zrobi coś bardzo, ale to bardzo głupiego.

Wślizgnął się do imponującego budynku tylnym wejściem, po drodze nie spotkał nikogo. Nawet gdyby inni goście też mieli ochotę na zwiedzanie rezydencji, wybraliby inną porę, gdyż akurat nadeszła godzina podawania kolacji. Wyglądało na to, że był sam.

Najpierw zwiedził dawną kręgielnię, zmienioną w pokój śniadaniowy, przyjrzał się wiszącym na ścianach obrazom, zawrócił do holu, wszedł na piętro po wielkich mahoniowych schodach i ruszył powoli przed siebie, mijając po

drodze rozmaite salony i bawialnie, dawną palarnię, gdzie dżentelmeni udawali się po posiłku na cygaro i rozmowę o polityce, pokój muzyczny z dziwnie melancholijną harfą, której strun od dawna nikt nie trącał, aż wreszcie dotarł do sali balowej, długiej na dobrych dwadzieścia metrów. Marmurowy kominek oraz bogato zdobione stiukowymi ornamentami ściany i sufit były śnieżnobiałe, niezliczone szklane drzwi prowadziły na imponujący balkon, gdzie rozgrzani tańcem goście mogli zakosztować miłego chłodu. W rogu stał fortepian, mogący się poszczycić nie tylko pięknym wyglądem, ale i dźwiękiem, o czym Wade się przekonał, gdy przebiegł palcami po klawiszach.

Zanim mama wyprowadziła się z domu, synowie obowiązkowo brali lekcje muzyki, więc Wade, powodowany nagłym impulsem, usiadł i zaczął z pamięci grać walca, lecz w pewnym momencie jego wyostrzone zmysły wychwyciły jakiś ruch przy wejściu do sali. Obrócił się gwałtownie.

- Nie przerywaj - poprosiła Chloe, która stała w progu, kiedy grał, zaś gdy przestał, podeszła bliżej. - To bardzo pasuje do tego miejsca.

- Ja tylko tak... - Ogromnie zakłopotany, zaczerwienił się niczym dzieciak przyłapany na grzebaniu w czyichś rzeczach.

Gdy go mijała, poczuł delikatne muśnięcie na swoim ramieniu.

- Nigdy bym nie odgadła, że ciebie też interesują zabytkowe wnętrza. - Przystanąła z boku fortepianu, w zamyśleniu powiodła palcami po lśniącym skrzydle. - Tutaj wszystko jest takie fascynujące, nie sądzisz?

- Poczekaj, aż zobaczysz Grand Point. Co prawda nie mamy sali balowej, ale dom jest starszy od tego. Tam to dopiero człowiek może poczuć powiew historii!

- Naprawdę?

Z trudem oderwał wzrok od jej włosów, związanych wstążką w koński ogon, od krągłości widocznych pod prostą bluzką, którą Chloe włożyła zamiast T-shirtu, od bioder, rysujących się pod jasnozieloną spódnicą, długą do kostek, powiewną. Nagle uświadomił sobie z zaskoczeniem, że Chloe wydawała się być jak najbardziej na miejscu w starej rezydencji. W podobnym otoczeniu jej klasa stawała się jeszcze bardziej uderzająca.

- Tak. W deszczowe dni, kiedy nie mogłem iść do lasu, udawałem, że żyję w dawnych czasach.

- Jako kto? Jako pirat? - Odwróciła się do niego, patrzyła, jak Wade wstaje i powoli podchodzi do niej.

- Nie tylko. Czasem jako obrońca fortu,

choć to, co nazywaliśmy fortem, było zaledwie pagórkiem, usypanym dawno temu przez Indian, w którym rodzina wykopała piwnicę. Ale czasem chciałem być bogatym dżentelmenem, który nie ma nic do roboty, tylko je, pije, jeździ konno i zabawia piękne panie. Miałem wtedy jakieś szesnaście, siedemnaście lat.

- Skłonił się, ujął Chloe za prawą rękę, oparł jej lewą dłoń na swym ramieniu i przyjął klasyczną pozycję taneczną, gdyż w takim otoczeniu aż się o to prosiło.

Zielononiebieskie oczy spojrzały na niego nieco niepewnie.

- Naprawdę to ostatnie też sobie wówczas wyobrażałeś?

- Owszem, gdyż miało swój urok. Oczywiście w tych fantazjach byłem czarujący i wytworny, zawsze doskonale wiedziałem, jak należy w danym momencie postąpić. - Powoli, by jej nie spłoszyć, zaczął tańczyć walca.

- Kiedy się uklonić i prawić komplementy, tak?

- Tak. Te ostatnie prawilem jak nikt. Tymczasem w rzeczywistości przy dziewczynach wstydziłem się okropnie, więc dukałem coś bez ładu i składu - wyznał z autoironią.

Zaśmiała się cicho.

- Jakoś nie potrafię uwierzyć, że naprawdę taki byłeś.

- A jednak. Oczywiście mówimy o zamierzonej przeszłości, nie zapominaj.

Wykonał żywszy obrót, co dało mu znakomity pretekst, by przyciągnąć Chloe bliżej do siebie. Poczował ciepło, emanujące z jej ciała, długa spódnica zawirowała mu między nogami, jedwabiste włosy musnęły dłoń spoczywającą na talii, a wszystko to podziałało na niego tak uwodzicielsko, że znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Jeśli nie chciał się wygłupić, powinien przestać i ją puścić. Tak, ale jeszcze nie w tej chwili. Jeszcze trochę.

- Co robisz, ja nie umiem tańczyć! - zaprotestowała.

- Na razie idzie ci całkiem nieźle.

- Nigdy nie zdołałam opanować żadnych kroków. Mama próbowała mnie uczyć w sekrecie, ale to było tak dawno...

- Mogę cię nauczyć, jeśli masz ochotę - zaoferował się natychmiast, gdyż to pozwalałoby mu znajdować się blisko niej i dotykać jej najzupełniej bezkarnie.

- A umiesz coś oprócz walca?

- Co tylko zechcesz - odparł, gdyż podczas pracy w ambasadzie często ochraniał przyjęcia incognito, udając gościa lub jednego z pomniejszych urzędników. Znajomość tańców towarzyskich praktycznie należała do jego obowiązków i jako taka stanowiła część wyszkolenia.



- Naprawdę? Znasz jakieś wolne tańce? Na przykład tango?

- Oczywiście.

- A tańce latynoskie?

- W granicach rozsądku - odparł dyplomatycznie, gdyż na tym gruncie nie czuł się aż tak pewnie. - Wszystkich jest za dużo.

- Country?

- Znam two stepa.

- A rock and rolla?

Lekko wzruszył ramionami.

- Wystarczy kilka podstawowych ruchów i można udawać równie dobrze jak inni. Znam też tutejszą odmianę walca, walc Cajunów, zupełnie różny od angielskiego, który właśnie tańczymy.

- Jestem pod wrażeniem.

- Cóż, trzeba sprawiać damom przyjemność.

- Uśmiechnął się i, rozochocony, zawirował z nią dookoła sali.

- A czy oprócz tego nauczysz mnie też, jak się kochać?

Wade zatrzymał się gwałtownie, serce podskoczyło mu do gardła.

- Co powiedziałaś?! - spytał gwałtownie nieswoim głosem.

- Spytałam, czy mógłbyś...

- Tak, zrozumiałem, ale... ale to tylko tak zabrzmiało, jak zabrzmiało, chodzi ci o coś innego, prawda? - upewnił się, chociaż pragnął

natychmiast skorzystać z nadarzającej się okazji. Wiedział jednak dobrze, że pewne rzeczy są zbyt piękne, żeby mogły być prawdziwe.

- Nie, właśnie o to. - Patrzyła mu prosto w oczy, choć na jej policzkach wykwitły doskonałe widoczne rumieńce. - Zastanawiałam się nad tym przez ostatnie dwa dni.

Oniemiał. Siedziała obok niego w samolocie i myślała o kochaniu się z nim? Z tego szoku zapomniał o wszelkich subtelnościach i spytał wprost:

- Czemu?

- Bo to najlepszy sposób.

- Na co?

- Na dopasowanie się.

- Nie rozumiem.

- Ostatnich paręnaście lat spędziłam w izolacji, prawie że w więzieniu. Jesteś pierwszym mężczyzną spoza rodziny, z którym mam styczność. Zrozum, będąc dwudziestosześcioletnią dziewczyną, czuję się jak jakaś dziwaczka. Chcę stać się taka sama jak inne Amerykanki w moim wieku.

Odchrząknął.

- Proszenie facetów o uprawianie z tobą seksu nie jest dobrym sposobem na osiągnięcie tego celu.

- Czemu używasz liczby mnogiej? Poprosiłam ciebie.

- Ale dlaczego? Wydawało mi się, że wcale mnie nie lubisz i winisz mnie za wszystko, co się ostatnio stało.

Chyba musiał upaść na głowę, sprzecząc się z Chloe w takiej sytuacji. Zachowywał się tak, jakby nie zgadzał się na coś, czego pragnął bardziej niż czegokolwiek innego.

- Jesteś atrakcyjny, obyty w świecie, z pewnością masz sporo doświadczenia z kobietami.

- Ale nie z dziewczynami - sprecyzował.

- Mimo to ufam, że rozumiesz różnicę.

Coraz bardziej oszołomiony Wade nawet nie wiedział, czy zasłużył na podobną pochwałę.

- Posłuchaj... - zaczął.

- Wade, proszę! Chcę zostać zaakceptowana jako normalna, wolna amerykańska kobieta, która stara się pomóc przyjaciółkom w Hazaristanie, zamiast być postrzegana jako fanatyczka, która nienawidzi mężczyzn z przyczyn czysto osobistych. Od razu widać, że jestem inna. Może to sposób, w jaki się poruszam, może sposób, w jaki patrzę, a raczej nie patrzę, na mężczyzn. Moja odmienność rzuca się w oczy.

- Wiele da się załatwić ubraniem i makijażem - rzekł cokolwiek desperacko. -- Chociaż wolałbym, żebyś z tym nie przesadzała, bo naprawdę byłoby szkoda.

- Czyli twoim zdaniem mam się w ogóle nie zmieniać, tak?

- Przynajmniej nie za bardzo...

- Może jeszcze mam zostać potulna i uległa i nie pokazywać się publicznie?

Coś jednak jest w tym odwiecznym męskim marzeniu, żeby mieć wyłącznie dla siebie posłuszną niewolnicę, na której nawet nie spocznie oko innego, pomyślał. Oczywiście nie zamierzał się do tego przyznawać, jeszcze nie zwariował. Zresztą przy takiej kobiecie umarłby z nudów...

- Nawet mi to do głowy nie przyszło.

Zmarszczyła brwi.

- O co więc chodzi? Nie chcesz mnie?

- Nie w tym rzecz - prawie jęknął, czując żywiołową reakcję swojego ciała.

- Masz HIV?

- Jezu, nie!

- Chorobę weneryczną?

- Nie!! Niewiarygodne, że o to pytasz, przecież przyjechałaś z kraju, w którym kobiety praktycznie w ogóle nie rozmawiają z mężczyznami, zwłaszcza o sprawach intymnych.

- Myślałam, że Amerykanki mówią o takich rzeczach zupełnie swobodnie.

- Jedne mówią, inne nie mówią, chociaż powinny. W każdym razie nie robi się tego tak... obcesowo.

- Och! W takim razie jak należało poruszyć ten temat?

- Nieważne - uciał, gdyż nie czuł się na

siłach, by rozważyć, w jaki sposób powinna rozmawiać z nim o seksie. - Zrozum, to, co proponujesz, może mieć poważne konsekwencje dla nas obojga. A jeśli zajdziesz w ciążę? Nie jestem przygotowany, by się zabezpieczyć i bardzo bym się zdziwił, gdybyś ty była.

- Nie, nie jestem - przyznała zatroskana.

- Sama widzisz. Pomyśl, jak bardzo by się wszystko skomplikowało. Wcale nie jestem pewien, czy chciałabyś wtedy za mnie wyjść, skoro dopiero co uciekłaś przed Ahmadem.

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- Ty naprawdę byłbyś gotów ożenić się ze mną - stwierdziła wreszcie ze zdumieniem.

- Z miejsca. Żaden Benedict nie postąpiłby inaczej.

- Rozumiem. Nie chcę cię do niczego zmuszać, więc nie musimy posuwać się aż tak daleko, żeby ryzykować ciążę. To ty zdecydujesz, co zrobimy.

- Chloe... - urwał bezradnie.

Nie wiedział, co powiedzieć. Z jednej strony chciał natychmiast ulec jej życzeniu, ulec kompletnie, nie dbając o konsekwencje, lecz z drugiej czuł, że nie powinien wykorzystywać jej niewinności, nawet jeśli Chloe sama występowała z podobną propozycją.

- Jest jeszcze kwestia Ahmada. Jeśli on mnie dopadnie, wtedy albo umrę, nie wiedząc, jak to

jest kochać się z kimś, albo... Nie chcę, żeby to on... Za nic.

- Rozumiem. Myślisz, że jeśli zdążysz przedtem mieć kogoś, on już cię nie tknie, by nie splamić swego bezcennego honoru?

Na jej twarzy odmalowała się ulga.

- A więc rozumiesz mnie.

- Znając jego fanatyzm, prędzej uzna to za kolejny powód, żeby cię zabić.

Wyprostowała się.

- Niech więc przynajmniej przedtem mnie nie wykorzysta.

- Pewnie wcale tego nie zrobi, bo w jego oczach już i tak zhańbiłaś się doszczętnie. Nie będzie chciał się pokalać.

- Wolę uzyskać pewność. Na samą myśl o jego dotyku czuję odrazę.

- A o moim?

Jej oczy przybrały dziwny wyraz.

- Niekiedy coś staje się przekleństwem lub dobrodziejstwem w zależności od tego, kto to uczyni.

Kiedy milczał, nie znajdując odpowiednich słów, odsunęła się od niego. Odrobinę.

- W porządku, jeśli nie chcesz, poszukam kogoś innego.

- Nie! - uciał gwałtownie, gdyż na samą myśl o tym ogarnęła go zgroza. Ani Ahmad nie będzie jej miał, ani żaden inny mężczyzna.

Chloe patrzyła na niego wyczekująco.

- A więc?

- A więc kierując się racjonalnymi powodami, podjęłaś na zimno decyzję, wypraną z wszelkich emocji?

- Tego nie powiedziałam. Nie znam żadnego innego mężczyzny, z którym byłabym gotowa to zrobić.

- Nie spotkałaś ich znowu aż tak wielu.

- Czasem wystarczy spotkać jednego.

Wade poczuł się, jakby został pasowany na rycerza, w dodatku towarzyszył temu cudowny uśmiech - trochę drżący, lecz szczerzy i ujmujący za serce.

- Wobec tego jestem cały twój - oświadczył, ulegając przeznaczeniu, przy czym zaskoczyły go słowa, w jakich wyraził zgodę. Czyżby w jego stwierdzeniu kryło się więcej prawdy, niż mogło się wydawać?

- Wiesz, nie musisz mieć przy tym takiej nieszczęśliwej miny - zauważyła Chloe z lekką przekorą.

- Wcale nie czuję się nieszczęśliwy. Kiedy chcesz zacząć lekcje?

- Teraz?

Brzmiały w jej głosie oczekiwanie wywarło na nim piorunujące wrażenie. Zaprzagnął położyć się z nią na podłodze sali balowej i kochać się namiętnie pod wielkimi kryształowymi ży-

randolami przez najbliższych sto lat. Oczywiście ta opcja nie wchodziła w grę.

- Lekcja pierwsza... - Przyciągnął ją bliżej do siebie, uniósł palcami jej brodę. - Pocałunki mogą przybierać różne formy, czasami zaczyna się tak... - Powoli całował czoło, zamknięte oczy i policzki Chloe, napawając się dotykiem delikatnej jak jedwab skóry.

- A lekcja druga? - spytała ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Odsuwanie przyjemności w czasie dodatkowo ją powiększa - wygłosił z lekkim rozbawieniem, całując jej brodę. - Ale nie da się tego znosić zbyt długo, a poddanie się pokusie stanowi przyjemność jeszcze większą niż odwlekanie tej chwili.

- Takie też żywiłam podejrzenia...

- To teraz przestaniesz podejrzewać, tylko się przekonasz. - Choć przesunął wargami po jej ustach bardzo delikatnie, miał wrażenie, jakby przeszył go prąd. Poczul też lekki, równie elektryzujący dotyk ciepłego biustu na swoim torsie, gdyż jej piersi uniosły się, kiedy Chloe gwałtownie wciągnęła powietrze.

Niechętnie uniósł głowę, a wtedy Chloe spojrzała na niego z rozczarowaniem.

- I już? Jeden ratownik zrobił tak samo, gdy miałam trzynaście lat. On miał siedemnaście. Naprawdę pocałunek to tylko tyle?



Wade stłumił jęk.

- Ty chyba dawno nie oglądałaś żadnego filmu, skoro zadajesz podobne pytania.

- Bardzo dawno. Zresztą patrzenie właściwie się nie liczy, co innego doświadczenie.

- Fakt.

- To co?

Uśmiechnął się, gdyż nieświadomie odezwała się bardzo prowokacyjnie.

- Gotowa na lekcję numer trzy?

W odpowiedzi uniosła twarz i zamknęła oczy, zaś Wade nie potrafiłby się oprzeć temu milczącemu zaproszeniu, nawet gdyby przywołał na pomoc wszystkie siły. Miał tylko nadzieję, że starczy mu ich na to, by nie rzucić się na nią i nie wziąć jej natychmiast, gdyż Chloe zasługiwała na coś znacznie lepszego. On sam zresztą też.

Przygarnął ją mocniej, znów przesunął ustami po miękkich wargach, tym razem nieco śmielej, potem delikatnie powiódł wzdłuż nich czubkiem języka, wyczuwając pod gładką skórą pulsowanie krwi. Kiedy tak zachęcał Chloe czułymi pieścizotami, by mu odpowiedziała, przylgnęła do niego z cichym westchnieniem, smukłe palce zaczęły wędrować po barkach Wade'a, po szyi, wreszcie zanurzyły się we włosach. Zadrżał i z wrażenia niemal przegapił moment, gdy rozchyliła usta.

Była słodka, świeża, miał wrażenie, jakby

mógł się upić od samego smakowania jej, odkrywania tajemnic jej ciała. Język Chloe niepewnie dotknął jego języka, lecz zaraz cofnął się jak spłoszone zwierzątko, a Wade z całych sił zapragnął zdobyć pełne zaufanie tej cudownej kobiety - niechby się nie obawiała, niechby ośmieliła się pieścić go i poznawać równie chętnie, jak on poznawał ją. Potrzebował tego. Bardzo. Nagle poczuł przypływ bezgranicznej czułości, aż bolesnej, gdyż prawie niemożliwej do zniesienia. Ze zdumienia najpierw znieruchomiał, a potem odsunął się o krok.

- Go się stało? - Chloe zamrugała powiekami niczym ktoś wyrwany z głębokiego snu.

- Zrobiłam coś nie tak?

Z trudem wydobył głos.

- Nie, skądże. Tylko... Tylko pomyślałem, że może powinniśmy kontynuować w jakimś miejscu, gdzie nikt nam nie przeszkodzi.

- Chyba masz rację - przyznała po chwili z lekkim ociąganiem.

Przeszli cicho przez amfiladę pomieszczeń, Wade otworzył tylne drzwi, zatrzymał Chloe, kładąc jej dłoń na ramieniu, wyjrzał pierwszy, poczekał, aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności, uważnie zlustrował otoczenie. Nie dostrzegł nikogo ani nie usłyszał nic podejrzanego, jedyne odgłosy dobiegały od strony restauracji.

- Jesteś głodna? - spytał nagle, gdy szli przez dziedziniec.

- Niespecjalnie. A ty?

- Też nie. Możemy zjeść później, jeśli będziesz chciała.

- Bardzo chętnie.

Ta uprzejma wymiana zdań wypadła sztywno, niezręcznie, jakby naraz zaczęli się ze sobą źle czuć lub stali się sobie zupełnie obcy, więc Wade prawie pożałował, że pokierował się rozsądkiem, że nie wziął od razu od Chloe wszystkiego, co tylko zechciałyby mu dać w tej pięknej śnieżnobiałej sali...

Gdy podeszli ścieżką do domu zarządcy, jednocześnie zobaczyli siedzącego na balustradzie werandy mężczyznę. Chloe zamarła, a potem szybko odsunęła się, przywierając plecami do muru i robiąc Wade'owi przejście. Mężczyzna wstał i ruszył ku nim, z mroku wyłoniła się brązowa twarz, mundur w kolorze khaki, kabura przy skórzanym pasie.

Wade rozpoznał mężczyznę, jeszcze zanim ujrzał jego rysy.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Nat, niech cię diabli, skróciłeś mi życie o dobrych dziesięć lat!

- Chłopie, kto by pomyślał, że tak łatwo cię zaskoczy? Ale widzę, że masz całkiem sporo na swoje usprawiedliwienie.

Chloe wbiła wzrok w ogorzałą twarz nieznanego. A więc to był ów przyjaciel i dawny pracodawca Wade'a, który służył mu pomocą na odległość podczas misji w Hazaristanie! Odetchnęła z ogromną ulgą, czekając, aż puls wróci jej do normy.

- Mogłeś mnie łaskawie uprzedzić o swoim przyjeździe.

- I zaryzykować ściąganiem na ciebie uwagi kilku podejrzanych typów? Wiesz, ja cię całkiem lubię, stary, za to cholernie nie cierpię pogrzebów.

- W porządku. Właściwie sam powinienem był się domyślić, że nie wytrzymasz i włączysz się do akcji. Co ty masz na sobie?

- Uniform tutejszej ochrony hotelowej, uzgodniłem to z nimi. W ten sposób nie wzbudzę niczyich podejrzeń, kręcąc się po terenie.

- Słusznie. Chloe, pozwól... - Obrócił się ku niej i wykonał gest dłonią. - To Nathaniel Hedley, szef firmy, o której ci wspominałem. Nat, poznaj damę, którą chronimy.

Jego przyjaciel służyście dotknął palcami daszka czapki.

- Witam panią.

Chloe, trochę już ośmielona poznaniem Benedictów, podeszła, wyciągnęła rękę i nawet zdobyła się na uśmiech.

- Miło mi, panie Hedley.

- Dla przyjaciół Nat. A wiadomo, że przyjaciele naszych przyjaciół... i tak dalej.

- Chodźmy do środka i obgadajmy sytuację - zaproponował Wade, bacznie rozglądając się dookoła.

- Nie wejdę z wami do pokoju, bo to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Również z tego powodu musimy rozmawiać krótko. Kiedy dzwoniłeś z lotniska, nie powiedziałaś mi zbyt wiele o tym, jak ma wyglądać ta część operacji, więc zrób to teraz, bo potrzebuję być na bieżąco.

- Niewiele powiedziałem, ponieważ sam je-

szcze nie mam pełnej jasności w tej kwestii.

- Wade otworzył przed nimi drzwi.

Weszli na piętro, skierowali się ku pustemu salonowi, gdzie przyjaciele odsunęli krzesła od stołu, by przy nim usiąść, lecz Chloe poszła dalej, zamierzając zamknąć się w apartamencie, żeby mężczyźni mogli swobodnie porozmawiać.

- Chloe! - zawołał za nią Wade.

Odwróciła się, zaskoczona.

- Zostań, przecież ta sprawa dotyczy również ciebie.

Uśmiechnęła się, uradowana tym, że o niej pomyślał i świadoma, jak bardzo to zadowolenie po niej widać. Tak, mogłaby łatwo przywyknąć do bycia zauważaną, do liczenia się z nią, właściwie znajdowała się na najlepszej drodze, by się od tego uzależnić. To było niebezpieczne, równie niebezpieczne jak lekcje, których sobie wcześniej zażyczyła, tymczasem zupełnie się tym nie przejmowała, ponieważ już dawno nauczyła się podejmować ryzyko, godzić się z jego istnieniem, a nawet do pewnego stopnia cenić je za dodawanie życiu smaku.

Zawróciła do salonu, przysiadła na poręczy kanapy, a wtedy przyjaciele ustawili swoje krzesła inaczej, bliżej Chloe, by czuła się włączona do rozmowy. Słuchała, jak oni dyskutują o kwestiach bezpieczeństwa, obchodach terenu, punktach obserwacyjnych i podobnych rzeczach, lecz

szybko zaczęła myśleć o czymś innym, ponieważ w tej sytuacji nie potrafiła nie porównywać Wade'a rozprawiającego na zimno o szczegółach paramilitarnej operacji z Wade'em, z którym dopiero co tańczyła w rytm niesłyszalnej muzyki i od którego pobierała pierwsze lekcje miłości.

Odsuwanie przyjemności w czasie dodatkowo ją powiększa...

Nie spodziewała się, że będzie tak odwlekał moment spełnienia. Ale właściwie czego oczekiwała? Że Wade wywiąże się z zadania od razu w sali balowej, gdzie w każdej chwili mógł ktoś wejść? Weźmie ją na stojąco, jak udawali w Aj-zukabadzie? Czy może raczej zaprowadzi z powrotem do apartamentu i z miejsca zaciągnie do łóżka, nie zadając zbędnych pytań? Tak, te scenariusze uznała za najbardziej prawdopodobne, gdyż ze wzmianek kobiet, wśród których żyła przez tyle lat, wynikało, że seks jest w sumie czymś prostym i zwyczajnym. Tymczasem Wade zabrał się do nauki w sposób, który rozpałił wyobraźnię Chloe, czego sobie wcale nie życzyła. Owe pieszczoty spodobały jej się stanowczo za bardzo, mogłaby się od nich łatwo uzależnić, tym samym uzależniając się od mężczyzny. Mimo to już nie mogła się doczekać, co się stanie, gdy znajdą się sami w apartamencie.

A jeśli nic? Jeśli on przerwał lekcje, ponieważ wcale nie sprawiały mu przyjemności, więc

zmienił zdanie? Widziała, jak ucieszył się na widok przyjaciela - ale czy ze względu na uzyskanie dodatkowego wsparcia w walce z Ahmadem, czy dlatego, że ta wizyta dawała mu pretekst, by nie kontynuować tego, co zaczęli?

Pochłonięta myślami, zupełnie przestała przysłuchiwać się rozmowie, jej uwagę zwróciło dopiero zadane z większym naciskiem pytanie Wade'a:

- Czyli zdołaliście go wytropić?

- Chwilę nam to zajęło, ale się udało. Ten cały Ahmad bardzo lubi podróżować, dwa lata temu odwiedził Jemen, przedtem pokręcił się po Afryce, zahaczył o Iran. Z jego trasą pokrywa się transfer wielkich sum pieniędzy, które trafiają z jednej firmy do drugiej bezpośrednio, poza siecią bankową, bez zostawiania śladów.

- Al-Kaida - mruknął Wade.

- Dokładnie. Jest fanatycznie lojalny, więc powierzają mu fundusze organizacji.

- Dałeś radę ustalić, gdzie przebywa w tej chwili?

- Ślad się urwał, ale naszym zdaniem gość nadal siedzi w Nowym Orleanie z jednym czy dwoma ludźmi.

- Powiedz mi, jakim cudem udało mu się tutaj dostać? Jak zdołał się przemknąć przez system zabezpieczeń, jaki mamy obecnie na lotniskach?



- Słuchaj, facet ma ważny paszport, legalną wizę, opłacony bilet w obie strony. Nie da się prześwietlić każdego bez wyjątku i nie można zawracać z lotniska każdego gościa w turbanie.

Wade zaklął.

- Też tak myślę - zgodził się Nat. - Ale z drugiej strony to wolny kraj i czy chciałbyś, żeby było inaczej? Zresztą nie wiem, czy Ahmada nie wpuszczono specjalnie.

- Chyba żartujesz.

- Bynajmniej. Jeden z tych jego kumpli to nasza wtyczka. Federalni czekają na informacje od niego, bo Ahmad pewnie ma tu jeszcze jakieś inne zadanie oprócz wykończenia wszystkich Benedictów po kolei. W sumie może bezpiecznie było ich wpuścić i dowiedzieć się, co knują.

- Ten informator to wiarygodne źródło?

- Raczej tak. To Hazar, zwerbowany kilka lat temu, nie tyle miłośnik Ameryki, co wróg talibów, częściowo z powodu przekonań, częściowo dlatego, że zakazali handlu różnymi luksusowymi towarami i jego rodzina mocno na tym ucierpiała. Jest bogobojnym muzułmaninem i tradycjonalistą, nie chciałby widzieć w swoim kraju zachodnich obyczajów, ale reżimu i szariatowi nie chce jeszcze bardziej, więc nam pomaga.

- Nawiązał już kontakt?

- Na razie nie. Czekamy.

Wade zaklął pod nosem, potem przez chwilę panowało milczenie.

- Nie jesteś głodny? - zatroszczył się nagle.  
- Może pójdziemy razem na kolację? Moja mama twierdzi, że mają tu świetnego kucharza, a wie, co mówi, bo siedziała tu przez jakiś czas.

- Wierzę we wszystko, co mówi twoja matka, ale po pierwsze jadłem po drodze, a po drugie ochroniarz nie powinien zbyt bratać się z gośćmi, nie ściągajmy na siebie żadnych podejrzeń. Idźcie sami.

Wade zerknął na Chloe.

- Może pójdziemy. W ogóle powinniśmy wcześniej się położyć i odespać zaległości, po tej podróży jesteśmy trochę nieprzytomni.

- W takim razie już was nie zatrzymuję.  
- Nat podniósł się, pozostała dwójka również.  
- Było mi bardzo miło panią poznać - zwrócił się do Chloe.

- Mnie pana również. Jestem wdzięczna, że zechciał pan przyjechać i nam pomóc.

- Pewnie niepotrzebnie, bo Wade potrafi sobie radzić sam. Jednak ostrożności nigdy nie za wiele.

- Zgadzam się w zupełności. Oboje będziemy spali znacznie spokojniej, wiedząc, że pan czuwa w pobliżu.

- Taki też był mój cel. - Uśmiechnął się.  
- Proszę nie gniewać się za to, co teraz powiem,

ale nareszcie rozumiem, czemu Wade tak się zaparł, żeby wyrwać panią z rąk talibów. Tamte kraje nie są miejscem dla Amerykanki, zwłaszcza takiej.

Zarumieniła się, niepewnie spojrzała na Wade'a, szukając u niego pomocy.

- Przyzwyczajaj się - poradził jej beztrąsko.  
- Od tej pory będziesz często słyszała komplementy. Podziękuj Natowi i życz mu dobrej nocy.

Kiedy to zrobiła, przyjaciele pożegnali się, nawzajem sobie przykazując uważać na siebie, Nat wyszedł i zostali tylko we dwoje. Zapadła niezręczna cisza. Wade nerwowo przeczesał włosy palcami.

- Przepraszam cię za to. Zgodziłem się na pomysł mamy i zabrałem cię tutaj, żebyś miała trochę spokoju i przywykła do życia w Ameryce, zanim poznasz całą masę nowych ludzi.

- Nic się nie stało. - Zawahała się. - Naprawdę chciałeś pójść z nim na kolację, czy proponowałeś mu to z grzeczności?

- Z grzeczności. Ale jeśli zgłodniałaś, możemy iść do restauracji.

- Nie czuję się jakoś specjalnie głodna, myślałam tylko... - Urwała z zakłopotaniem.

- O czym? O Nacie czy o tym, co wydarzyło się w sali balowej?

- W pewnym sensie o tym i o tym.

- Rozumiem. Naszły cię wątpliwości, czy to rzeczywiście dobry pomysł, więc ta kolacja we troje byłaby ci na rękę, bo miałybyś czas na zastanowienie się, tak? Słuchaj, naprawdę nie musimy tego robić, wystarczy jedno twoje słowo, a zapomnimy o całej sprawie.

- Ja nie zapomnę. Nie chcę zapomnieć - oświadczyła, patrząc mu prosto w oczy. - Ale może ty wolałbyś się wycofać?

Skrzyżował ramiona.

- Aha. Wcale nie chcę być twoim nauczycielem, więc szukałem pretekstu, żeby się wykręcić i stąd ta propozycja wspólnej kolacji?

- Mniej więcej - przyznała z ulgą. Jak on ją dobrze rozumiał!

- Uważasz, że nie jestem w stanie wykrzesać z siebie odrobiny zainteresowania seksem z piękną i chętną kobietą? Albo że według mnie to za dużo zachodu, więc mi się odechciało? - W głosie Wade'a brzmiało jednocześnie rozbawienie i niedowierzenie.

Chloe, nieprzywykła do rozmawiania w podobny sposób, spieszyła się i spuściła wzrok.

- Nie... Tak nie myślałam...

- Skoro nie w tym rzecz, to pewnie uświadomiłaś sobie, jak obraźliwa była dla mnie twoja propozycja, traktująca mnie jak obiekt seksualny, a nie drugiego człowieka? Zamierzałaś użyć mojego ciała, wykorzystać moje doświadczenie

i nie zastanowiłaś się, że takie postawienie sprawy może ranić moje uczucia?

- Naprawdę nie chciałam, żeby to tak wyszło. Przepraszam.

Wade naciskał dalej:

- Zrobiło ci się głupio, że wyznaczyłaś mi rolę faceta na jeden raz? Dobrze wykonana usługa, żadnych zobowiązań, po fakcie każde idzie w swoją stronę?

- W porządku, nic już nie mów - rzekła z rezygnacją. - Naprawdę rozumiem, że zmieniłaś zdanie.

- Nigdy, przenigdy.

Zaskoczona, spojrzała na niego ponownie.

- Ale przecież powiedziałaś...

- Całą masę rzeczy, których wcale nie myślę, bo próbowałem wybadać, co ty myślisz. Owszem, mam poważne wątpliwości co do tego pomysłu, ale polegają one na czymś zupełnie innym, niż ci się wydaje. Boję się, że cię wykorzystam. Boję się, że któregoś dnia, kiedy ochłoniesz po tych wszystkich wydarzeniach, otrząsniesz się z szoku kulturowego i przestaniesz wątpić w siebie, zadasz sobie pytanie, co cię napadło, żeby poprosić mnie o coś podobnego. Boję się, że będziesz żałować.

Uśmiechnęła się powoli, jednocześnie czując, jak robi jej się przyjemnie gorąco.

- Nigdy, przenigdy.

Dookoła panowała cisza, jakby mieli cały dom tylko dla siebie. Na zewnątrz cykały świerszcze, wiatr szumiał w gałęziach potężnych dębów, oni jednak nie słyszeli niczego, kiedy tak stali, przyglądając się sobie nawzajem w ciepłym, złocistym świetle kinkietów. Wreszcie wzięli się za ręce i poszli do apartamentu, gdzie Wade najpierw sprawdził, czy nikt się tam nie ukrywa, a potem rzucił klucze na stół i już bez chwili zwłoki porwał Chloe w objęcia.

- W którym to miejscu przerwaliśmy lekcję?

Zamiast odpowiedzieć, przylgnęła do niego z cichym jękiem, oszołomiona ciepłem jego ciała, dotykiem zamykających się wokół niej muskularnych ramion, słodką magią pocałunku. Nie potrafiła bronić się przed pożądaniem, prze-rażająco intensywnym, mocnym jak narkotyk, przenikającym bez reszty. Chyba najbardziej ze wszystkiego fascynowała ją i pociągała siła Wade'a - zarówno fizyczna, jak i wewnętrzna. Z jednej strony Chloe wyrzucała sobie, że taki podziw dla męskiej siły jest najbardziej prymitywną z kobiecych reakcji, a z drugiej znajdowała w tym głęboką przyjemność.

Jak we śnie powiodła dłońmi po szerokich barkach, splotła palce na karku Wade'a i mocniej przyciągnęła jego głowę do siebie, spragniona bardziej żarliwych pieszczot. On jednak nie uległ temu bezsłownemu żądaniu, zamiast

tego obsypał lekkimi pocałunkami policzek Chloe, zbliżył usta do ucha.

- Nie chcę cię do niczego przynaglać i na pewno nie chcę cię w żaden sposób zranić - szepnął. - Jest czas na zupełnie szalony seks, ale jest też czas na seks trochę spokojniejszy. Teraz mamy ten drugi.

- Nie czuję się ani trochę spokojna - odszepnęła.

Poczuła ciepły oddech na uchu, jakby Wade odetchnął gwałtownie.

- Ale szalony trwałby dużo krócej, w dodatku ponieważ to twój pierwszy raz, miałybyś z tego znacznie mniej przyjemności niż ja. Nie chodzi o to, żeby jak najszybciej uwolnić się od napięcia, tylko żebyśmy oboje mogli się w pełni rozkoszować tym, co się dzieje.

- Chodzi ci o to, że oboje mamy odlecieć, tak? Szczytować?

- A skąd ty znasz takie określenia?

- Nastolatki sporo mówią o tych rzeczach, trochę zapamiętałam. To co? Lekcja numer cztery?

- Nie wiem, straciłem rachubę.

- A ja nie!

- Oj, Chloe, Chloe... -jęknął, opierając się czołem o jej czoło. - Czy wiesz, co ty ze mną robisz? Zawału przez ciebie dostanę.

- Ale chyba jeszcze nie teraz? - upewniła się

z uśmiechem. - Przynajmniej mam taką nadzieję.

Zaśmiał się w odpowiedzi, a Chloe przytuliła się mocniej i pocałowała go, napawając się dotykiem, smakiem, zapachem, rejestrując wszystkie doznania, chłonąc je w siebie. Czuła, jak spoczywająca na jej talii dłoń Wade'a zaczyna przesuwac się wyżej, zatrzymuje pod samą piersią, jakby badając bicie serca. Chloe ogarnął nastrój intensywnego, napiętego wyczekiwania, nie dającego się porównać z niczym innym. Nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego. Wstrzymała oddech, a wtedy dłoń Wade'a poruszyła się i miękko zamknęła się na jej piersi.

Powolny ruch kciuka, który przesunął się po sutku, wywołał gorący wewnętrzny dreszcz, ku zaskoczeniu Chloe kończący się bardzo nisko w podbrzuszu. Ogarnęła ją słodka niemoc, więc przytuliła się do Wade'a; w jakiś najgłębiej pierwotny sposób potrzebując znaleźć w nim oparcie.

Zerknął za siebie, sprawdził, gdzie znajduje się fotel, cofnął się, usiadł i posadził sobie Chloe na kolanach. Miała pod sobą jego umięśnione uda, a wokół siebie jego ramiona i wydawało jej się to najnaturalniejsze w świecie. Z zachwytem pogładziła dłonią opaloną twarz, przeciągając palcami po policzku, wzdłuż mocno zarysowanej szczęki, dotknęła lekkiego



wgłębienia w brodzie. Kiedy Wade ponownie położył dłoń na jej piersi, Chloe aż jęknęła z rozkoszy, a próbując to ukryć, spytała pośpiesznie:

- Czy... czy to gra wstępna?

- Owszem, a przynajmniej jej część. Mam tego nie robić?

- Nie - zaprotestowała natychmiast i dodała, by jej źle nie zrozumiał: - Rób...

- Czy wiesz, że masz w piersiach cztery razy więcej zakończeń nerwowych niż mężczyzna?

Pokręciła głową.

Powolutku pogłaskał kciukiem wyraźnie wyczuwalny sutek.

- Oczywiście bez ubrania czułabyś to jeszcze lepiej.

Nagle z całej siły zapragnęła poczuć jego dotyk na nagiej skórze, więc zaczęła rozpinąć guziki bluzki, cokolwiek niezręcznie z tego pośpiechu, lecz Wade'owi to wcale nie przeszkadzało. Pochylił głowę i całował każdy centymetr odsłanianego ciała. Wreszcie poły bluzki rozchyliły się zupełnie.

Chloe razem z nowym ubraniem kupiła sobie bieliznę, lecz po tylu latach obywatnia się bez niej nie potrafiła przekonać się do włożenia czegoś równie niewygodnego. Wade odgadł, że skoro nie nosiła stanika, to pewnie również nie miała nic pod spódnicą. Zamarł z wrażenia.

- Coś nie tak? - spytała Chloe, rzucając bluzkę na podłogę.

- Nie, wszystko w porządku - odparł dziwnie chrapliwym głosem. - Bardzo dobrze. Aż za dobrze... Będzie cud, jak nie zwariuję.

Odkrycie, że on także mocno przeżywał to, co się między nimi działo, dodało jej śmiałości. Wcześniej Chloe obawiała się, że Wade zyskuje nad nią władzę dzięki swym pieszczotom, lecz to działało w obie strony!

- I co teraz?

W odpowiedzi pochylił głowę, zatoczył czubkiem języka krąg wokół jednego stojącego sutka, potem jego usta niespiesznie powędrowały w bok po miękkiej wypukłości, przecięły wgłębienie między piersiami, powolutku odnalazły drogę na szczyt drugiego krągłego wzgórka, otoczyły drugi sutek, zaczęły go delikatnie ssać.

Chloe czuła, jak mięknie pod tym dotykiem, jak się rozplywa, jak jej wola znika bez śladu. Odniosła wrażenie, jakby żyła dla tej właśnie chwili, dlatego też przeraziła się, uświadamiając sobie nagle, że przecież mogłoby ją to ominąć, że nie zaznałaby pieszczot tego mężczyzny, tylko musiałaby znosić fizyczną bliskość Ahmada lub kogoś innego. Aż zadrżała ze zgrozy, przylgnęła mocniej do Wade'a, wsunęła palce w jego włosy, zacisnęła, jakby nie chciała go już nigdy puścić.

Tymczasem on gładził przez materiał biodro Chloe, potem jej nogę, przesuając się coraz niżej, niżej, dotknął rąbka spódnicy, włożył pod nią rękę, zaczął głaskać łydkę, posuwając się tym razem ku górze, później pieścił kolano, wreszcie udo, zmysłowo zataczając dłonią koła, coraz większe i większe, aż jego palce zaczęły muskać wrażliwą, wewnętrzną stronę uda, za każdym nawrotem trochę wyżej. Chloe nabrała powietrza i zapomniała, że trzeba je wypuścić. Jednocześnie chciała zacisnąć nogi i rozłożyć je szerzej. Rozdarta sprzecznymi impulsami, siedziała w absolutnym bezruchu.

- Czy uczyłaś się w szkole, że skóra jest jednym z narządów ciała? - spytał cicho. — Na każdym centymetrze znajdują się bardzo liczne zakończenia nerwowe, dlatego masaż sprawia taką przyjemność. Ale żadne miejsce nie jest aż tak wrażliwe... jak to.

Aż zadygotała, gdy Wade leciuteńko przytknął palce do wzgórka tuż nad miejscem, o którym mówił.

- W-wiem.

Zaczął cofać rękę, lecz Chloe chwyciła ją przez cienki materiał spódnicy i przytrzymała.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Przez kilka długich sekund żadne z nich się nie poruszyło, wreszcie Chloe uwolniła jego

dłoń z uścisku, wyciągnęła mu koszulkę ze spodni, wsunęła pod nią rękę, starannie omijając zabandażowaną ranę i zaczęła dotykać brzucha i torsu Wade'a, szeroko rozpościerając palce, by poznać naraz jak najwięcej.

Miał płaski, twardy jak deska brzuch przecięty linią lekko kręcących się włosów, wzdłuż której powiodła palcami i odkryła, że wyżej linia rozszerza się w romb, a ten kończy się prawie u nasady szyi. Odnalazła sutki, zdawały się niemal tak wrażliwe jak u niej, bo gdy zaczęła je pocierać, zareagowały podobnie, wyraźnie twardniejąc. Pochłonięta tym zajęciem mogła udawać, że nie zauważa, co dzieje się niżej, choć pod wpływem coraz bardziej intymnych pieścizot płonęły jej policzki, a serce biło szybciej.

Dłoń Wade'a podjęła swoją wędrówkę, ostrożnie badając coraz dalej i głębiej położone terytoria, cofając się, delikatnie ruszając znowu naprzód, jakby za każdym razem chciał spytać Chloe, czy można. Owa delikatność zarazem ujmowała ją i rozpałała, lecz jeszcze bardziej działała na nią świadomość, jak dalece był poruszony - wiedziała o tym, przecież trzymała rękę na jego piersi i czuła szalone bicie serca, równie mocne jak u niej. Twardość i siła Wade'a nie oznaczały więc wcale, że nikogo i niczego nie potrzebował, a ta myśl napełniła Chloe przedziwną czułością.

Pocałowała go, a potem, powodowana nagłym impulsem, przesunęła czubkiem języka po zębach Wade'a, odważyła się wtargnąć dalej, natrafiła na język, cofnęła się, ale zaraz wróciła, dotknęła znowu, i znowu, aż Wade przyłączył się do niej w tej zabawie, szybko nadając coraz bardziej zmysłowej przepychance języków kuszący rytm, który wydawał się coś obiecywać. Zachwycona narastającą intymnością Chloe coraz chętniej przyjmowała pieszczoty jego palców, aż wreszcie zaczęła dygotać z rozkoszy i nagle nie miała ochoty już niczego więcej udawać.

Ściągnęła z siebie spódnicę, pragnąc dać Wade'owi nieskrępowany dostęp do swego ciała, pomogła mu, gdy rozpinał jej sandały, gdy sam ściągał buty i spodnie, dała się zanieść na łóżko. Pod osłoną nocy w zachwycie poznawali się wzajem dotykiem, pocałunkami, czuli i uważni na reakcje drugiej osoby, pragnący odgadywać potrzeby, zaspokajać je. Porozumiewali się szeptem, westchnieniem, prawie błagalnym jękiem, powstrzymywali narastające pożądanie, by przedłużyć te chwile i sycić się sobą jak najdłużej. Wreszcie napięcie stało się nie do zniesienia.

Oboje drżeli. Wade wsparł się na ramionach nad Chloe, bez słów prosząc o pozwolenie. Nakierowała go dłonią, poczuła na swoim najczulszym miejscu gorący, twardy dotyk. Wade

nacisnął zdecydowanie, zabołało - ostro i krótko - lecz zapomniała o tym od razu, bezgranicznie oszołomiona nowym doznaniem. Miała wrażenie, że została napełniona... błogością.

Ale przecież musiało być coś więcej. Poruszyła się, unosząc nieco biodra, ponieważ potrzebowała poczuć go lepiej, mocniej, głębiej, a on odpowiedział na tę potrzebę kolejnym pchnięciem, i kolejnym, i kolejnym, aż wreszcie Chloe instynktownie zaczęła łapać to pulsujące tempo, najpierw dość wolne, potem coraz szybsze, poddawać mu się, odpowiadać na nie.

Czuła, jak się zmienia, jak jej obawy i zahamowania rozpływają się w nicość, a ona sama staje się kobietą, która ma prawo mieć potrzeby i pragnienia oraz śmiało je okazywać. Nie bojąc się już ani nie wstydząc niczego, wygięła mocniej ciało i szerzej rozchyliła kolana, w niemym, namiętnym żądaniu, by dostać więcej. Nie zniosłaby, gdyby Wade odmówił... On jednak natychmiast spełnił jej oczekiwania, zwiększając intensywność i tempo swoich wysiłków, napełniając Chloe poczuciem prawie niezziemskiej mocy. I chociaż zagrażało im śmiertelne niebezpieczeństwo, tej nocy żyli ze wszystkich sił i wspólnie odnaleźli drogę do rajy, jedynej rajy, jaki człowiek może osiągnąć na tej pełnej nieszczęść ziemi.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Obudziło ją światło poranka, sączące się przez zasłony. Otworzyła oczy, lecz nie poruszyła się, napawając się przepełniającym ją poczuciem błogości. Częściowo wynikało ono z przebywania w ładnym pokoju na wygodnym łóżku i w świeżej pościeli, ale głównym jego źródłem był mężczyzna, którego miała przy sobie. Wspaniała i budzący zaufanie.

Właściwie powinna już przywyknąć do budzenia się obok Wade'a, nie pierwszy raz jej się to zdarzało w ciągu ostatnich dni, lecz ten raz zdecydowanie różnił się od poprzednich. Wade leżał przytulony do niej, opasując ją ramieniem niczym swoją własność. Wydawało się to tak naturalne, jakby sypiali w podobnej pozycji od lat.

Przypomniała sobie wydarzenia ostatniej no-

cy, na samo wspomnienie zrobiło jej się gorąco, na ustach pojawił się uśmiech. Chociaż tu i ówdzie troszkę ją pobolewało, czuła się wspaniale - silna wewnątrz, cudownie wolna, wyzbyta wszelkich zahamowań. Wade spał jeszcze głębokim snem, czemu się wcale nie dziwiła. Należał mu się odpoczynek.

Wysunęła się z łóżka i ziewając szeroko, poszła do łazienki. Dziwnie było ujrzeć samą siebie w wielkim lustrze, tak wielkim, że odbijało prawie całą figurę. Widziała jakąś obcą kobietę - potarganą, o nabrzmiąłych od pocałunków wargach, o zaróżowionych, bo podrapanych zarostem policzkach, z oczami podkrążonymi od niewyspania. Wzrok miała błyszcząca, lecz krył się w nim pewien niepokój. Wyglądała na nasyconą, zadowoloną, a jednak nie do końca szczęśliwą.

To na pewno przez światło nad lustrem, pomyślała. To ono daje taki efekt. I przez te ostatnie wydarzenia. W ciągu ostatnich dni parokrotnie płakała z powodu śmierci Treeny, chociaż wciąż jeszcze nie do końca do niej dotarło, że jej przyrodnia siostra nie żyje. Do tego martwiła się niebezpieczeństwem grożącym członkom rodu Benedictów, w tym kobietom i dzieciom. Tak, miała dość powodów do zmartwień, więc wyraz jej oczu z całą pewnością nie miał nic, ale to nic wspólnego z tym, że od



któregoś momentu będzie musiała żyć bez Wade'a Benedicta.

Opłukała twarz chłodną wodą, sięgnęła po grzebień, starannie rozczesała włosy, które w wilgotnym powietrzu Luizjany zaczynały się kręcić. Nagle poczuła, że potrzebuje wyjść i przewietrzyć się, więc włożyła niebieski marokański kaftan, który matka Wade'a zostawiła jej w charakterze szlafroka, przeszła cicho przez pokój, nie budząc śpiącego, i wymknęła się na korytarz.

Wyszła na znajdującą się na parterze werandę z tyłu domu, gdzie ustawiono kilka małych stolików, a przy nich nie krzesła, lecz pomalowane na biało wiklinowe bujane fotele. Chloe usiadła na jednym z nich i zaczęła się niespiesznie bujać, patrząc na równiutko przystrzyżony trawnik i na staw z fontanną. Ptaki śpiewały, po najbliższym dębie harcowała wiewiórka, przeskakując z gałęzi na gałąź, od strony rezydencji dobiegał odgłos włączonego odkurzacza. Było coś miłego w tym, że dookoła toczyło się zwyczajne, codzienne życie.

Naraz usłyszała, jak ktoś gwizdże, lecz nie wiedziała, czy gwizdał dla przyjemności, gdyż melodia brzmiała przejmująco smutno, zdawała się budzić jakieś złe przeczucia. Zaintrygowana Chloe podniosła się z fotela, podeszła do balustrady, oparła o nią oburącz i wychyliła się, by

popatrzeć w kierunku, z którego dobiegała dziwna, niepokojąca melodia.

Wyłożoną płytami alejką zbliżał się mężczyzna, niósł zastawioną tacę, więc uważał, jak idzie, i podniósł głowę dopiero przy paru schodkach prowadzących na werandę.

- Dzień dobry. - Nat uśmiechnął się. - Czy uda mi się skusić panią na kawę i rogaliki?

Kawa pachniała niebiańsko, mimo to Chloe potrząsnęła głową.

- Nie mam serca pozbawiać pana śniadania.

- Ja już jadłem, zaprosiła mnie menedżer hotelu. Ponieważ i tak tutaj szedłem, zabrałem tak zwaną poranną tacę dla gości. To stara południowa tradycja.

- Obawiam się, że Wade jeszcze śpi.

- Ale pani nie - zauważył, wchodząc na stopnie. - Proszę usiąść, żebym wiedział, gdzie to postawić.

Wróciła na swój fotel, a gdy Hedley po chwili zajął miejsce w sąsiednim fotelu, uniosła różową serwetkę, która przykrywała srebrną tacę, i ujrzała podłużny półmisek pełen złocistych rogalików, maselniczkę, kompotierkę z konfiturami, trzy filiżanki oraz dzbanek z kawą. Nalała kawę do filiżanki i podała ją Natowi.

- Gwizdał pan przed chwilą taką dziwną melodię. Co to było?

- „Dom wschodzącego słońca”, pewnie mi

się skojarzyło przez bliskość Nowego Orleanu. - Kiedy odpowiedziało mu pytające spojrzenie, wyjaśnił: - To ta znana piosenka o pewnym nowoorleańskim miejscu, do którego lepiej nie trafić.

- Tak, oczywiście - odparła, uświadamiając sobie, że musi nadrobić luki w bardzo wielu dziedzinach. - Czyli pan nie jest stąd?

- Właściwie jestem zewsząd, bo ojciec służył w armii i przerzucano go z miejsca na miejsce, a nas razem z nim. Urodziłem się w Karolinie Północnej, a teraz mieszkam w Wirginii.

To jej przypomniało, jak daleko od domu ona się znajduje. I z jakiego powodu. A raczej z czyjego.

- Nic się nie działo w ciągu nocy?

- Zupełnie nic.

- Wiedziałam, że Wade będzie spał spokojnie dzięki pańskiej obecności.

Ku jej zaskoczeniu ogorzała twarz Nata poczerwieniała, jakby był zakłopotany.

- On zrobiłby to samo dla mnie. Zresztą już raz uratował mi skórę, wyciągnął mnie z samochodu parę sekund przed tym, jak walnął w niego pocisk. Mam wobec niego ogromny dług wdzięczności.

- Czyli poprosił pana o przysługę?

- Skądże! Taki facet jak on tego nie robi, to

wbrew jego naturze. Po prostu powiedział, że ma mały problem. No to przyjechałem.

- Musieliście długo razem pracować - zauważyła, sięgając po rogalika. Odłamała kawałek, włożyła do ust. Wieki całe nie jadła czegoś podobnego.

- Przez ładnych kilka lat. Nigdy nie widziałem lepszego od Wade'a, on ma szósty zmysł, jeśli chodzi o wycucie niebezpieczeństwa. Kiedy założyłem własną firmę, miałem nadzieję, że zacznie dla mnie pracować, ale on nie znosi tajnych operacji, woli grać w otwarte karty. I nie chce być odpowiedzialny za czyjeś życie.

Ściągnęła brwi.

- Ale wyprawił się z misją do Hazaristanu, żeby mnie stamtąd wydostać. Czemu to zrobił, skoro to wbrew jego naturze?

- Benedictowie nie zostawiają przyjaciół w potrzebie, a pani ojciec był bardzo dobrym przyjacielem Wade'a. W dodatku Wade to nieuleczalny romantyk. Dobro to dobro, a zło to zło, trzeba stać po stronie pierwszego i walczyć z drugim.

- Nie istnieją więc dla niego żadne odcienie szarości?

- Tego bym nie powiedział, bo jak mało kto potrafi dostrzec wszystkie aspekty danej sytuacji. On po prostu nigdy nie ucieknie się do pokrętnych argumentów, które mówią, że

można nagiąć prawo w imię wyższych racji albo że czasem trzeba dla sprawy czy idei poświęcić czyjeś życie. Dla Benedictów nie ma żadnych odstępstw od reguły, żadnych pretekstów, są tylko niezłomne zasady, które każą stać po stronie dobra. Tak też postępują i oczekują tego samego od innych.

Dolała sobie śmietanki do kawy, napiła się.

- Chyba właśnie tak powinno się postępować, prawda?

- Owszem, o ile ma się dość odwagi, bo to często oznacza konieczność wyrzekania się tego, czego człowiek by pragnął.

- Albo wystawiania na niebezpieczeństwo tego, co się kocha? - dopowiedziała, odstawiając kawę, która jeszcze przed chwilą smakowała jak nektar bogów, lecz nagle zdała się dziwnie gorzka.

- Jak rozumiem, miała pani na myśli rodzinę Wade'a?

- Nie musiałby się przecież o nich martwić, gdyby nie ja.

- Co jednak nie czyni pani winną. Pewne rzeczy po prostu się zdarzają, nie jesteśmy za nie odpowiedzialni.

Uśmiechnęła się blado.

- Doceniam pański wysiłek, ale ta pociecha niezbyt mi pomogła.

Odpowiedział uśmiechem.

- Nie dziwię się. Dziwi mnie za to, czemu Wade wciąż jeszcze tu jest. Sądziłem, że pojedzie do Turn-Coupe z samego rana.

- Wiele przeszedł w ciągu ostatnich dni.

Nie miała pojęcia, skąd ten nagły impuls, by wziąć Wade'a w obronę.

- On w ogóle wiele przeszedł - podsumował Nat i przez chwilę wpatrywał się w swoją kawę.

- Pewnie nie wspomniał pani o tym, co się wydarzyło w Arabii Saudyjskiej?

- Chodzi panu o żonę nafciarza?

Skinał głową.

- Niechcący wywinęła Wade'owi paskudny numer. Jego wewnętrzny kodeks postępowania każe mu czuć się odpowiedzialnym za wszystko, co pójdzie nie tak, praktycznie nie pozwala mu na popełnienie błędu.

- Albo na wybaczenie?

- Dokładnie. Oczywiście, jeśli mówimy o wybaczeniu samemu sobie.

Przyglądał jej się intensywnie, jakby chciał się zorientować, na ile dobrze poznała Wade'a w tak krótkim czasie i czy wie, o czym mówią.

- Naprawdę nie da się go winić za to, że tamten człowiek postanowił zabić własną żonę.

- Słusznie, tylko zdaniem Wade'a dało się przewidzieć, co się stanie i wystarczyło odczytać znaki zwiastujące nadchodzącą tragedię, by jej zapobiec. Rzecz w tym, że on nie miał

szans dostrzec takich oznak, ponieważ w jego rodzinie okrucieństwo wobec najbliższych jest nie do pomyślenia, dla Benedictów nawet kłamstwo jest już zbrodnią. Dlatego nie przyszło mu do głowy, bo nie mogło przyjść, że facet, który ma ogromne pieniądze, a do tego wszystkich prawników w kieszeni, woli raczej zabić niewierną żonę, niż zwyczajnie dać jej rozwód.

- Pańskim zdaniem Wade był naiwny?

- „Był” jest tutaj kluczowym słowem. Szybko dorósł, lecz nadal postępuje według zasad swojego prywatnego kodeksu honorowego, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi kobieta.

- Może się mylę... - zaczęła ostrożnie Chloe - ...ale ze słów Wade'a, kiedy majaczył w gorączce, wynikało, że on jakoś łączy sprawę Sylvie z tym, co zaszło między jego rodzicami.

- Tak i nie. Widzi pani, u Benedictów rozwody zdarzają się bardzo rzadko, więc kiedy już jakiś nastąpi, jest to naprawdę poważna sprawa. Ojciec Wade'a był załamany, gdy żona go zostawiła, synowie również bardzo przeżyli, że dom się rozpadł, to był dla nich wszystkich ogromny dramat. W konflikcie Wade wzięł stronę matki i ostro przemówił się z ojcem na temat przyczyn jej odejścia. I te wszystkie gniewne słowa, które wtedy padły, nie zostały zapomniane ani wybaczone.

- Przez ojca, tak?

- Przez syna również. Każdy Benedict robi się dziko uparty, gdy uważa, że to on ma rację.

Pokiwała głową.

- Rozumiem...

- Co oczywiście nie zmienia faktu, że jego ojciec był jednym z tych zacofanych, ale zadufanych w sobie ludzi, którzy zawsze wiedzą wszystko najlepiej, mają jedynie słuszne poglądy, każdemu powiedzą, co należy robić, gdzie jest miejsce kobiety i tak dalej. Wade i jego bracia nie przejęli tego po nim, to zasługa ich matki, która aż przesadzała w swojej tolerancji i otwartości, starając się zrównoważyć wściekły konserwyzm męża.

- A jednak Wade chyba musiał kochać ojca pomimo jego wad, bo inaczej nie żałowałyby tak bardzo, że nie zobaczył się z nim przed śmiercią.

Nat spojrział na nią bystro.

- Powiedział to pani?

- Nie, sama się domyśliłam z kilku wypowiedzi, które mu się wyrwały.

- Trafnie pani odgadła. Wade ma poczucie winy, bo przez kilka lat w ogóle z ojcem nie rozmawiał. Pokłócili się straszliwie, kiedy Wade nie chciał siedzieć razem z resztą rodziny w Luizjanie, tylko zobaczyć, jak wygląda świat. Potem stary Benedict zachorował na raka, syn nie pojechał do niego od razu, a kiedy zamierzał to zrobić, został postrzelony przy



próbie uratowania tej dziewczyny, no i w rezultacie nie zdążyli się już zobaczyć, pogadać i wyprostować wszystkiego. To musi Wade'a dręczyć i jak go znam, uroił sobie w tej swojej zakutej głowie, że mógł, a nawet powinien, pomóc i zakładniczce, i ojcu, ale zawiódł oboje.

Dzięki wyjaśnieniu Nata Chloe zrozumiała wreszcie, czemu Wade z taką determinacją starał się wyrwać ją z Hazaristanu - potrzebował coś sobie udowodnić i zrehabilitować się we własnych oczach. Z kolei ostatniej nocy zapewne postępował zgodnie ze swoim prywatnym kodeksem, który nakazywał spełnić prośbę kobiety. W żadnym z tych przypadków nie chodziło o nią samą.

- Oczywiście on nigdy o tym nie rozmawia, ja też nie poruszam tego tematu. Może i pani nie powinienem był tyle mówić.

- Pierwsza sensowna rzecz, jaką dziś powiedziałaś, stary - rozległ się gniewny głos za ich , plecami.

Nat zerwał się na równe nogi.

- Jezu, chłopie, nie zachodź mnie tak więcej od tyłu! Mogłem sobie zalać kawą spodnie.

- To na drugi raz pilnuj i swoich pleców, i języka - uciął z urazą Wade, po czym zwrócił się do Chloe: - Została jeszcze jakaś kawa?

Napełniła trzecią filiżankę i podała mu, ledwie odważywszy się na niego zerknąć. Jego

wzrok był chłodny, twarz nie zdradzała niczego. Nie usiadł z nimi przy stoliku, oparł się o balustradę i zaczął na stojąco popijać kawę.

- Nikt nie zamierzał wtrącać się w twoje sprawy - wyjaśnił pojednawczym tonem Nat.

- Po prostu rozmawialiśmy.

- Następnym razem znajdźcie sobie inny temat.

- Następnego razu może nie być. Chyba że pojedę za wami do Grand Point.

- A rób, co chcesz.

To był Wade, któremu lepiej nie wchodzić w drogę, takiego go jeszcze nie znała. Nie pamiętała też, by kiedykolwiek wydał jej się bardziej atrakcyjny niż tego poranka, ubrany jedynie w dżinsy, bosi i bez koszuli, z ledwie przyglądzonymi dłonią włosami, z ciemnym zarostem. W jasnym świetle wyraźnie widziała pięknie zarysowane mięśnie i opaloną skórę, odcinającą się od bieli bandaża.

- Skoro mnie tak miło zapraszasz, to pojedę. W dodatku każda pomoc ci się przyda. Sęk w tym, że nie wiadomo, kiedy tamci się zjawią.

Wade nawet na niego nie spojrzał.

- Na pewno masz swoje sprawy, nie zaniebuj ich ze względu na nas.

- Do diabła z nimi, jakoś sobie poradzę, gorzej z Maggie, ona lubi mieć mnie na oku. To moja żona - wyjaśnił, zwracając się do Chloe.

- Tak też myślałam - odparła z uśmiechem, który jednak znikł, kiedy popatrzyła na Wade'a.  
- Proszę, nie gniewaj się na twojego przyjaciela. On tylko odpowiadał na moje pytania.

- Jeśli sądzisz, że Nat nie umie zrobić uniku i wymigać się od dania odpowiedzi, to go jeszcze nie znasz. A na pewno nie znasz go na tyle, by sobie z nim ucinąć poranne pogawędkę.

Spojrzał na nią w sposób, który przypomniawszy Chloë, że pod marokańskim kaftanem nic na sobie nie miała. Wade też o tym wiedział, gdyż jej ubranie wciąż leżało porozrzucane po podłodze pokoju. Zastanawiała się, co właściwie znaczyła ta ostatnia uwaga, gdy Nat odezwał się:

- On jest zazdrosny - wyznał tak konfidencyjnym tonem, jakby Wade nie stał dwa kroki od nich. - Ale nie dziwię mu się.

- Dzięki. Na pewno twoja opinia w tej kwestii była jej niezmiernie potrzebna - skwitował kwaśno Wade.

- Do diabła, stary, wyluzuj! Wy, Benedictowie, możecie sobie myśleć, że o was rozmawiać nie wolno, ale reszta świata może mieć na ten temat inne zdanie. Wiesz, to nie zbrodnia martwić się o ciebie.

- Ale komplement też to nie jest.

- Nie wiedziałem, że jesteś taki łąsy na komplementy.

- Bo nie jestem.

- To świetnie. A teraz, jeśli przestaniesz się zachowywać jak dziesięcioletek, który ma mu- chy w nosie, bo kumpel zagrał jego kulkami, może zdołamy ustalić parę rzeczy.

Spojrzenie, jakim Wade obrzucił przyjaciela, powinno obrócić go w kupkę popiołu, ale Nat nawet nie mrugnął okiem. Naraz kąciki ust Wade'a zadrgały podejrzenie, dlatego odwrócił głowę i przeciągnął dłonią po twarzy, jakby chciał zetrzeć z niej uśmiech. Dopiero wtedy znowu na nich popatrzył.

-- Co konkretnie masz na myśli?

- Po pierwsze, potrzebuję wiedzieć, kiedy się stąd zabieracie, a po drugie, jak.

- Wyjeżdżamy, gdy tylko będziemy gotowi, czyli zaraz. Możesz nas podrzucić, skoro masz wynajęty samochód.

- Dobra. Idźcie się pakować, a ja tymczasem zadzwonię do Maggie.

- Powiedz jej, że ją zastąpię i będę miał na ciebie oko - rzekł Wade z kamiennym wyrazem twarzy.

Nat pokiwał głową.

- Powiem jej. Z całą przyjemnością. Będzie zrywać boki ze śmiechu.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Chloe prędeziej dałaby się wziąć na tortury, niż przyznała się, jak bardzo pragnie zobaczyć dom Wade'a. Chociaż skręcili już w boczną drogę, która wiła się przez gęsty las, dalej udawała zupełnie obojętną, trochę zmęczoną, a trochę nawet znudzoną, ponieważ za nic nie chciała sprawiać wrażenia osoby, która po spędzeniu wspólnej nocy żywi nadzieję na stały związek.

Kiedy lecieli do Stanów, nie uwzględniała w swoich planach ani jego, ani żadnego innego mężczyzny, gdyż zamierzała od razu nawiązać kontakt z jakąś organizacją walczącą o prawa muzułmanek, przyłączyć się do niej i kontynuować to, co starała się robić w Hazaristanie. Z tego właśnie powodu nie przewidywała dla siebie żadnego życia osobistego, gdyż tylko odciągałoby ją od wypełniania misji życiowej.

Skąd więc ten dojmujący smutek na myśl o rychłym rozstaniu z Wade'em?

Cóż, był jedynym Amerykaninem, jakiego znała, w dodatku wyłącznie on wiedział, co zostawiła za sobą, więc stanowił pomost pomiędzy dawnym życiem Chloe a niepewną przyszłością. To pewnie dlatego odnosiła wrażenie, że gdyby Wade'a zabrakło, wszystko by się rozpadło, więc czuła potrzebę, by się go rozpaczliwie trzymać. Oczywiście nie zamierzała mu się narzucać, ponieważ nie miał wobec niej żadnych zobowiązań, niezależnie od tego, co między nimi zaszło ostatniej nocy. Prośba Chloe dotyczyła nauki, Wade wyraził na to zgodę i wywiązał się ze swojego zadania, nie mogła oczekiwać niczego więcej. Owszem, wywiózł ją z Hazaristanu i chwilowo czuł się odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo, ale nigdzie nie zostało powiedziane, że powinien opiekować się nią przez resztę życia.

By o tym wszystkim nie myśleć, zapatrzyła się przez okno na umykający do tyłu las. Zdażyła już zapomnieć, jak wspaniała jest przyroda w Luizjanie, ile kolorów i kształtów cieszy oko. Na każdym wolnym skrawku kipiała zieleń, wypełniała rowy, pięła się po pniach drzew, zwieszała z konarów, splatała z roślinnością, która sięgała ku niej z ziemi i razem tworzyły bajecznie bogaty dywan. Chloe żałowała, że nie

zna nazw tych wszystkich pnączy, paproci, krzewów oraz zdumiewających, wszędobylskich kwiatów w pięknych odcieniach różu, fioletu i żółci.

Właśnie wzięli kolejny zakręt i ujrzeli, jak na drogę przed nimi wychodzi mężczyzna i staje na samym środku. Miał na sobie džinsy, panterkę i czapkę w barwach ochronnych, naciągniętą głęboko na oczy. Strzelba w jego dłoni wydawała się naturalnym przedłużeniem ręki.

- O, chyba trafiliśmy na wartownika - zauważył Nat, wciskając hamulec.

- To mój kuzyn Luke. Wspominałem ci o nim.

- Wygląda na takiego, który wie, co robi.

Chloe ujrzała wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, uderzająco podobnego do Wade'a, z łatwością mogliby uchodzić za rodzonych braci. Kiedy samochód zatrzymał się, obaj przyjaciele otworzyli okna, a Wade zawołał:

- Cześć, kuzynie! Czemu akurat ty trafiłeś na ten posterunek?

- Bo miałem szczęście. Inaczej zabijałbym okna deskami albo nosił skrzynki z zapasami jedzenia. - Podeszedł bliżej, skinął głową Narowi, schylił się, by zajrzeć do środka wozu. Gdy spostrzegł Chloe, jego dłoń od razu poleciała do góry, palce z szacunkiem dotknęły daszka czapki. - Dzień dobry.

- Czy już wszyscy się zebrali? - spytał Wade.

- Tak, czekamy tylko na was.

- Co robi Kane?

- Wziął na siebie całą logistykę. On i Regina odpowiadają za najbardziej podstawowe rzeczy, czyli żywność, wodę, amunicję i pieluszki.

- A Roan?

- Stawia na nogi całą policję stanową, żeby miała oko na tych drani.

- Moi bracia?

- Clay i Adam dotarli wczoraj z waszą mamą. Clay przygotował łodzie, gdyby w razie czego trzeba było uciekać wodą. Dałby radę przetransportować całą armię, a nie tylko jedną rodzinę. Adam pilnuje dostępu do domu od strony jeziora. Ciocia na szczęście wzięła się za gotowanie.

Luke mówił to wszystko dość beztróskim tonem, lecz nikt nie dał się nabrać, włącznie z Chloe, która go nie znała. Mógł sobie udawać nonszalancję, lecz w rzeczywistości był śmiertelnie poważny.

- A pozostali?

- Wypełniają rozkazy jak karni żołnierze, czekając na przybycie głównodowodzącego. Czyli twoje, kuzynie - dokończył i mrugnął wesoło do Chloe, zauważając jej spojrzenie.

- Daj spokój - zachnął się Wade.



- Hej, a kto ma zarządzać operacją? To przecież twój dom, w dodatku byłeś komandosem.

- Nie, byłem agentem ochrony korpusu dyplomatycznego.

- Na jedno wychodzi.

Wade nie miał ochoty się sprzeczać.

- Nie wspomniałeś o April. Wróciła bez przeszkód z tego swojego cyklu spotkań autorskich? Jest tutaj?

- Tak, dzięki Bogu - odparł tym razem bez śladu nonszalancji w głosie. - Goni ją termin złożenia książki, więc zaszyła się w sypialni na poddaszu i próbuje w środku tego całego obłądu napisać scenę miłosną. Od czasu do czasu staram się w miarę moich skromnych możliwości dostarczyć jej inspiracji, lecz nie jest to takie łatwe, gdy wokół kręci się dobrych pięćdziesiąt, jeśli nie sześćdziesiąt osób.

- Na pewno jakoś dajesz sobie radę - rzucił z lekką kpina Wade.

Luke uniósł brwi.

- Jakoś? Gdybyś kiedyś potrzebował lekcji, chłoptasiu, to wiesz, do kogo się zgłosić.

- Już widzę, jak się zgłoszę...

- Tak też myślałem.

- Słuchaj, nie mówiłeś poważnie o tych pięćdziesięciu osobach, co?

- Jak najpoważniej. Ludzie wyroili się ze-

wsząd, kiedy się dowiedzieli, że ktoś próbował wyciąć ci wątrobę bez znieczulenia.

- Aż tak źle nie było - zaprotestował Wade.

- Bardzo mnie to cieszy. Ale cały klan zagotował się ze złości, słysząc o jakimś maniacu, który chce się z nami porachować.

- Mówiąc wprost, chłopaki nie przepuszczą okazji, skoro szykuje się bitka.

- Ba, pewnie.

Chloe odniosła wrażenie, że ten niefrasobliwy sposób mówienia pomagał kuzynom ukryć uczucia, ale zdradzał ich sam stopień tej poufalej zażyłości, która dopuszczała przyjazne kpiny. A nade wszystko zdradzał ich wyraz oczu.

- Dobra, dość tej gadki. Ja zostaję na posterunku... - Luke udał, że saltuje służbiście - ...a wy już lepiej jedźcie. Zobaczymy się później.

- Uważaj na siebie. Ale naprawdę uważaj - rzekł z naciskiem Wade.

- Załatwione. A wy nie zjedzcie całego pudingu, który zrobiła ciocia. Zwłaszcza tego z rodzynkami moczonymi w rumie i polanego sosem z whisky.

Wade skinął głową, Nat ruszył z miejsca. Gdy po chwili Chloe obejrzała się, nie dostrzegła ani śladu Luke'a, wtopił się w bujną zieleń tak idealnie, jakby go w ogóle nie było.

Za kolejnym zakrętem wyłonił się przed nimi imponujący dom - nie tak wielki i wspaniały jak

Nottoway, lecz pełen charakteru. O jego wieku świadczyły liczne części dobudowane w różnych epokach, każda w innym stylu. Najstarszą wieńczył tradycyjny taras na dachu, otoczony balustradą. Aktualnie dom nie prezentował się najlepiej, gdyż miał okna zabite wielkimi płytami sklejki, a drzwi zabarykadowane workami z piaskiem. Gazon od frontu służył jako parking, na którym stały wozy osobowe, terenówki i samochody kempingowe chyba wszelkich możliwych marek, z kolei za otaczającą dach galerijką tkwili wartownicy, zaś inni uzbrojeni mężczyźni czuwali nad brzegiem jeziora oraz na skraju lasu, który otaczał dom ze wszystkich stron. Grand Point przypominało obóz wojskowy.

Jednocześnie dzieci grały w piłkę na trawie przy niewielkim wzniesieniu, które mogło być owym fortem z opowieści Wade'a. Nieopodal grupka kobiet obierała ziemniaki i wrzucała je do kotłów ustawionych na kilku kuchenkach turystycznych, nad którymi czuwało dwóch starszych mężczyzn. Kilku innych grało w domino na karcianym stoliku, widać musiał się kiwać, gdyż jedną z jego nóg podparto cegłą. Pranie powiewało na rozciągniętej między drzewami linie, w cieniu leżało parę psów, ziając z wywieszonymi ozorami. Jeśli panował tu strach, to został doskonale ukryty.

Kiedy Nat zatrzymał samochód przy domu, psy poderwały się z ujadaniem i skoczyły w jego stronę, jakiś nastolatek grający z młodszą od niego dziewczynką w bejsbol zawołał je ostro, ucichły wtedy i spuściły ogony, lecz mimo to otoczyły samochód. Wade wysiadł, otworzył drzwi od strony Chloe.

- Nie bój się ich, to psy Roana, zupełnie niegroźne, dopóki ich nie poszczuje.

- Nie boję się.

Pogłaskała po kształtnych łbach sześć czy siedem psów, które zbliżyły się do niej, gdyż nie czuła się na siłach, by podnieść wzrok i napotkać zaciekawione spojrzenia Benedictów, którzy obrócili się ku nim. Wade zerknął na nią, po czym skinął na owego chłopca i jego towarzyszkę.

- Chloe, Nat, to jest Jake, syn Roana, a ta wspaniała zawodniczka, przyszła gwiazda bejsbolu, to Lainey, córka Janny. Janna od roku jest żoną Claya.

Chloe uśmiechnęła się na powitanie, zastanawiając się jednocześnie, czy Wade celowo zawołał tych dwoje, bo zrozumiał, że łatwiej będzie jej zacząć od dzieci, czy to tylko zwykły przypadek. Chłopiec okazał się Benedictem w każdym calu - był przystojny, pewny siebie, patrzył prosto w oczy. Drobna i śliczna dziewczynka nie miała aż takiej śmiałości, za to każdy mógłby jej pozazdrościć pięknego uśmiechu. To

ona przeszła operację przeszczepienia nerki, przypomniawszy sobie Chloe.

- A to Pop Benedict. - Wade wskazał na starszego mężczyznę, który niespiesznie podszedł do samochodu. - Ojciec Roana, czyli dziadek Jake'a.

Podawała mu rękę.

- Witaj, Chloe, miło cię widzieć. Pamiętam cię jako małą dziewczynkę ze zdjęć, które pokazywał twój tata. Chodziłem razem z nim na ryby. - Przeniósł spojrzenie na Wade'a. - Jak chcesz porozmawiać z Roanem, to jest w domu, wydzwania po swoich i nie swoich ludziach, słuchawka chyba już mu przyrosła do ucha. Clay gdzieś się kręci w okolicy, wiem, bo zdybałem go z Janną w spiżarni, podobno szukali tam jakiejś marynaty na piknik. Akurat.

- Mama teraz kroi cebulę do gulaszu, wujku Wade - wtrąciła Lainey cienkim głosem.  
- I wcale nie płacze! - dodała z dumą.

Wade czule potargał jej włosy.

- Bo mama jest dzielna. Ty też. Ale nie graj z. Jakim za ostro, musisz dawać mu fory, bo on jeszcze nie umie tyle, co ty. - Ponad jej głową posłał stryjecznemu bratankowi znaczące spojrzenie.

Chłopiec zrozumiał w mig, gdyż spoważniał i skinał głową.

- Pewnie, my w ogóle nie będziemy szaleć,

bo przez to zgłódniejemy, a tu już i tak człowiekowi kiszki się skręcają od tych wszystkich zapachów!

Wade uśmiechnął się z aprobatą, a potem poprowadził Chloe w kierunku tylnego wejścia. Idąc, zastanawiała się nad sceną, której właśnie była świadkiem. Wade przypomniał Jake'owi, że ten musi bardzo uważać, gdyż Lainey nie jest w pełni sprawna, przy czym zrobił to w niezwykle taktowny sposób, ani nie raniąc dumy dziewczynki, ani nie czyniąc wyrzutów chłopcu - przeciwnie, zdołał pochwalić jedno i drugie, jedno za umiejętności w grze, drugie za dojrzałość. To najlepszy sposób wpajania dobrych zasad i liczenia się z potrzebami innych, pomyślała. Żadnych umoralniających kazań, żadnego wydawania rozkazów, lecz danie przykładu i umiejętne sformułowanie zalecenia. Wade także wobec dzieci postępował elegancko jak dżentelmen.

Pytanie, do jakiego stopnia kierował się względami dla innych. A jeśli zgodził się spędzić *noc* z Chloe *tylko po to, by nie zranić* jej odmową? Jeśli zupełnie go nie pociągała?

Weszli do salonu, wygodnego i bezpretensjonalnego, urządzonego meblami, które musiały sobie liczyć ponad dwieście lat. W tym momencie stał pusty, za to liczne głosy dobiegały ze znajdującej się dalej kuchni. Chloe

ujrzała wielkie, biało-niebieskie pomieszczenie z wysokimi oknami, które w normalnych warunkach musiały wpuszczać bardzo dużo światła. W tym jednak momencie paliły się lampy, odbijając się w nierdzewnej stali wyposażenia, którego nie powstydziałaby się niejedna restauracja. Do ogromnej lodówki wchodziło się jak do spiżarni, potężny blat oferował dość miejsca do pracy dla pięciu krzątających się kobiet.

Ożywiona rozmowa ucichła jak nożem uciał, cztery młode kobiety odwróciły się jednocześnie, jakby tworzyły doskonale zgrany zespół, ich wzrok spoczął na wchodzących. Każda z nich była inna, każda atrakcyjna, każda miała klasę, przez co sprawiały na Chloe dość onieśmielające wrażenie.

Pomyślała, że te żony braci i najbliższych kuzynów Wade'a wyznaczały pewien wzorzec, z którym on niechybnie będzie porównywał - choćby i nieświadomie - każdą kobietę, która pojawi się w jego życiu. Ona sama nie miała żadnych szans w zestawieniu z tą wyjątkową czwórką, choćby nie wiadomo jak się starała. Oczywiście wcale nie zamierzała się starać, ale świadomość, że znajduje się poniżej ich poziomu, wcale nie poprawiła jej humoru.

Na koniec obróciła się ku nim piąta z gospodyń, mama Wade'a, która mieszkała w wielkim kotle jakąś smakowicie pachnącą potrawę

i z szerokim uśmiechem wesoło pomachała im drewnianą chochlą, wyraźnie uszczęśliwiona ich widokiem. Jedna z młodych kobiet, ciężarna wysoka blondynka z długim warkoczem przerzuconym przez ramię, wytarła dłonie w kuchenną ściereczkę i podeszła, by się przywitać. Wade uściskał ją, a potem, lekko obejmując ramieniem, przedstawił jako żonę Claya.

Janna odezwała się do Chloe uprzejmie, lecz zdawała się zachowywać dystans. Po chwili znowu zwróciła się do szwagra, ostrożnie przesuwając dłonią po bandażu, który miał pod koszulą:

- Co z tobą? Clay mówi, że odniosłeś pas-kudną ranę.

- To nic takiego. Przeżyję, obiecuję. - Popatrzył na szwagierkę z czułością. - Jak się miewa mały Clay?

- On? Znakomicie - odparła, krzywiąc się wymownie. - Ja też poczuję się równie dobrze, ale dopiero za trzy i pół miesiąca.

Wade uśmiechnął się, przedstawił szwagierkom Nata Hedleya, a potem kolejno przedstawił gościom pozostałe trzy panie. Chloe zapamiętała, że ta o najbardziej oryginalnej urodzie to Lara, jasnowidząca żona Adama, ruda o delikatnych piegach to Regina, żona Kane'a, a ta z niezwykle lśniącymi ciemnymi włosami to żona szeryfa Roana, Tory. Brakowało April,



widać dalej ślęczała nad swoją powieścią. Wszystkie odezwały się do Chloe uprzejmie, wszystkie się uśmiechnęły, a jednak w ich oczach czaiła się rezerwa. Zapewne wołałyby, żeby nigdy nie przyjechała, ponieważ jej obecność narażała je same oraz ich najbliższych na niebezpieczeństwo. Nie dziwiła się temu ani nie miała o to żalu, niemniej zabolą ją to wyraźne trzymanie dystansu.

Zapadło niezręczne milczenie. Mama Wade'a właśnie otwierała usta, by coś powiedzieć, gdy drugimi drzwiami do kuchni wszedł Clay.

- Hej, ty, ręce precz od mojej żony! - zażądał z udawanym gniewem, natychmiast kierując się w stronę brata i żony. - Czekaj, w zamian ja uściskam Chloe. - Porwał ją w ramiona i obdarzył braterskim uściskiem, ale puścił szybko, więc nawet nie zdążyła się zaczerwienić.

- Hola, hola! - Janna uwolniła się z objęć Wade'a i groźnie ruszyła na męża. - Za coś takiego mogę ci to i owo przetrącić.

- Spróbuj. - Chwycił żonę i przytulił, mocno, lecz zarazem ostrożnie. - Uwielbiam agresywne kobiety...

- Poczekaj no tylko, jak ten mały przyjdzie na świat. Już ja ci wtedy pokażę - rzekła, zaglądając mężowi głęboko w oczy.

- Obiecanki-cacanki!

Chloe nie wiedziała, co myśleć o tak otwar-

tym mówieniu o intymnych sprawach i publicznym okazywaniu uczuć, ta sytuacja wprawiała ją w zakłopotanie, a jednocześnie zafascynowała. Poza nią nikt nie wydawał się niczemu dziwić. Wade zrobił minę do brata, ich matka uśmiechnęła się ze zrozumieniem, Tory i Regina wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- No dobra, niech ja się wreszcie dowiem, kto wpadł na pomysł, żeby wykorzystać sytuację i zrobić z tego wielki zjazd rodzinny? - spytał Wade.

- Ja - odparła spokojnie mama. - A co? Coś ci nie pasuje?

- Trudno ochronić tyle osób naraz. Jeśli coś pójdzie nie tak, przerzucenie wszystkich w bezpieczniejsze miejsce zabierze dużo czasu.

- Po pierwsze wystawiliśmy strażę, po drugie zawsze lepiej trzymać się razem, po trzecie w ten sposób zaoszczędzimy dzieciom stresu. Po co mają się niepotrzebnie bać?

- Stary, to jest naprawdę dobry plan, chociaż nie ty go wymyśliłeś - poparł matkę Clay.

- Każdy wie, co ma robić w razie zagrożenia - wtrąciła Janna, starając się złagodzić wymowę słów męża, które mogły zabrzmieć trochę jak przytyk. - Dzieci myślą, że to taka zabawa.

Wade po namyśle skinął głową, lecz nie wyglądał na przekonanego.

- Jak już się rozgościsz, to chodź obejrzeć

mojego nowego dżipa - zaproponował Clay.  
- Sprzedałem tamtą terenówkę, już z niej wyrosłem. A kiedy będziesz oglądał i zazdrościł;; opowiem ci dokładnie, jak to tutaj wszystko zorganizowaliśmy.

- Nat też ma parę rzeczy do opowiedzenia.

Słyszając ponury ton głosu Wade'a, Chloe; domyśliła się, że chodzi o przekazanie informacji o przylocie Ahmada, który został - być może celowo - wpuszczony do kraju. Wolała nie myśleć, jaką reakcję to wywoła. Nawet jeśli do tej pory się nie bali...

- Najpierw trzeba wszystkich nakarmić - zarządziła stanowczo mama. - Wade, zaprowadź Chloe do jej pokoju. Clay, bądź tak dobry i zanieś ten rondel z rybami do naszej kuchni polowej. Kto tam nadzoruje gotowanie?

- Pop.

- Bardzo dobrze, przynajmniej raz się czymś zajmie.

- On najchętniej zająłby się tobą - odparł jej najmłodszy syn z szelmowskim błyskiem w oku.

- Już ja mu dam!

- Wiesz, to można różnie rozumieć...

- Wynocha! - rozkazała, władczym gestem wskazując chochlą drzwi.

- Tędy - rzekł tymczasem Wade do Chloe, wyprowadzając ją z powrotem do salonu. - Chodź, zanim tu dojdzie do jakichś brutalnych scen.

Opuścili środkową, najstarszą część domu i weszli do prawego skrzydła, pochodzącego z epoki wiktoriańskiej. Ściany wyłożono drewnem, meble były ciemne i ciężkie, na zagłówkach i podłokietnikach leżały typowe dla tamtego okresu ozdobne serwetki chroniące obicia przed zabrudzeniem pomadą. Na górę prowadziła ozdobna klatka schodowa, kręcone dębowe schody oświetlały dawne gazowe lampy, przerebione na elektryczne, ich łagodny blask odbijał się od witraży w oknach zabitych deskami jak wszystkie pozostałe.

- Czy ty i twoi bracia mieszkacie tu razem? - spytała Chloe, gdy wspinali się na piętro.

- Nie, tylko Clay z Janną są tu na stałe, urządzili się w lewym skrzydle, najnowszym, dobudowanym przed wojną secesyjną. Adam i Lara osiedlili się w Nowym Orleanie, a mnie wiecznie nie ma. Kiedyś wszyscy Benedictowie żyli razem, więc dom stopniowo powiększano. Odziedziczyliśmy go we trzech, jest dla nas dużo za duży, ale nie chcemy go sprzedać. Adam zaklepał sobie środkową część, bo jest najstarszy, więc prawe skrzydło przypadło mnie. Ale i tak tu nie siedzę.

„— Myślisz, że kiedyś tu wrócisz na dobre?

- Kto wie?

Brzmiało to jak unik, ale też Chloe nie miała

pojęcia, jakiej odpowiedzi właściwie się spodziewała. Ani czemu zadała to pytanie.

Weszli na piętro, przed nimi ciągnął się długi korytarz, wyłożony paśowym chodnikiem w stylizowane złote róże. Wade otworzył pierwsze drzwi po lewej, zapalił światło, a wtedy Chloe ujrzała przestronny, wysoki pokój z meblami obitymi drukowanym w kwiatowe wzory perkalem. Na samym środku pyszniło się ciężkie dębowe łóże. Toaletka, również dębowa, miała blat z marmuru, na nim stała porcelanowa miska i dzbanek.

- Tam jest łazienka. - Wade wskazał na białe drzwi w głębi sypialni. - Zapewniam, że bardziej nowoczesna, niż może sugerować wygląd tego wnętrza. Aha, ja mieszkam przez ścianę. Zaraz przyniosę z samochodu twoje rzeczy. Gdybyś miała ochotę, korzystaj swobodnie z tego, co znajduje się w szafie, nie krępuj się. Kiedy będziesz gotowa, zjedź na dół, ale nie musisz, jeśli na przykład wolisz odpocząć.

Te uprzejme uwagi wydały jej się chłodne i oficjalne, jakby Wade chciał podkreślić, że Chloe jest gościem, że nie należy do rodziny. Mówił też jeszcze coś - nie planował dzielić z nią pokoju ani łóżka.

- Dziękuję - odparła równie powściągliwym tonem, uznając to za najlepsze wyjście z sytuacji. - Rozumiem.

Przyglądał jej się przez chwilę, wydawał się rozważać, czy czegoś nie dodać, ale zrezygnował, skinął głową i odwrócił się do drzwi.

- Wade?

Zatrzymał się z dłonią na klamce, obejrzał się, na jego twarzy malowała się rezerwa. Chyba nie był pewien, czy spodoba mu się to, co usłyszy.

- Bardzo mi przykro z powodu tylu kłopotów, tego zamieszania, niebezpieczeństwa i... i w ogóle. Nie miałam pojęcia, jak dużą masz rodzinę, ile osób to dotknie. Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Szkoda...

- Już przerabialiśmy ten temat - stwierdził spokojnie.

- Tak, ale gdyby nie ja, to wszystko nie miałyby miejsca.

- To wszystko nie miałyby miejsca, gdyby ludzie postępowali rozsądnie i odpowiedzialnie, gdyby potrafili sobie radzić ze swoim życiem, nie szukając ofiary, na którą mogą rzucić winę za swoje prawdziwe lub urojone krzywdy, ani też nie szukając na siłę wroga, którego mogą nienawidzić, a przede wszystkim czuć się od niego lepsi. Ty nikomu nie zrobiłaś nic złego i nikomu nie zagrażasz. Pozwól więc, że powtórzę jeszcze raz: nie jesteś niczemu winna.

Słuchała go jednym uchem.

- Gdybym mogła porozmawiać z Ahmadem,

zapropnować mu pieniądze, które zostawił mi ojciec...

- Nie - uciał zdecydowanie, nie zamierzając wdawać się w żadne dyskusje na ten temat. - Na to już o wiele za późno. Teraz jemu zależy nie na twoich pieniądzech, lecz na twojej śmierci. Musi cię zabić i dobrze o tym wiesz.

- A jeśli zabije kogoś z twoich krewnych? Czyjaś żonę lub dziecko? Jak mogłabym z tym żyć?

- Musiałby najpierw wymordować wszystkich mężczyzn z rodziny.

- I to ma mnie pocieszyć?

- Ja tylko stwierdzam fakt.

- Wade, ja naprawdę nie mogę znieść myśli, że komuś mogłoby się coś stać. - Odwróciła się od niego, miała ochotę ukryć twarz w dłoniach.

- Nie powinnam była nigdy z tobą rozmawiać, nie powinnam była cię słuchać, nie powinnam była z tobą uciekać, a już na pewno nie powinnam była... prosić cię o to, o co poprosiłam wczoraj wieczorem. Żałuję, ogromnie żałuję, że to wszystko się stało.

Przez kilka długich chwil panowała cisza, po czym padło dobitne:

- A ja nie.

Obróciła się gwałtownie, lecz ujrzała tylko zamykające się drzwi.

Stała długo bez ruchu, patrząc niewidzącym

wzrokiem na róże i ozdobne wstęgi na tapecie. Czy Wade w ogóle zdawał sobie sprawę z tego, kim są wrogowie jego rodziny? Czy wiedział, że to zaciekli, brutalni bojownicy, zahartowani w wieloletnich partyzanckich walkach? Czy inni Benedictowie zdawali sobie z tego sprawę?

Nie miała pewności, czy ich odwaga nie wynikała z nadmiernego poczucia bezpieczeństwa, przecież przez całe dziesięciolecia nikt im nie zagrażał, w tym kraju od dawien dawna nie toczyły się zbrojne walki, więc nie rozumieli, co ich czeka. Zamiast ukryć gdzieś kobiety i dzieci, a potem naprawdę zmienić Grand Point w fortecę, a nie tylko w jej namiastkę, urządzili sobie zjazd rodzinny z piknikiem! I oni chcieli stawić czoła ludziom, dla których zabijanie stanowiło nie tylko chleb powszedni, ale i bilet wstępu do rajów?

Przypomniała sobie sceny przy domu i w kuchni. Żony Benedictów powinny umierać ze strachu o siebie i swoje dzieci, tymczasem one zachowywały się tak spokojnie, jakby pokładały bezgraniczną wiarę w swoich mężczyznach i ich zdolności do ochrony najbliższych. Ta ufność emanowała z ich oczu, uśmiechów, wszystkich gestów.

Ale to się wkrótce zmieni. W ślad za Chloe podążali bezwzględni fanatycy, którzy gardzili kobietami i mieli za nic życie dzieci. Prędzej czy



później zjawią się tu z bronią, z karabinami, z granatami i niewiadomo, czym jeszcze. A wtedy kobiety Benedictów rozumieją, czym jest dławiący strach, z ich oczu na zawsze zniknie ta cudowna ufność, już nigdy nie będą się czuły równie swobodnie, już nie będą umiały dalej żyć, jak do tej pory. Ahmad zdoła coś w nich zabić, nawet jeśli nie ucierpią fizycznie.

Nie, nie zniesie tego. Musi temu zapobiec, musi znaleźć sposób.

Przy całym swoim fanatyzmie Ahmad był człowiekiem myślącym pragmatycznie, zaś jego święty honor nie przeszkadzał mu w szukaniu własnych korzyści. W dodatku Hazarowie postrzegali zmienianie planów, porzucanie sprzymierzeńców, a nawet przechodzenie na stronę dotychczasowego wroga jako decyzje świadczące o mądrości życiowej, bo przecież dobrze, gdy człowiek zręcznie reaguje na zmienne koleje losu i potrafi każdą sytuację, nawet niesprzyjającą przekuć na sukces. Gdyby więc udało się przekonać Ahmada, że wyrzekając się zemsty na Benedictach, skorzysta materialnie, może zostawi ich w spokoju. Ten pomysł miał niewielkie szanse powodzenia, lecz Chloe wolała zaryzykować, niż stać się przyczyną cierpienia rodziny, którą ujrzała tego poranka.

Oczywiście bardzo się bała, wcale nie chciała umierać. Z drugiej jednak strony nie potrafiła

żyć ze świadomością, że przez nią musi umrzeć ktoś inny.

Zacisnęła powieki i powtórzyła ledwie dosłyszalnie:

- Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ledwie Wade i Adam wyłonili się z lasu, dokąd poszli sprawdzić, czy prowadząca do jeziora boczna droga jest dostatecznie chroniona, ujrzeni zmierzającą w ich kierunku Larę. Nawet nie zdziwili się, skąd wiedziała, gdzie ich szukać, ponieważ posiadała szósty zmysł, kiedy chodziło o jej męża i zawsze wyczuwała, gdzie on się znajduje w danym momencie. Adam co prawda czasem żalił się w żartach, że nie może mieć przed nią żadnych sekretów, ale w wielu sytuacjach niezwykła intuicja Lary stanowiła poważną zaletę.

Ku zaskoczeniu Wade'a szwagierka nie zwróciła się do swego męża, tylko do niego. W jej oczach dostrzegł współczucie.

- Chloe wyjechała. Co najmniej godzinę temu.

Serce stanęło mu na całą sekundę, a potem zaczęło bić dwa razy szybciej.

- Jak? Czemu?

- Ukryła się na tylnej pace pikapu Johnie Hopewell, zdawało mi się, że dostrzegłam ją pod plandeką. Johnie pilnie wezwano do szpitala, jakaś pacjentka zaczęła rodzić przed terminem. A czemu Chloe wyjechała? Chyba ty powinie-  
neś to wiedzieć najlepiej.

- Luke nie próbował jej zatrzymać?

- Nie sprawdza samochodów, które wyjeżdżają z Grand Point, bo jego zadaniem jest nie dopuszczać tu obcych, a nie kontrolować swoich. Kto zresztą mógł przypuszczać, że ona chce stąd odejść?

- Ja powinienem był to odgadnąć - odparł ponuro Wade. Przewidziałby, co się święci, gdyby uważnie wysłuchał tego, co Chloe próbowała mu powiedzieć, zamiast przerwać jej, ponieważ nie potrafił znieść, że ona żałuje tego, co zrobili.

- Ale dokąd miałyby jechać? - Adam pytająco spojrział na żonę, ufając jej niezwykłej intuicji.

- Ona czegoś szuka - odparła Lara. - Albo kogoś.

- Swojego przyrodniego brata, chociaż nie wiem, jak zamierza go znaleźć. - Wade wątpił, by Chloe mogła jakimś cudem dotrzeć do

Ahmada, niemniej modlił się w duchu o niepowodzenie jej planu, jakkolwiek był.

Adam ściągnął brwi.

- Nie myślisz chyba, że ona działa w zмовie z nim? Że przyjechała sprawdzić ukształtowanie terenu i rozmieszczenie posterunków, a teraz wróciła zdać raport?

Wade wściekł się.

- Co ty bredzisz?!

- Do licha, stary, to tylko sugestia. Owszem, Chloe jest Amerykanką, ale wyjechała stąd jako dziecko. Mogli jej zrobić niezłe pranie mózgu.

- Nie, jej nie da się zrobić prania mózgu. Wyjaśnienie jest zupełnie inne, otóż Chloe obwinia się o to, co się dzieje i jest przerażona myślą, że przez nią dojdzie do masakry.

- Jak na kogoś, kto ją dopiero co spotkał, rozumiesz ją bardzo dobrze - zauważyła Lara.

Wade wzruszył ramionami.

- Dużo razem przeszliśmy.

- Rozumiem.

Można było się domyślić, że Lara zobaczy więcej niż ktokolwiek inny, ale Wade nie zamierzał pytać, ile dostrzegła i co zrozumiała.

- I co teraz? - spytał Adam.

- Jadę za nią.

- Ale dokąd?

Istniała jedna nadzieja, jedna jedyna szansa...

- Pożycz mi swoją komórkę, chwilowo zostałem bez telefonu.

Brat bez słowa dał mu swój telefon, Wade wybrał numer.

- No, nareszcie - fuknął Nat. - Czemu to tyle trwało?

- Byłem zajęty. Masz ją?

- Śledzę ją od godziny. Na drugi raz bądź pod telefonem, zanim wyślesz mnie w pościg.

- Mogłeś po mnie wrócić.

- I co? Zgubić Chloe?

- No to trzeba było zatrzymać ją w jakimś miejscu i zadzwonić do domu.

- Ma być traktowana jak więzień? Tego chcesz?

Nie, tego absolutnie nie chciał. Po tym, przez co przeszła, nie mógłby Chloe do niczego zmusić, nawet dla jej własnego dobra. Nat postąpił słusznie, ograniczając się do samej ochrony bez naruszania wolności Chloe. Oby tylko nie musiała drogo zapłacić za tę swobodę! Wade'a zaczęło coś dławić w gardle, przełknął z trudem.

- Gdzie ona jest? Co robi?

- Wysiadła z pikapu, kiedy kierująca nim kobieta podjechała pod szpital w Turn-Coupe i weszła do środka. Chloe zawróciła do centrum. Co robi? Właściwie nic specjalnego.

- Nie próbuje szukać Ahmada?

- Nie. Spaceruje dookoła ratusza, zaglądając

do sklepów. Wygląda, jakby wybrała się na zakupy.

- Nie ma przy sobie dość pieniędzy.

- W takim razie albo ogląda różne rzeczy z ciekawości, albo próbuje wystawić się na wabia.

Wade zacisnął powieki. Tak, ta strategia miała pewien sens. Ahmad mógł rozpocząć namierzanie ich od przyjazdu do rodzinnego miasta Benedictów. Jeśli zobaczy swoją znienawidzoną przyrodnią siostrę spacerującą po rynku...

- Co się dzieje? - spytał z niepokojem Adam, ale młodszy brat w ogóle nie zwracał na niego uwagi.

- Będę za piętnaście minut. Nie spuszczaaj Chloe z oka. Nie pozwól, żeby cokolwiek jej się stało. Dzwon pod ten numer, gdyby coś się zmieniło.

- Jechać z tobą? - spytał Adam, ledwie brat zakończył rozmowę. - Potrzebujesz obstawy?

Wade zastanawiał się przez chwilę intensywnie, po czym potrzęsnał głową.

- Lepiej zostań, jesteś potrzebny tutaj. Ahmad mógł się już dowiedzieć, gdzie mieszkamy.

- A jeśli nie wie i kręci się po mieście?

- Poradzę sobie. Ale jak chcesz, daj cynk Roanowi, niech uprzedzi swoich ludzi, że ewentualnie coś się szykuje.

W tym momencie odezwała się Lara:

- Chloe robi to dla ciebie i dla nas wszystkich. Rozumiesz?

- Owszem, tylko czym to się skończy? Pewnie zamierza oddać temu draniowi spadek po tacie, żeby zostawił nas w spokoju, ale co będzie, jeśli Ahmad chce nie tylko pieniędzy, ale i jej samej? - Nie dodał już, że tamtym nie kieruje żądza fizyczna, a przynajmniej nie wyłącznie. Gdyby już zaspokoił swoje apetyty, zabiłby Chloe równie łatwo, jak brutalny głupiec rozdeptuje motyla.

- Wiedziała, czym ryzykuje.

Wade nie odpowiedział, gdyż głos go zawiódł. Tym czymś, co dławilo go w gardle, był paniczny strach.

Nowy dziup Clay'a pokonał w rekordowym tempie dziesięć mil dzielące Grand Point od Turn-Coupe. W mieście Wade zwolnił i uważnie lustrował wzrokiem otoczenie, ale nigdzie nie dostrzegł zielonego samochodu, który poprzedniego dnia ścigał ich spod lotniska. Zaparkował pod ratuszem, rozejrzał się dookoła. Cisza, spokój, praktycznie żywej duszy z wyjątkiem dwóch kobiet wchodzących do salonu kosmetycznego i czarnego kota myjącego się w oknie wystawowym sklepu z pamiątkami „Magnolia”. Wynajęty wóz Nata stał nieopodal pod składem nasion i pasz, lecz przyjaciela nie było w pobliżu.



Wade nie znalazł Chloe ani w sklepie z damską odzieżą, ani w sklepie z butami, ani w kwiatarni. W pierwszym z nich ekspedientka potwierdziła, że zjawiała się u nich klientka pasująca do opisu Wade'a, ale pokręciła się tylko, nic nie kupiła i wyszła. Kiedy znalazł się z powrotem na rynku, znowu powiódł wzrokiem dookoła, ale nadal nie zauważył ani śladu tych dwojga, których szukał. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy Adama, lecz zawahał się i stał tak, ważąc go w dłoni. Nie wiedział, czy powinien dzwonić do Nata, przyjaciel mógł znajdować się w sytuacji, w której bezpieczniej było nie ścierać na niego uwagi.

Ta niewiedza i to czekanie doprowadzały Wade'a do szału. Potrzebował coś zrobić, najlepiej natychmiast. A kiedy już znowu dorwie Chloe Madison, porozmawiają poważnie. Był za nią odpowiedzialny, ale jeśli miał jej zapewnić bezpieczeństwo, musiała z nim choć trochę współpracować.

Znowu przypomniał sobie ze zgrozą, jak Treena zginęła z ręki Ahmada. Śmierć kobiety wydawała się straszniejsza niż śmierć mężczyzny, zresztą nie tylko jemu. Ludzie, którzy brali udział w niebezpiecznych operacjach militarnych, w walkach, zazwyczaj woleli nie mieć wśród siebie kobiet. One nie były od zabijania, tylko od czegoś lepszego, dawały życie, dawały

słodycz, należało je chronić, trzymać z dala od brudnych męskich porachunków, od ohydy, od przemocy. Zabicie kobiety oznaczało zniszczenie czegoś ogromnie cennego, tymczasem Chloe postanowiła oddać się w ręce Ahmada, dla którego jej życie nie przedstawiało najmniejszej wartości.

Oczywiście nie dało się stwierdzić z całą pewnością, czy dobrze odczytali jej intencje. Mogła po prostu wyjechać, bo źle by się czuła, mieszkając w Grand Point w towarzystwie sześćdziesięciu obcych osób, ponadto z Wade'em przez ścianę. W końcu chciała go tylko na jedną noc, więcej nie potrzebowała, skoro do osiągnięcia celu wystarczył ten jeden raz.

Popełnił błąd, przystając na propozycję Chloe, trzeba było dalej pracować nad uzyskaniem jej zaufania i przyjaźni, zamiast wystawiać na próbę wstępne porozumienie, jakie zdołali osiągnąć. Niestety, jego silna wola okazała się zbyt słaba w obliczu podobnej pokusy. Starał się wywiązać ze swego zadania, jak tylko umiał najlepiej, włożył w to całego siebie. Chloe nie sprawiała wrażenia zawiedzionej, przeciwnie, wydawała się równie wniebowzięta jak on, ale przecież kobiety potrafią znakomicie udawać, więc nie miał pewności, czy rzeczywiście przeżyła coś wyjątkowego tej nocy, czy tylko udało jej się pozbyć niechcianego dziewictwa.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Gwałtownie obrócił głowę i ujrzał, jak Chloe wychodzi z baru szybkiej obsługi, w jednej ręce trzymając białą papierową torbę, a w drugiej styropianowy kubek. Przepuściła starszą panią w wiekowym cadillacu, przeszła przez ulicę, kierując się ku skwerowi przed ratuszem i usiadła na żeliwnej ławce pod jednym ze starych dębów. Postawiła obok siebie kubek, wyjęła z torby hamburgera. Nawet z tej odległości Wade widział, z jakim namaszczeniem Chloe odwija go z cienkiego papieru, jakim gestem podnosi go do ust, jak zamyka oczy przed pierwszym kąsem.

Nie mógł się nie uśmiechnąć. Szkoda, że nie wiedział o tej jej ochocie na hamburgera, typowo amerykańskie jedzenie. Nagle spowaźniał, już bez cienia wątpliwości wiedząc, co ona robi i dlaczego. Gdyby ktoś chciał zostać zauważony, nie znalazłby w całej okolicy lepszego miejsca niż skwer przed ratuszem. I nie znalazłby logiczniej szego powodu do siedzenia sobie na ławce niż niespieszne jedzenie lunchu. Chloe wymyśliła to naprawdę dobrze, może nawet kiedyś usłyszy od Wadea słowa uznania za inicjatywę i odwagę, ale najpierw dostanie burę za wystawianie się na niebezpieczeństwo.

Nagle zza rogu wyłonił się zielony osobowy samochód, minął kwiaciarnię i restaurację, zbli-

zając się do ratusza, zwolnił, minął ławkę, na której siedziała Chloe. Instykt Wade'a zadziałał szybciej niż jego umysł. Nim zdołał rozpoznać człowieka siedzącego za kierownicą, już trzymał broń w ręku i gnał przed siebie długimi susami. Przez moment miał nadzieję, że Ahmad może przeoczyć Chloe, lecz samochód skręcił gwałtownie, zahamował z piskiem opon, wyskoczyło z niego czterech mężczyzn, którzy rzucili się w jej stronę. Właśnie zdążyła sięgnąć po kubek. Słyszając hałas, obróciła się ku napastnikom.

Zielony samochód stał dokładnie pomiędzy Hazarami a Wade'em, który dopadł go i wykorzystał jako osłonę. Oparł przedramiona na masce, wycelował broń.

- Stać! - krzyknął. - Ręce do góry!

Mężczyźni obejrzeni się i w ułamku sekundy rozproszyli się, szukając kryjówek, któryś wystrzelił, kula przeleciała nad samochodem, Wade schował się na moment, ale nie odpowiedział ogniem, gdyż bał się, że trafi Chloe. Ahmad musiał się tego domyślić, gdyż wyskoczył zza pnia dębu, popędził ku przyrodniej siostrze. Próbowwała uciekać, lecz dogonił ją szybko, a wtedy Wade zamarł, kompletnie sparaliżowany grozą, czekając na błysk noża. Ahmad wykręcił swojej ofierze rękę do tyłu i używając Chloe w charakterze żywej tarczy, zaczął się

wycofywać. Chwilę potem oboje znikli we wnętrzu sklepu z pamiątkami.

W tym samym momencie z gwałtownie otwartych drzwi ratusza wypadło dwóch mężczyzn, Nat Hedley i umundurowany funkcjonariusz. Trzej Hazardowie widząc, że w następnej chwili mogą zostać wzięci w krzyżowy ogień, rzucili się do ucieczki, funkcjonariusz pognał za nimi, tymczasem Nat, tak samo jak Wade, pobiegł w stronę sklepu. Znaleźli się na miejscu jednocześnie, przyłgnęli plecami do muru po obu stronach wejścia, trzymając broń gotową do strzału.

- Wybacz, że nie byłem szybszy - rzekł Nat, starając się złapać oddech. - Zatrzymał mnie zastępca szeryfa, trzeba było dzwonić do Roana, żeby potwierdził, kim jestem.

- Trudno. - Wade zacisnął zęby, gdyż od tych wszystkich gwałtownych ruchów rana w boku zaczęła go znowu boleć, paląc żywym ogniem. Zaryzykował, nachylił się i rzucił okiem do wnętrza sklepu. Nic się tam nie poruszyło, nikt do niego nie strzelił. Skinął przyjacielowi głową. - Teraz!

Wpadli do środka, gdzie ujrzeli jedynie ekspedientkę, która stała niczym zmieniona w słup soli, trzymając w jednym ręku porcelanowego indyka, a w drugim metkownicę.

- Gdzie oni są? - warknął Wade.

Przerażona kobieta odzyskała zdolność ruchu, wskazała przejście wiodące na zaplecze, oczy miała przy tym wielkie jak wypalane z gliny dynie, które leżały przed nią na ladzie. W następnym pomieszczeniu, wąskim, lecz długim, Wade ujrzał metalowe drzwi na jego przeciwnym końcu, właśnie domykały się automatycznie. Mając Nata tuż za plecami, pobiegł wzdłuż półek z kartonowymi pudłami, rąbnął ramieniem o drzwi, zbiegł po chwiejnych schodkach w wąską alejkę i znalazł się przed rampą ładowniczą składu nasion i pasz. Ahmad i Chloe znikali w jego tylnych drzwiach.

Nat skierował się ku stopniom wiodącym na rampę, lecz Wade, nie tracąc czasu, wskoczył na nią z rozbiegu i wpadł do składu. Ze znajdującego się od frontu sklepu dobiegały głośne przekleństwa starego Zacha Buchanana, znanego w całej okolicy z tego, że co ładniejszym ogrodniczkom chętnie sprzedaje cebulki kwiatowe niemal za połowę ceny, a dla bezpieczeństwa trzyma pod ladą śrutówkę z podwójną lufą. Po soczystej wiązce zapadła martwa cisza.

Wade już był w sklepie, jednym rzutem oka ogarnął sytuację i zmarł w pół kroku. Właściciel mierzył ze strzelby do Ahmada, który zasłaniał się zakładniczką, przyciskając czubek noża do jej białej szyi. Na ten widok Wade'a ogarnęła wściekłość, przerażenie i bolesne uczucie deja

vu. Już dwa razy zabito przy nim kobietę. Tym razem nie mogło się to tak skończyć, po prostu nie mogło.

- Rzućcie broń - zażądał Ahmad, patrząc na Wade'a. - Albo poderżnę jej gardło jak kurze.

Zach należał do pokolenia, które wychowało się na westernach i w napiętych sytuacjach miało zwyczaj używać języka z filmów.

- Nie wiem, co ta kolorowa skóra gada - wycedził, również zwracając się do Wade'a.  
- Ale nie podoba mi się jego gęba. I cholernie mi się nie podoba, jak traktuje damę.

- Słusznie, kurwa - zgodził się z całym przekonaniem Nat, zjawiając się w progu.

Wade popatrzył Ahmadowi w oczy i rzekł w języku pasztu:

- Przelej choć jedną kroplę jej krwi, a osobiście wyślę cię do piekła.

- Nie dbam o to. Okryła hańbą siebie i imię mojej rodziny.

- Tak, tak, znowu ta stara opowieść. Ale Chloe nie należy do twojej rodziny, nie należała i nigdy nie będzie należeć. To, co robi, nie ma nic wspólnego z tobą.

- Mój ojciec ją przyjął do rodziny. Ja ją przyjąłem. Jest nasza.

Wade zjeżył się, słysząc to roszczenie. Jest moja, pomyślało coś w nim, moja, moja. Oczywiście nie miał prawa powiedzieć tego na głos.

- Chloe należy do samej siebie i do tego kraju. Jest Amerykanką.

- No tośmy chyba utknęli w martwym punkcie - mruknął Zach.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Przez oszklone drzwi sklepu wpadały promienie słońca, tworząc na podłodze żółtą plamę, drobinki kurzu wirowały powoli w snopie światła, w powietrzu unosiła się charakterystyczna woń, na którą składał się zapach mączki bawełnianej, używanej na paszę, pestycydów oraz suchej karmy dla psów. Wade znał tę mieszankę zapachów od dziecka, gdyż razem z ojcem przyjeżdżał do składu Zacha setki razy, nie było to jednak miejsce, w którym chciałby decydować o sprawach życia i śmierci.

- Czekajcie - odezwała się Chloe, co prawda trochę zmienionym głosem, ale i tak znacznie spokojniej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać po zakładnicze z nożem przy szyi. — Przestańcie sobie grozić. Pójdę z tobą, Ahmadzie, dostaniesz cały spadek po moim ojcu, jeśli wyrzekniesz się zemsty na tym człowieku.

- Nie! - krzyknął Wade. Owszem, przypuszczał, że właśnie na tym polegał jej plan, ale co innego domyślać się czegoś, a co innego usłyszeć potwierdzenie swoich przeczuć.

- Mam się wyrzec? Mejsłusznej zemsty?



Mego dżihadu? - Ahmad przycisnął mocniej nóż, którego czubek zabarwił się na czerwono.

Przez twarz Chloe przebiegł skurcz. Próbowała odsunąć głowę w bok.

- Tak, bracie, słusznie czujesz do niego gniew za mieszanie się w sprawy rodziny, Wade jednak nie mógł postąpić inaczej, mój ojciec na łożu śmierci wymógł na nim obietnicę, że pojedzie do Hazaristanu i zabierze mnie do Ameryki. Wypełnił przyrzeczenie, nie ma więcej zobowiązań, więc odejdę z tobą.

- Ale on nie chce cię puścić. - Jak widać, Ahmad słuchał uważnie, choć dalej mówił agresywnym tonem.

- Pogodzi się z moją decyzją dla dobra swojej rodziny.

Mówiła do Ahmada, lecz Wade wiedział, że mówiła również do niego, żądając, by ustąpił i pozwolił jej iść z tamtym. Owszem, doceniał podobną gotowość do poświęcenia, lecz prędzej sam zginie, niż odda Chloe w ręce morderców.

- Dostanę te pieniądze dzisiaj? - spytał Ahmad. - Chcę je w dolarach.

Przełknęła nerwowo, a ponieważ miała nienaturalnie wygiętą szyję, było to dla wszystkich doskonale widoczne.

- W jeden dzień nie uda mi się podjąć całej gotówki - odparła, nie spuszczać oczu z twa-

rzy Wade'a. — Potrzebuję trochę czasu, ale dostaniesz wszystko.

- Tylko co potem? - spytał złowieszczym głosem Wade.

Jej oczy stały się puste, a potem odwróciła spojrzenie, dając mu tym samym niemą odpowiedź. Chloe była gotowa zginąć, już się pogodziła ze śmiercią. Na tę myśl poczuł dojmujący ból w piersi, prawie nie mógł oddychać. Ogarnęła go straszliwa wściekłość i nienawiść, nagle zaczął rozumieć wszystkich, którzy popełnili zbrodnię w afekcie, ponieważ zapragnął rozszarpać Ahmada oraz jego współników na strzępy. I zrobi to, jeśli tej kobiecie spadnie choćby włos z głowy.

A spadnie na pewno, w dodatku nie włos, tylko cała głowa, gdy Ahmad zechce skorzystać z tego, że dopadł swą przyrodnią siostrę i przekona się, że już kogoś miała. Zabije ją bez namysłu, nie dbając o pieniądze. Dlatego Wade powie mu o tym teraz, kiedy na miejscu znajduje się trzech mężczyzn, pragnących ochronić Chloe. Trzech przeciw jednemu. To dawało jej jakieś szanse na przeżycie.

Frontowe drzwi otworzyły się, wpuszczając do środka trzech uzbrojonych Hazarów. Błyskawicznie ocenili sytuację i bez słowa zajęli pozycje po bokach przywódcy. Chloe zerknęła w bok i przeżyła prawdziwy wstrząs.

- Ismael!
- Tak, to ja.

Wade przyglądał się wdowcu po Treenie, czując, jak jego nerwy, już i tak napięte niczym postronki, napinają się jeszcze bardziej. W twarzy tego człowieka było coś dziwnego, jego oczy wydawały się zupełnie nieruchome, jakby znajdował się pod wpływem narkotyku albo jakby popadł w obsesję.

- Ale dlaczego? -jęknęła Chloe. - Czemu to robisz?

- Ponieważ pewne sprawy nie są mi obojętne. Ponieważ kochałem moją żonę ponad życie. I ponieważ prowadzę mój własny dżihad.

Wade'a przebiegły ciarki, gdy usłyszał ten cichy, spokojny i smutny głos, głos, który zdawał się zwiastować śmierć.

- Czyli to ja ponoszę winę?
- Byłaś narzędziem, tak jak ja jestem nim teraz. Niech to ci wystarczy.

W odróżnieniu od Wade'a Chloe chyba rozumiała, co miały znaczyć te słowa, gdyż wyraz jej twarzy zmienił się, rysy jej stwardniały, jakby podjęła jakąś decyzję. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym, gdyż jego uwagę zwrócił ostrożny ruch za drzwiami. Jakiś cień zbliżał się bezszelestnie, cień człowieka w stetosonie, a Wade rozpoznał sylwetkę zastępcy szejyfa, który rzucił się w pogoń za trzema

Hazarami. Widać nie zdołali go zgubić, zobaczył, dokąd weszli, i szykował się, by wtargnąć za nimi.

Wade obrzucił przeciwników szybkim spojrzeniem, próbując się zorientować, czy spostrzegli nadchodzącego. Na szczęście stali plecami do drzwi. Chloe, która cały czas miała wykręconą szyję, kątem oka zauważyła coś za drzwiami, ale błyskawicznie odwróciła wzrok, by nie ściągnąć niczyjej uwagi na to, co się dzieje na zewnątrz. Cień zbliżył się jeszcze bardziej, Wade mógł już ujrzeć uniesioną dłoń z pistoletem.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, zastępca szeryfa wpadł do środka, wtedy Chloe podrywała kolano do góry, po czym z całej siły wbiła obcas w stopę trzymającego ją Ahmada. Stracił równowagę i zatoczył się do tyłu, jego rysy wykrzywił grymas niedowierzania, gdyż nigdy by nie przewidział ataku ze strony kobiety. Dokładnie w tym samym momencie Wade skoczył do przodu, starając się chwycić za dłoń z nożem, Nat rzucił się na Ismaela, zastępca szeryfa na jednego z pozostałych Hazarów, drugi próbował wycelować broń, ale w panującym zamęcie walki nie strzelał, obawiając się trafić któregoś ze swoich. Zach miał ten sam problem, kłął wściekle, mierzył, lecz wciąż nie naciskał spustu.

Szamoczący się z Natem Ismael wpadł na Chloe, ścinając ją z nóg. Poleciała na Wade'a, który aż stęknął z bólu, gdy trafiła go łokciem prosto w świeżo zasklepioną ranę. Zrobiło mu się czerwono przed oczami, rozluźnił uchwyt i poczuł, jak Ahmad wrywa rękę z jego uścisku. Zdobywając się na rozpaczliwy wysiłek, Wade chwycił Chloe i pociągnął ją za sobą na podłogę -byle jak najdalej od zdradzieckiego noża. Gdy upadli, przeturlał się i zasłonił ją swoim ciałem.

Huknęła strzelba Zacha, Nat coś krzyknął, zastępca szeryfa też, zagłuszył ich kolejny strzał, potem rozległ się tupot, Wade poczuł, jak trzęsą się deski podłogi, gwałtownie pchnięte drzwi trzasnęły o ścianę, poleciało z nich szkło potem zapadła cisza.

- Nic ci nie jest? - spytał Nat, klękając obok przyjaciela.

Wade czuł spływającą po brzuchu ciepłą stróżkę krwi, rana go paliła, lecz nawet nie odpowiedział. Dźwignął się na łokciach i odsunął na bok, by nie przygniatać Chloe swoim ciężarem. Była zupełnie biała na twarzy, na szczęście szyję miała tylko lekko zadraśniętą. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się blado, a wtedy on z powrotem zaczął oddychać.

- Są zabici i ranni? - rzucił w przestrzeń.

- Zach dostał - odpowiedział zastępca szeryfa, który właśnie wrócił do składu, chowając

broń do kabury. - Ale zdołał trafić jednego z tych drani.

Sądząc po sile i kwiecistości przekleństw, jakie rozległy się zza lady, rana właściciela składu nie należała do śmiertelnych.

- Ten cholerny dureń zasłonił mi tego całego Ahmada. - Tu znowu nastąpił przerywnik w postaci soczystej wiązanki. - Inaczej rozwaliłbym sukinkota!

Wade podniósł się, nieznacznie krzywiąc się z bólu, pomógł Chloe wstać, spojrzął na zastępcę szeryfa.

— Może pan wezwać ambulans po Zacha?

— Już to zrobiłem.

Nat obrzucił przyjaciela krytycznym spojrzeniem i zatrzymał wzrok na powiększającej się plamie krwi z przodu koszuli.

— A po ciebie nie?

— Nic mi nie będzie. Zabierajmy się stąd, i to szybko. Musimy zdążyć do Grand Point przed nimi.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Chloe czuła się jak zaaresztowana, gdy Wade prowadził ją z samochodu do domu, trzymając mocno za ramię. Jego uścisk nie sprawiał bólu, ale do przyjemnych też nie należał. Po drodze zasypano ich gradem pytań, lecz Wade nie zatrzymywał się i nie wyjaśniał, dokąd w takim pośpiechu wyjechał, co robił i co mu się stało, skąd ta krew. Ignorując pełne zaniepokojenia okrzyki, odeskortował Chloe do jej pokoju, a gdy tylko znaleźli się w środku, zatrzasnął drzwi i odwrócił się z ponurą miną.

- Gadaj - zażądał. - Chcę dokładnie wiedzieć, w jakim celu wymknęłaś się stąd, nic nikomu nie mówiąc.

- Musiałam zobaczyć się z Ahmadem.

- Bo myślałaś, że dasz mu to, czego od ciebie chciał, a on w zamian zachowa się miło i grzecz-

nie, zostawiając nas w spokoju, tak? Co ci do głowy strzeliło? Jak mogłaś sądzić, że on na to przystanie? Przecież ten człowiek nie potrafi wybaczać. A nawet gdyby jakimś cudem odstąpił od zemsty na nas, to jak czulibyśmy się wszyscy, wiedząc, że wołałaś trafić w jego łapy niż zostać tu z nami?

- Wcale nie wołałam - odparła, po czym bezradnie rozłożyła ręce. - Ale tu są kobiety i dzieci, nie zasługują na to, żeby zginąć z mojego powodu.

- A dlaczego w ogóle mają ginąć? Czy my jesteśmy kaczki, które można wystrzelać? Tak nisko nas oceniasz? Według ciebie nie damy rady takim zawodowcom od zabijania jak Ahmad i jego ludzie?

Bardzo trafnie odgadł jej myśli, lecz zachowała to dla siebie.

- Nie macie pojęcia, jacy oni potrafią być straszni i okrutni - rzekła tylko i przeszła do łazienki, gdzie w apteczce znalazła środki opatrunkowe.

- Nie musimy tego wiedzieć, by przygotować się do walki — odparł, idąc za nią i stając w drzwiach. - Jesteśmy na swoim terenie, znamy każdy strumyk, rów, pagórek, bieg każdej drogi i ścieżki. Rodzina mieszka tu od pokoleń, doskonale wiemy, gdzie się ukryć, gdzie urządzić zasadzkę, którądy się przemknąć,



by pozostać niezauważonym. Obcy nie mają tej orientacji, nie są w stanie wykorzystać tego miejsca przeciw nam i zamknąć nas w potrzasku. Nie da się pokonać Benedictów na ich własnej ziemi.

-W porządku, myślałam się. - Pochyliła głowę i podeszła do niego, niosąc środki opatrunkowe. - Przepraszam, nie chciałam spowodować tyle kłopotu.

Wadę milczał przez kilka chwil, a kiedy wreszcie się odezwał, w jego głosie brzmiały złość i niesmak.

- Nie wciskaj mi kitu ze spuszczeniem głowy i odgrywaniem potulnej kobietki, może ten dureń Ahmad dawał się na to nabrać, lecz ze mną nie pójdzie ci tak łatwo, za dobrze cię znam. Nie ma w tobie ani krzty uległości, lecz ponieważ jesteś dumna i sprytna, nauczyłaś się udawać posłuszną, żeby przeżyć. Ale ja nie chcę, żebyś cokolwiek udawała, chcę, żebyś używała tego, co masz w głowie, a masz sporo. Na drugi raz więc bądź tak miła i pomyśl, zanim wystawisz się na niebezpieczeństwo.

- Zrobiłam to, wyobraź sobie - odcięła się.

- No tak, oczywiście - zadrwił. - Pomyślałaś i doszłaś do wniosku, że złożenie ofiary z siebie gładko rozwiąże cały problem i wszyscy spokojnie rozjadą się do domów. Tam, gdzie mieszkałaś przez ostatnie lata, pewnie łatwo poświęca

się życie kobiety dla dobra sprawy, ale wiesz, mu tutaj nie gustujemy w takich ofiarach.

Ogarnął ją gniew, gdy usłyszała surowe podsumowanie swoich działań. Spojrzała twardo na Wade'a.

- Próbowałam ocalić twoją rodzinę. Jeśli to ci przeszkadza, bardzo przepraszam.

- Owszem, diabelnie mi przeszkadza, szanowna damo. Moja rodzina nie potrzebuje ocalenia, wbij to sobie wreszcie do głowy raz na zawsze. I przestań w kółko przepraszać!

Pomyślała, że prędzej umrze, niż kiedykolwiek przeprosi go ponownie.

- Nie potrzebuje, tak? Bo wystawienie wartownika na drodze i zabicie okien dyktą załatwi sprawę? Naprawdę uważasz urządzenie zjazdu rodzinnego z żonami i dziećmi za najlepszy sposób obrony?

- Jeśli pozwolisz, chciałbym poinformować, że nasz system bezpieczeństwa nie ogranicza się do wartowników i kilku desek w oknach. Owszem, moglibyśmy zabronić dzieciom wychodzić i zamknąć je w domu, ale skąd wiadomo, jak długo to potrwa? Po co? Potrafimy je ochronić bez wywoływania paniki i narażania na stres, każdy z dorosłych wie, co robić w razie zagrożenia. Oczywiście moglibyśmy odesłać kobiety i dzieci daleko, lecz wolimy mieć je przy sobie i wiedzieć, że z nimi wszystko w porządku.

Albo moglibyśmy wszyscy zaszyć się w mysich dziurach i próbować przeczekać zagrożenie, ale żaden Benedict nigdy nie podkuli ogona i nie czmychnie przed wrogiem. No i moglibyśmy też zabarykadować się tutaj i wezwać policję, ale Benedictowie nie potrzebują, żeby ktoś odwał za nich brudną robotę. Sami potrafimy sobie poradzić.

W porządku, niewykluczone, że faktycznie zbyt pochopnie wyciągnęła wnioski, może sytuacja nie przedstawiała się aż tak beznadziejnie, jak jej się wydawało, nie zmieniało to jednak w niczym roli, jaką w tym wszystkim odgrywała.

- A co ja mam robić, kiedy ty i twoja rodzina zajmujecie się ważnymi sprawami? Nic, tak? Mam tu sobie siedzieć jak na wakacjach, podczas gdy wy tak bardzo ryzykujecie? - Minęła go, weszła do pokoju, rzuciła środki opatrunkowe na łóżko, zawróciła do Wade'a, chwyciła w garście poły jego koszuli i szarpnęła w przeciwnie strony, nie bawiąc się w rozpinanie guzików. Gniew dodał jej sił.

Wade drgnął i zamrugął ze zdziwienia, zaskoczony podobną gwałtownością, lecz nie próbował powstrzymać Chloe.

- Słuchaj, byłaś zmęczona, wiele przeszłaś, potrzebowałaś odpoczynku, dlatego na razie nikt cię o nic nie prosił, ale nie obawiaj się, kiedy nadejdzie pora, będziesz miała co robić.

- Twoja rodzina wcale sobie nie życzy mojej obecności. - Podważyła koniec plastra, który przytrzymał przesiąknięty krwią opatrunek i oderwała go od skóry jednym szarpnięciem.

- Do diabła, kobieto! - warknął Wade i chwycił ją za rękę.

- Puść!

Popatrzył na jej twarz, zawahał się i posłuchał.

- Nie wiesz, czego moja rodzina sobie życzy, a czego nie, bo nawet nie miałaś czasu, żeby się o tym przekonać.

- Widziałam przecież, jak na mnie patrzyli, to wystarczy.

- Patrzyli na ciebie jak na obcą, bo taka jesteś. Czego się spodziewałaś?

- Niczego. Zupełnie niczego.

Skupiła się na tym, co miała do zrobienia. Rana na szczęście przestała już krwawić, lecz skóra wokół niej stała się sina i obrzmiała. Chloe rzuciła na podłogę zużyty opatrunek, wycisnęła porcję maści z antybiotykiem na świeży kawałek gazy, starannie przyłożyła ją do gojącego się szwu i przykleiła plastrem.

- Trzeba włożyć trochę wysiłku, żeby kogoś do siebie przekonać. Nawet nie dałaś mojej rodzinie szansy na poznanie cię. Nie oczekuj cudów.

- Nikt mnie tu nie potrzebuje - ucięła, nie patrząc na niego. - Ani nie chce.

- Ja ciebie chcę.

To jasne, pozbawione niedomówień stwierdzenie zostało wypowiedziane ze spokojną pewnością siebie. Chloe podniosła na Wade'a szeroko otwarte oczy. Wciąż miał gniewnie napięte rysy i zaciskał wargi w wąską linię, lecz jego wzrok płonął, najzupełniej jednoznacznie zdradzając pożądanie. Na ten widok Chloe również poczuła gwałtowny przypływ pożądania, które wezbrało niczym potężna fala i zatopiło ją całą. Przez długą chwilę stali oboje bez ruchu, tylko ich piersi unosiły się i opadały pod wpływem przyspieszonych oddechów.

Rzucili się na siebie chciwie dokładnie w tym samym momencie. Wade całował Chloe, nie bawiąc się w żadne subtelnosci, na co zareagowała z równą siłą i pasją, a tym razem to jej język okazał się bardziej zachłanny, to on penetrował i poznawał. Czuła się jak zdobywca. Wade podciągnął T-shirt Chloe, złapał za nagą pierś, zaczął pocierać twardniejący sutek palcem wskazującym i kciukiem, zaraz potem wsunął drugą rękę pod pasek spódnicy, chwycił za jędrny pośladek. Płonąc z gorączki, a jednocześnie drżąc z gniewu i pożądania, chciwie przesuwała dłońmi po jego umięśnionych plecach, barkach, zdarła z nich koszulę.

Reszta ubrań też po chwili znalazła się na podłodze, oni sami również. Wełniany dywan drapał Chloe w plecy, lecz nie dbała o to, podobnie jak nie przejmowała się ciężarem Wade'a, mniej uważnego niż poprzednio. Wtargnął między rozchylone uda z szorstką gwałtownością, zgłodniała Chloe wygięła się zapraszająco, a on wdarł się do środka. Przycisnęła twarz do muskularnego ramienia, chwyciła zębami za skórę. Czuła gorący oddech na swoich włosach, czuła, jak Wade ją wypełnia, gorący i twardy, jak staje się częścią niej. Chciała go tara, chciała go mieć jeszcze głębiej, chciała go posiadać i uczynić na zawsze swoim.

Może odgadł to pragnienie, ponieważ nie wysuwając się z Chloe, obrócił się na plecy, by znalazła się na górze, a dzięki temu mogła decydować o wszystkim - o głębokości, intensywności i tempie. Jej długie włosy kołysały się wokół nich, jej ruchy stawały się coraz szybsze, coraz bardziej szalone, ciało pokryło się potem, oddech stał się urywany, mięśnie zaczynały odmawiać posłuszeństwa, a jednak zaspokojenie nie chciało nadejść.

Wade z wyczuciem obrócił się ponownie, by znów znalazła się pod spodem, ale tym razem był już tak głęboko w niej, że odniosła wrażenie, jakby stanowili jedność, całość, pełnię, nie tylko w tym momencie, lecz na zawsze.

Zielononiebieskie oczy zaszkliły się łzami, które po chwili gorącą strużką pociekły po skroniach i znikły we włosach.

Wreszcie poczuła przeszywającą rozkosz. Chloe poruszała się w rytm gwałtownych pchnięć Wade'a, dygocząc, spazmatycznie łapiąc powietrze, niemal łkając, przyjmując go całą sobą, nie pamiętając o gniewie i nieporozumieniach, przepełniona wdzięcznością za to, co się działo i za to, że Wade nie domyślał się nawet, jak dalece przestała cokolwiek udawać, jak bardzo się przed nim otworzyła i że cała należy do niego, ponieważ go kocha.

Zaraz potem wyprężył się, zeszywniał, z gardła wydarł mu się niski, chrapliwy jęk. Po chwili schował twarz we włosach Chloe i przez jakiś czas leżeli tak zupełnie bez ruchu, wreszcie Wade westchnął, ułożył się na boku, podpierając się łokciem, lecz nadal trzymał nogi splecione z nogami Chloe. Odgarnął jej włosy z twarzy, leciutko przesunął kciukiem po wargach.

- Wszystko w porządku? Nie zrobiłem ci krzywdy?

- Nie. Za to nie wiem, czy tobie nic się nie stało - odparła, gdyż miała smugę krwi na wysokości żeber, więc pewnie znowu otworzył sobie ranę.

- Przeżyję.

Jego głos brzmiał pogodnie, bez śladu gnie-

wu, a to podziałało na duszę Chloe niczym balsam. Napawała się tym miłym uczuciem, podczas gdy tętno i oddech stopniowo zwalniały, wracając do normalnego stanu. Naraz zaniepokoiła ją pewna myśl.

- Zastanawiam się... - Powiodła opuszkami palców po włosach na torsie Wade'a. - ...co twoja rodzina sobie teraz myśli. Ich zdaniem co my tu robimy?

- Jak znam życie, to dobrze wiedzą.

Pełne ekspresji słowo, które wyrwało jej się w języku pasztu, zdecydowanie nie należało do eleganckich.

- Nie ma się czym martwić - uspokoił ją. - Chłopaki uważają to za najzupełniej naturalne, bo gdyby się znaleźli w podobnej sytuacji, robiliby to samo, a ich żony pewnie są ciekawe, czy jest ci ze mną równie dobrze, jak im z ich mężami.

- Nie.

- Nie? - Przechylił głowę na bok i przyjrzał się Chloe zaskoczonym wzrokiem.

- Ich mężowie są inni. Wiem, bo Clay mnie przytulił, pamiętasz? I to w ogóle nie przypominało... no wiesz.

Przyciągnął ją do siebie, ich ciała znowu splotły się ze sobą.

- Tego?

- Właśnie. Ani trochę.



Pożałowała, że w ogóle się z tym zdradziła, gdyż kąciki jego ust zadrgały, kiedy bezskutecznie próbował stłumić uśmiech. Zacisnął usta, walcząc z rozbawieniem, ale to też nie pomogło i wreszcie roześmiał się już otwarcie.

- Miło mi to słyszeć.

Zawstydzona, zarumieniła się gwałtownie,, gdyż naraz poczuła się bezbronna i odsłonięta nie tylko fizycznie. Odsunęła ramię Wade'a; puści ją natychmiast, nie zadając żadnych pytań, jedynie spojrział na Chloe badawczo. Unikając jego wzroku, pozbierała swoje rzeczy i poszła do łazienki.

Odkręciła kurek, przez kilka chwil pozwałała zimnej wodzie spływać po dłoniach i nadgarstkach, nim obmyła twarz, która zdawała się palić żywym ogniem. Potem oparła się obiema rękami o brzeg umywalki i stała z zamkniętymi oczami, a chłodne krople kapały jej z brody, ściekały na szyję i piersi.

Głupia, głupia, głupia.

Znowu kochała się z Wade'em bez żadnego zabezpieczenia, jakby dobrowolnie pchała się w pułapkę, bo przecież cięża przekreśliłaby możliwość oddania się temu, w czym Chloe widziała sens swojego życia. Jeśli urodzi dziecko, stanie się na zawsze związana z tym miejscem i tymi ludźmi, a nowe obowiązki nie zostawiają jej czasu na działalność na rzecz pozostaw-

stawionych na drugiej półkuli przyjaciółek. Nie będzie mogła nieść pomocy kobietom traktowanym jak niewolnice.

Prawie zapomniała o swojej misji, wiedzona odwiecznym kobiecym instynktem uległa silnemu, zniewalającemu mężczyźnie. Podziwiała Wade'a, gdyż stanowił zupełne przeciwieństwo bezwzględnych bojowników, którzy stosowali przemoc, by podporządkować sobie otoczenie, przede wszystkim kobiety. On używał swojej mocy w celu chronienia innych, zwłaszcza słabszych. Chloe podobało się również, że kochał i szanował członków swojej rodziny, niezależnie od ich płci, wieku, temperamentu i przekonań. Oni wszyscy zresztą traktowali się nawzajem w ten sam sposób, mogła się o tym przekonać na własne oczy. Naraz uświadomiła sobie, że nie wiecieć jak i kiedy zakiełkowało w niej pragnienie, by też należeć do tak zżytej rodziny, a jednocześnie pomyślała z bólem, że to się nigdy nie stanie.

Benedictowie znosili jej obecność z konieczności, nie mogła liczyć na pozyskanie ich sympatii, ponieważ ściągnęła na nich i ich dzieci śmiertelne niebezpieczeństwo, o czym będą zawsze pamiętać. A jeśli zginie choć jeden dorosły lub choć jedno dziecko zostanie w jakikolwiek sposób skrzywdzone, znienawidzą ją na wieki.

- Na pewno nic ci nie jest?

Podniosła głowę i popatrzyła na niego w lustrze. Stał, opierając się ramieniem o framugę drzwi, seksownie potargany, wciąż z nieco oszłamionym wyrazem oczu, zdradzającym, co robili przed chwilą. Włożył džinsy, lecz nic poza tym. Kiedy nie odpowiedziała, uniósł brwi i gestem głowy wskazał na kran, z którego wciąż lala się woda.

- Przepraszam. - Chloe z pewnym wysiłkiem przywołała uśmiech na twarz, zakręciła kurek. - Naprawdę, nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

- To świetnie. Wyjdiesz za mnie?

- Co?!

Oderwał się od drzwi, zbliżył się powoli, otoczył Chloe ramionami, kładąc dłonie na jej nagim brzuchu.

- Słyszałaś, co.

- Nie mogę.

- Oczywiście, że możesz.

- Przecież ledwie się znamy.

Z trudem zbierała myśli, rozpraszana pieszczotami Wade'a, który leniwie poruszał dłońią, leciuteńko przy tym muskając palcami trójkąt włosów w dole jej brzucha.

- Ja wiem wystarczająco dużo. W dodatku . miałbym wtedy prawo do opiekowania się tobą już zawsze.

Brzmiało to miło, lecz Chloe nie wątpiła, że

kierowało nim jedynie pożądanie, którego zresztą wcale nie ukrywał. Tak, to tylko czysto fizyczna reakcja, głód chwilowej rozkoszy, stara sztuczka Matki Natury. Chloe zresztą nie oczekiwała nic więcej, a już na pewno nie zależało jej na żadnych przysięgach ani innych rzeczach, które przywiązywały kobietę do mężczyzny, czyniąc z niej więźnia. W dodatku czasami z wyrokiem dożywocia.

- Ale ja nie potrzebuję, żeby ktokolwiek się mną opiekował - odparła, unikając jego spojrzeń w lustrze. - Jestem dorosła, samodzielna i mam zadanie do wypełnienia. Zostawiłam w Hazaristanie przyjaciółki, one są moją rodziną, nie wolno mi ich porzucić i zapomnieć. Musisz to zrozumieć, przecież ty też nie odwróciłbyś się od swoich bliskich.

Najpierw znieruchomiał, potem rozluźnił uścisk.

- Nie zamierzasz mieć własnej rodziny?

- Wtedy znowu znalazłabym się w pułapce, podobnie jak w domu Ahmada.

- Czyli uważasz małżeństwo za zagrożenie?

- Naprawdę tak trudno to pojąć? Czy mężczyźni nie pragną zamknąć kobiety w czterech ścianach, mieć jej tylko dla siebie?

- Na pewno nie Benedictowie - odparł. - Nie chcesz mnie więc?

Oczywiście, że chciała Wade'a, ale nie

chciała go kochać, chociaż to już się stało, czego zresztą nie powinien się domyślić. Gdyby zdradziła się ze swymi uczuciami, zagroziłoby to jej misji. Im dłużej z nim przebywała, tym bardziej stawała się uzależniona, tym słabsza, a im dłużej będą razem, tym trudniej przyjdzie się rozstać. Niestety, w obecnej sytuacji zagrożenia nie mogła opuścić Grand Point, nie mogła uciec przed Wade'em.

Istniało tylko jedno wyjście.

- Nie - oświadczyła i tym razem spojrzała mu w lustrze w oczy, twardo i zdecydowanie. — Nie chcę cię i nie wyjdę za ciebie. Ani teraz, ani nigdy.

Wypuścił ją z objęć, zaczął powoli cofać się ku drzwiom. Jego twarz stała się pozbawiona wszelkiego wyrazu

- Zapomnij, że cię o to prosiłem.

- Tak właśnie zrobię - rzekła takim tonem, jakby składała przysięgę samej sobie.

- Świetnie. Ja też.

Odwrócił się, a chwilę później drzwi sypialni otworzyły się i zamknęły z cichym kliknięciem. Było w tym odgłosie coś ostatecznego.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Chloe spędziła resztę dnia w swoim pokoju, zeszła na dół dopiero pod wieczór. Już na piętrze poczuła wspaniały zapach, więc chociaż wciąż nie była głodna, poszła w ślad za smakowitą wonią i trafiła do kuchni, gdzie na wielkich blatach czekały dymiące wazy z zupami, zapiekanki w żaroodpornych naczyniach, półmiski z pokrojonym mięsem, salaterki z białym ryżem, z brązowym ryżem, z gotowanymi warzywami, miski pełne sałatek, sosjerki, patery z kilkunastoma rodzajami ciast, ciastek i deserów, dalej piętrzyły się stosy talerzy, stały szklanki, leżały sztućce, w kubekach połyskiwał kruszony lód. Na sam widok Chloe zaczęła się zastanawiać, czy jednak trochę nie zgłodniała.

Kobieta, która właśnie nakładała chochlą gulasz, miała długie złocistobrązowe włosy,

związane na czubku głowy. I wieczne pióro zatknięte za ucho. Obejrzała się, zobaczyła dziwną minę stojącej w drzwiach Chloe i roześmiała się dźwięcznie.

- Tak, wiem, takie góry jedzenia robią wrażenie. Kobiety Benedictów zawsze gotują, gdy mężczyźni biorą broń i ruszają do lasu, czy to na polowanie, czy w innym celu, jak teraz. Częstuj się, proszę, nie musisz czekać, aż wszyscy się zbiorą.

- Dziękuję, może później.

- Jak sobie życzysz. Ja w każdym razie nie zamierzam oglądać się na innych, bo ominął mnie lunch, tkwiłam przy biurku i zjadłam tylko jabłko. - Podeszła, wyciągając rękę do Chloe, jej szare oczy patrzyły życzliwie. - Chloe, prawda? Jestem April Benedict.

- Pisarka?

- Cóż, nie da się ukryć. Powinna być zejść na dół wcześniej, żeby przywitać się z tobą, ale gonią mnie terminy, niestety. Musiałam skończyć rozdział.

- Wiem, że musiałas też przerwać cykl spotkań autorskich. Przeprosiłabym cię za to, ale Wade powtarza, że robię to za często, więc sama już nie wiem.

April wzruszyła ramionami i usiadła przy stole ze swoim gulaszem.

- Popieram Wade'a, przecież nikogo nie

prosiłaś, żeby cię prześladował. W ogóle wyjaśnij mi, co się wydarzyło rano w mieście.

- To Wade nic nie mówił? - Chloe wzięła z półmiska plasterki wędzonej szynki, skosztowała, rozpoznając dawno zapomniany smak. Smak niedzielnych śniadań w dzieciństwie.

- Mówił, ale akurat wtedy siedziałam na górze i pisałam. Luke trochę mi opowiedział, gdy na chwilę wpadł coś zjeść, ale po pierwsze nie znam szczegółów, po drugie wolałabym usłyszeć twoją wersję.

Chloe zrelacjonowała jej zatem przebieg wypadków, zaś April słuchała bacznie i zadawała trafne pytania, w rezultacie czego Chloe wyjawiała więcej, niż początkowo zamierzała.

- Czyli Wade się wściekł, tak? Teraz już rozumiem, czemu po południu był ponury jak chmura gradowa.

W odpowiedzi Chloe mruknęła coś niezrozumiałego i starając się ukryć zakłopotanie, sięgnęła po kolejny plasterki szynki.

- Może jednak weźmiesz sobie talerz?

- Chyba faktycznie tak zrobię. - Korzystając z zaproszenia, nałożyła sobie porcję pieczeni, którą w Hazaristanie zdołałaby się pożywić cała rodzina i również usiadła przy stole. - Wade już jadł?

April przechyliła głowę i obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.



- A gdybym ci powiedziała, że niczego nawet nie tknął? Zmartwiłabyś się?

Kawałek pieczeni, który miała w ustach, nagle stracił cały smak. Przełknęła go z trudem.

- Czemu miałabym się zmartwić?

- Bo mogłabyś się o niego troszczyć.

- Jest dorosły i potrafi zatroszczyć się sam o siebie.

- Oczywiście - skwitowała oschle April.

Przez jakiś czas jadły w milczeniu, dopóki Chłoe nie zaświtała pewna myśl.

- Czy jesteś sławna?

- Nie wiem, czy użyłabym w stosunku do siebie takiego określenia.

- No ale skoro jeździsz ze spotkaniami autor-skimi, pewnie udzielasz często wywiadów. Znasz osobiście jakichś dziennikarzy, najlepiej z telewizji?

- Kilku. - W głosie April brzmiała rezerwa.

- A gdybym miała taśmę z nagraniem okrucieństw, jakich talibowie dopuszczają się wobec hazardskich kobiet, umiałabyś mi powiedzieć, do kogo mam się z tym zgłosić, żeby to nagłośnił?

April spojrzała na nią z nagłym zainteresowaniem i poprosiła:

- Opowiedz mi o tej taśmie.

Chloe wytłumaczyła, w czym rzecz, na co April najpierw wyjaśniła przystępnie, jak wygląda rynek mediów w Ameryce, po czym

obiecła dotrzeć do odpowiednich osób i doprowadzić do emisji nagrania w którejś z większych stacji telewizyjnych. Wiedza, kompetencja i pewność siebie pisarki zrobiły spore wrażenie na Chloe, więc postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej o życiu tej kobiety.

- Nie piszesz książek na maszynie? - zagadnęła, patrząc na wieczne pióro za uchem April oraz na palce poplamione atramentem.

- Tworzę na różne sposoby, czasem piszę na komputerze, czasem potrzebuję usiąść z piórem nad kartką, a czasem używam dyktafonu. Każdy sposób, który w danym momencie działa, jest dobry.

- I nikt ci nie zabrania zamknąć się w pokoju i pisać?

- Chodzi ci o to, czy Luke mi nie zabrania, tak? Czemu miałyby to robić? Przecież to moja praca. Lepiej spytaj, czy mu to nie przeszkadza.

- A przeszkadza?

- Oczywiście wolałby, żebym więcej zajmowała się nim, zamiast tkwić z nosem w kolejnej książce, ale rozumie, że potrzebuję mieć coś swojego.

- To z jego strony bardzo... rozsądne.

April uśmiechnęła się.

- Benedictowie liczą się ze swoimi kobietami, trzeba im tylko klarownie wytłumaczyć, dlaczego pewne sprawy są dla nas ważne.

I równie jasno okazać, że na pierwszym miejscu stoją oni, a te sprawy na drugim.

- I myślisz, że twój mąż zawsze będzie taki zgodny?

- Owszem. Dlaczego miałabym w to wątpić?

- Niektórzy się zmieniają. Czasem czuły oblubieniec staje się tyranem, kiedy weźmie ślub i przeliczy posag.

- Luke nie należy do tego typu ludzi.

- Musisz być go bardzo pewna, skoro tak mówisz.

- Bo jestem. Głęboko wierzę, że nie ma w nim fałszu i dwulicowości. Ale gdyby nagle okazało się coś przeciwnego, najprawdopodobniej odeszłabym, ponieważ nie byłby mężczyzną, którego pokochałam.

- Tak, tutaj kobieta może po prostu odejść.

- Chloe odsunęła od siebie talerz i odwróciła się do April. - A czy nigdy nie czułaś się... jak złapana w pułapkę?

- Nawet jeśli czasem poczuję się w podobny sposób, wystarczy sobie przypomnieć, że nie jestem w niej sama, dzielę ją z tym, kogo kocham. W związku z tym zdradzę ci pewien sekret. - Nachyliła się i rzekła konfidencjonalnym tonem: - Całkiem lubimy to wspólne bycie w pułapce.

- A co z pozostałymi żonami Benedictów? Z Janną, Lara...

- ...Reginą i Tory? - odpowiedziała April, gdy Chloe zawahała się, ponieważ od rana tyle się wydarzyło, że niektóre imiona wyleciały jej z pamięci. - Każda z nich też ma swoje własne zajęcie. Regina zajmuje się handlem starą biżuterią, Tory odziedziczyła posiadłość i nią zarządza, Janna projektuje tkaniny, a Lara prowadzi sklep z tradycyjnymi amerykańskimi patchworkami w starym domu swojej babci.

- I ich mężowie naprawdę nie mają nic przeciw temu?

- Nawet jeśli, to mają też wystarczająco dużo oleju w głowie, żeby tego nie okazywać - stwierdziła April z uśmiechem.

Chloe po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy rzeczywiście dałoby się pracować dla sprawy bez wyrzekania się Wade'a. Tak przywykła do myśli, że zamążpójście oznacza dla kobiety nieodwołalne zamknięcie w domu i całkowite poświęcenie się rodzinie, że przyjęła to za ogólnie obowiązujące prawo. Tymczasem nie znajdowali się w Hazaristanie, Wade nie był talibem i nawet jeśli nie zgadzał się z niektórymi jej przekonaniem i nie popierał gorąco jej zaangażowania w działalność RAW-y, to nigdy nie odmawiał jej prawa do posiadania własnych poglądów oraz celów, zawsze też uważnie słuchał, gdy o nich mówiła.

- Jak wy to robicie? - spytała cicho, prawie

szeptem. - Skąd wiecie, że można zaufać mężczyźnie na tyle, żeby za niego wyjść? A jeśli się nie uda?

- Taka decyzja rzadko jest łatwa - odparła szczerze Ariel. - Chyba przede wszystkim trzeba zdobyć się na odwagę.

- A skąd wziąć ten rodzaj odwagi?

- Z tego samego źródła, co wszystkie inne kobiety. Z niego płynie zaufanie, które pozwala przyjąć mężczyznę do swojego ciała i do swojego życia, urodzić mu dzieci. Miłość. Kiedy kochasz, znajdziesz i odwagę, i wiarę w drugą osobę.

- No tak, ale czas? Jak znajdujecie czas na robienie własnych rzeczy? Czy to nie odbywa się kosztem rodziny? Czy nie odbieracie w ten sposób czegoś mężom i dzieciom?

- Naprawdę jest lepiej dla wszystkich, gdy kobieta wygospodaruje czas na własną działalność, z której czerpie satysfakcję. I gdy partner ją w tym wspiera. Kiedy zrobisz z siebie męczennicę i poświęcisz się dla czyjegoś dobra, to po jakimś czasie ta rezygnacja z siebie napełni cię taką goryczą, że w końcu znienawidzisz tę drugą osobę.

- Tego się właśnie obawiam - rzekła Chloe na poły do siebie.

- Wiesz, do czego się w ten sposób przyznałaś? - spytała April, wstając i zanosząc do zlewu brudne talerze.

- Och, ale ja wcale nie miałam na myśli...

- Miałaś, miałaś. Tak się cieszę! Wiesz, bałyśmy się, wszystkie pięć, że nic nie czujesz do Wade'a, że możesz należeć do tych kobiet, które wystawiają faceta do wiatru, kiedy już dostaną, czego chcą. Myślałyśmy, że może rzucisz go, gdy tylko poczujesz się bezpieczna.

Czyli żony Benedictów potraktowały ją z taką rezerwą nie ze względu na niebezpieczeństwo, jakie ściągnęła na ich głowy, tylko dlatego, że troszczyły się o bliską osobę z rodziny, która ewentualnie mogła zostać zraniona. Pomyliła się więc co do nich. A jeśli pomyliła się również co do Wade'a oraz intencji, które stały za oświadczeniami? Zrobiło jej się słabo na samą myśl, zwłaszcza gdy przypomniała sobie wyraz jego twarzy, kiedy usłyszał odmowę.

Być może jednak nie pomyłono się co do niej.

- Nie wiem, czy z nim zostanę.

- Czekają na ciebie ktoś inny? Albo przynajmniej jakieś ważne dla ciebie miejsce?

- Nie.

April zawahała się.

- Nie mam zwyczaju wtrącać się w cudze sprawy, chciałabym tylko zasugerować, żebyś nie podejmowała żadnych wiążących decyzji, dopóki to wszystko się nie skończy. Wade'owi wyraźnie zależy na tobie. Daj mu szansę.

- Czemu myślisz, że mu zależy?

- Mógł zabrać cię w wiele miejsc, gdzie byłabyś bezpieczna, ale przywiózł cię do Grand Point, a to naprawdę coś mówi, wierz mi.

Nawet jeśli April miała rację, ta rozmowa odbywała się za późno, gdyż Chloe zdążyła już przesądzić sprawę, odrzucając oświadczyzny. Ogarnął ją ogromny żal z powodu tego, co zrobiła. Wade nie ponowi swej propozycji, nie należał do ludzi, którym trzeba powtarzać coś dwa razy. Dla niego „nie” oznaczało „nie”.

Nagle do kuchni wpadła rozchichotana Lainey, którą gonił - a raczej udawał, że goni - Jake.

- Po domu się nie biega - April automatycznie zwróciła im uwagę.

- Wcale nie biegamy - wykręciła się natychmiast Lainey, zwalniając odrobinę.

- My się tylko bawimy. Wujek Clay kazał zabawiać Lainey - rzucił półgębkiem Jake, mijając obie kobiety.

- Dobrze, tylko postarajcie się niczego nie uszkodzić, zwłaszcza rzeczy, które wyglądają na stare.

- Nie ma sprawy, ciociu. Na razie lecimy na dach, bo Lainey chce zobaczyć, gdzie jest wujek Clay.

- Dokąd? - wykrzyknęła April, gdyż dzieci wypadły już drugim wyjściem i znikły w głębi holu.

- Będę na nią uważał! - odkrzyknął Jake,

a po chwili na schodach rozległ się tupot dwóch par nóg.

April westchnęła, pokręciła głową, lecz i uśmiechnęła się przy tym pobłaźliwie.

- Mam nadzieję, że nic im się nie stanie. Clay by mnie zamordował.

- Jake wygląda na przejętego swoją rolą opiekuna, co zresztą ładnie o nim świadczy.

- To naprawdę dobry chłopiec. Oczywiście biegnie na ten dach również po to, by samemu popatrzeć, co się dzieje. Nie jest też bez znaczenia, że Lainey się w nim kocha i darzy go bezgranicznym podziwem. Jake dzięki temu robi się bardziej pewny siebie, a jednocześnie bardziej opiekuńczy.

- Ale czy ona powinna tak biegać po schodach? - zatroskała się Chloe.

- Janna pozwala na takie rzeczy, bo chociaż Lainey nigdy nie będzie w pełni zdrowa, czuje się znacznie lepiej, niż ktokolwiek mógł przewidywać. Moim zdaniem zadziałał tak zwany czynnik szczęścia. Nie wiem, czy słyszałaś o Jannie i Clayu.

- Wade mi powiedział.

- Naprawdę? Ciekawe...

Chloe usłyszała, jak znowu otwierają się tylne drzwi, dobiegł ją gwar licznych głosów kobiecych, męskich i dziecięcych, a chwilę potem w kuchni, chyba największym pomieszczeniu,



zrobiło się dość tłoczno. Niektórzy wydawali się trochę dezorientowani, ale Janna już nalewała kawę do filiżanek, Tory wzięła się za krojenie ciast, niedługo potem Regina oddała siwowłosej kobiecie swoje śpiące maleństwo, a sama zakasała rękawy, stanęła przy zlewie i zabrała się za zmywanie. Widząc to, Chloe podniosła się od stołu, stanęła przy żonie Kane'a, poprosiła o ściereczkę do naczyń i zaczęła je wycierać. April i Regina wymieniły za jej plecami pełne aprobaty uśmiechy.

- Czy już zrobiło się ciemno? - zagadnęła Chloe. - Czy to dlatego wszyscy wrócili w tym samym czasie?

- Roan kazał nam wracać do domu - odparła Regina.

Ręce Chloe znieruchomiały na chwilę.

- Czyli coś się zaczyna dziać - rzekła.

- Albo niedługo zaczniesz.

Konieczność musiała porozmawiać z Wade'em. Nie mogła pogodzić się z myślą, że coś może mu się stać, że on jest gdzieś tam na zewnątrz, w ciemności, w niebezpieczeństwie, nie wiedząc, jak bardzo Chloe na nim zależy i jak bardzo chciałaby cofnąć swoje raniące słowa. Rozejrzała się dookoła, lecz nie ujrzała żadnego mężczyzny w sile wieku, byli tylko starsi oraz chłopcy i nastolatki. Zjawił się jedynie Lukę, właśnie zluźniony ze swojego poste-

runku. Porwał w objęcia April i wycałował ją, jakby nie widzieli się nie wiadomo od jak dawna, co wywołało głośny aplauz osób, które stały najbliżej.

- Gdzie jest Wade i inni? - Chloe spytała Reginę.

- W lesie.

- W lesie? Czemu aż tak się narażają? Ahmad i jego ludzie to znakomicie przeszkoleni partyzanci, specjaliści od zasadzek. Mają broń, granaty!

- Benedictowie nie poszli na nich z gołymi rękami - odparła z niezmaconym spokojem Regina. - Ludzie, którzy potrafią z odległości wielu metrów jednym strzałem ubić jelenia, dadzą sobie radę i z innym rodzajem zwierzyny.

Chloe popatrzyła na żonę Kane'a z zaskoczeniem. Krucha rudowłosa o mlecznej cerze z cętkami piegów i z łagodnym głosem sprawiała wrażenie eterycznej jak rusałka, ale -jak widać - nie należało wyciągać pochopnych wniosków na podstawie czyjegoś wyglądu. Ta kobieta nie bez przyczyny weszła do rodziny Benedictów.

Nagle coś zrozumiała.

- Byłyście teraz pożegnać się z nimi, tak?

- Wolałabym nie nazywać tego w ten sposób. Chociaż oczywiście nigdy się tego nie wie.  
- Regina westchnęła i wbiła wzrok w ręce zanurzone w pianie.

Tak, nigdy się nie wie. Wade mógł już nie wrócić, a ona nie poszła do niego, nie powiedziała mu nic, co zdołałoby zatrzeć pamięć tamtych ostatnich słów, jakie między nimi padły. Siedziała sobie w domu, tymczasem on czekał w lesie na przybycie bezwzględnych, uzbrojonych morderców, gotów do końca bronić swoich bliskich, na których Chloe ściągnęła śmiertelne niebezpieczeństwo. Myślał zapewne, że w ogóle nie doceniała tego wszystkiego, co dla niej zrobił. A jeśli zginie i nigdy nie pozna prawdy?

Natychmiast wyobraziła sobie eksplozję, ogień, krew i śmierć. Poczowała się słabo, prawie nie mogła oddychać, serce biło jej tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Chloe odstawiła na bok talerz, którego omal nie upuściła, odłożyła ściereczkę i opuściła kuchnię, półprzytomna z przerażenia, potrzebując ukryć się gdzieś, gdzie będzie sama ze swoim bólem.

W tym momencie od strony drogi rozległy się strzały, a ułamek sekundy później wszyscy usłyszeli przeraźliwy krzyk dziecka.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy padły trzy strzały w regularnych odstępach, Wade oderwał się od pnia, o który się opierał. Zabawa się rozpoczęła. W odległości niecałych dwustu metrów odezwało się również trzykrotne nawoływanie lelka, to stojący na czatach Clay dawał znak bratu. Wade odpowiedział tak samo, po czym każdy z nich ruszył przez las w kierunku pułapki, którą przygotowali w ciągu dnia na najostrzejszym z zakrętów drogi, już prawie przy samym Grand Point. Gdy znaleźli się na miejscu, usłyszeli ryk silników i zobaczyli migoczące między drzewami światła.

Wade wyciągnął z pochwy przy pasku nóż myśliwski i oparł ostrze o naprężoną linkę, która przytrzymała w stojącej pozycji ściętą dużą sosnę. Brat zrobił to samo. Jednocześnie obrócili głowy, by obserwować koniec wyścigu.

Roan jechał nowym wozem Clay a, wyduszając z potężnej maszyny wszystko, co się dało i prując jak kierowca rajdowy, którym zresztą niegdyś był. Od tamtego czasu jako szeryf brał udział w niezliczonych pościgach, po raz pierwszy jednak przyszło mu odgrywać rolę uciekającego. Za nim gonił doskonale znany braciom zielony osobowy samochód.

Dżip dopadł ostatniego zakrętu drogi, Roan dał ostro po hamulcach i skręcił na zablokowanych kołach, dzięki czemu samochód gwałtownie zatrzymał się w poprzek drogi, wzbijając fontannę żwiru i piachu. Roan wyskoczył, podbiegł do jednego z dwóch sagów drewna, które formowały boki utworzonej przez dżipa barykady, przesadził go i skrył się za nim.

Zielony wóz wszedł w zakręt, kierowca dostrzegł pułapkę, rozległ się pisk opon, samochodem zarzuciło, wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni i z hukiem wjechał bagażnikiem w masywny tył dżipa. Rozległ się zgrzyt zgniatego metalu i brzęk tłuczonego szkła. W tym momencie Wade przeciął nożem linkę, naparł ramieniem na pień, Clay zrobił to samo. Ścięte drzewo zaczęło się przechylać, dookoła rozszedł się zapach żywicy, potężne gałęzie ze świstem przecięły powietrze i sosna runęła w poprzek drogi, odcinając samochodowi Hazarów drogę ucieczki.

Z wnętrza na wpół zniszczonego wozu otwarto ogień. Wade błyskawicznie schował się za pniem ambrowca, ściągnął z ramienia strzelbę, czekał na koniec tej wściekłej salwy. Wreszcie strzelanina urwała się równie gwałtownie, jak się zaczęła, otworzyły się drzwi, padła komenda w języku pasztu. Wade ostrożnie wysunął głowę zza pnia i ujrzał, jak czterech mężczyzn wyskakuje z wozu i stosując uniki, biegnie do lasu po przeciwnej stronie drogi. Wziął na muszkę jeden ze znikających w gęstym poszyciu cieni, energicznie nacisnął spust. Rozległ się krzyk, ale trudno było ocenić, czy strzał wyrządził jakąś większą szkodę.

Udało się więc pomyślnie zrealizować pierwszą część planu, dzięki czemu wrogowie znaleźli się bez osłony auta na ziemi Benedictów, którzy polowali na niej niezliczoną ilość razy i znali każdy jej skrawek. Uzbrojeni w strzelby na jelenie oraz w śrutówki, mogli ruszyć na łowy za śmiertelnie niebezpieczną zwierzyną.

Wade wyszedł z ukrycia, skinął na brata, Clay znowu udał głos lelka, odpowiedziały mu podobne sygnały od Nata i innych, rozstawionych wzdłuż drogi. Spomiędzy drzew bezszelestnie wyłonili się Benedictowie i na znak Wade'a zagłębili się tyralierą w las w ślad za Hazarami. Nagle nocną ciszę rozdarł krzyk dziecka. Wade zamarł. Lainey.

Dziewczynka histerycznie nawoływała Claya, widać musiała jakimś cudem zobaczyć, jak jego wóz prawie się rozbił, i usłyszała strzały. Co gorsza, głos się zbliżał. Wade zmartwiał z przerażenia, lecz to jeszcze nie był koniec koszmaru, ponieważ zaraz potem usłyszał łamiący się baryton Jake'a, błagający, by mała zawróciła. Dzieciaki biegły prosto w obszar największego zagrożenia, w dodatku zagrażały powodzeniu całej operacji, gdyż Benedictowie nie mogli strzelać, by przypadkiem nie trafić któregoś z tej dwójki. A jeśli Hazarowie zdołają porwać Lainey i Jake'a, to nic im nie przeszkodzi spokojnie wystrzelać wszystkich mężczyzn, bo ci na pierwsze żądanie złożą broń, woląc sami zginąć, niż ryzykować życie dzieci.

Gdy pomyślał, że gorzej być nie może, usłyszał trzeci głos, głos kobiety podążającej za dziećmi i wołającej coś ostrzegawczo. Musiała nakazać im ciszę, gdyż po chwili Lainey i Jake umilkli. Wade'a sparaliżowało do końca. Miał pustkę w głowie, w piersi poczuł dojmujący ból, na jego ciało wystąpił zimny pot. Chloe. Przypominał sobie kobiety, których nie zdołał ocalić, ogarnęła go czarna rozpacz, zaczął bezgłośnie kłać.

Dość. Tracąc głowę, nie pomoże nikomu. Musi natychmiast wziąć się w garść i zacząć zachowywać jak żołnierz. Żadnych uczuć, pełna

koncentracja. Zadanie do wykonania: wydostać tych troje z lasu.

Ujrzał w ciemności zbliżający się cień, rozpoznał sylwetkę Claya.

- Idę po Lainey - zakomunikował cicho brat.  
- Roan poszuka Jake'a, ty bierzesz Chloe.

„Ty bierzesz Chloe” - zabrzmiało echem w głowie Wade'a.

- Tak zrobię - przysiągł solennie i bez chwili zwłoki ruszył na poszukiwanie kobiety, która została mu powierzona, która stanowiła zadanie jego życia. Całego życia.

Musiał ją odnaleźć przed Ahmadem i zabrać ze strefy zagrożenia. Tym razem nie mógł zawieść.

Po drodze minęli z Clayem kilku swoich, dalej przeczesujących las tyralierą, wyjaśnili każdemu w dwóch słowach, dokąd idą i po co, polecili ścieśnić szyk. Wade czuł się tak, jakby dezercerował z pola walki, ale będąc potrzebnym w dwóch miejscach naraz, musiał zdecydować, gdzie jego obecność jest bardziej niezbędna. Teoretycznie w walce z Hazarami był traktowany jak przywódca, w rzeczywistości jednak każdy Benedict miał niezależność we krwi i wolał sam podejmować decyzje, co oczywiście nie oznaczało braku współdziałania z innymi. I każdy z nich umiał sobie znakomicie radzić.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli któryś



zasygnalizował głosem lelka, inny mu odpowiedział, padły strzały, widocznie zauważono jakieś przemykające wśród drzew cienie. Benedictowie byli czujni, Wade i Clay mieli więc parę minut na wypełnienie swojej misji. Nagle z ciemności coś wyskoczyło i przywarło do Claya, trzęsąc się jak liść.

- Jesteś! Jesteś! Myślałam, że ci się coś stało - chlipała Lainey.

- Nie, wszystko w porządku. - Przytulił ją mocno. - Kochanie, co ty robisz w lesie?

- Widziałam z dachu, jak oni cię ścigali, i jak samochody się zderzyły, i zapomniałam, że nie wolno wychodzić z domu po ciemku. Musiałam cię zobaczyć!

- Nie mnie gonili, tylko wujka Roana, to w ogóle było specjalnie. Gdzie mama? Czemu nikt cię nie zatrzymał? - W głowie Claya pobrzmiwał skrywany niepokój. A jeśli ścigana zwierzyna przechytrzyła ich i zdołała dostać się do domu?

- Mama jest w kuchni i nie może biegać, przecież ma dzidziusia w brzuchu. Nikt mnie nie złapał, bo biegłam bardzo, bardzo szybko. A za mną Jake, bo obiecał cioci April, że będzie na mnie uważać.

- A Chloe? - spytał Wade. - Słyszałem na pewno jej głos.

- Biegła za nami, wołała mnie, ale ja nie

mogłam wracać, chciałam cię znaleźć. - Jeszcze mocniej przytuliła się do Claya. - A potem Jake mnie dogonił i zaraz potem wyskoczyli na nas... - Zniosła się szlochem. - Wszystko przeze mnie! Co ja narobiłam?

Clay łagodnie rozluźnił uścisk Lainey, przykląkł przed nią na jedno kolano.

- Kochanie, weź głęboki oddech... dobrze... wypuść... Jeszcze raz. Teraz opowiedz nam dokładnie, co się stało.

- Jake - zaczęła od najważniejszego dla siebie. - Zabrali Jake'a. Tam było dwóch obcych w krzakach, złapali nas, ale Jake walczył z nimi, tak bardzo walczył, no i oni mnie puścili, a on mi kazał uciekać, a ten duży go uderzył, mocno go uderzył, i Jake upadł, i oni go wzięli, i uciekli, zaraz przybiegła Chloe, powiedziałam jej o Jake'u, a ona mi wtedy obiecała, że pójdzie za nimi, a mnie kazała iść w tę stronę i szybko was znaleźć.

- I co wtedy zrobiła? - spytał ostro Wade, chociaż nie chciał przestraszyć dziecka.

- Nie wiem, bo jak się obejrzałam, to już jej nie było.

- Clay, zabierz Lainey do domu - rzekł Roan, wyłaniając się spomiędzy drzew. Jego głos brzmiał przerażająco spokojnie. - Ja pójdę z Wade'em.

- Ja nie chcę wracać, ja chcę znaleźć Jake'a,

on mnie obronił, muszę mu pomóc - zaprotestowała Lainey.

- Już mu pomogłaś, znajdując nas - stwierdził Clay, po czym, by uciąć dalsze protesty, wziął ją na rękę i ruszył ku domowi.

Dwaj kuzyni skierowali się w stronę, z której przyszła Lainey. Wade parł przed siebie, starając się nie myśleć o niczym oprócz zadania, które miał wykonać, a nade wszystko próbując nie dopuszczać do siebie strachu, że zjawi się za późno. Życie Chloe i Jake'a mogło zależeć właśnie od tego, czy on odetnie się od emocji i zdoła zmienić w zimną, bezduszną maszynę, jak go tego kiedyś uczono podczas morderczych treningów.

Kiedy dotarli na skraj lasu, zatrzymali się, w świetle księżyca ujrzeli tylną ścianę domu, lecz bezpośrednio przed sobą mieli pagórek z piwnicą. Jej ciężkie dębowe drzwi pozostawały od lat otwarte, tej nocy jednak ktoś je zamknął. Wade najpierw wyczuł, a potem zobaczył, że nie tylko on z Roanem kryją się za splątanym gąszczem kolczastych krzewów - nieopodal nich stała smukła sylwetka. Chloe obróciła głowę, ukazując twarz, która zastygła w śmiertelnie bladą maskę rozpaczy.

- Zamknęli się tam? - spytał Wade, nie rozpoznając własnego głosu.

- Tak. Mogło im to przypominać jaskinie w górach, używane przez partyzantów.

- Wszyscy czterej?

- Nie, tylko dwóch, Ahmad i Ismael.

- Jake'a też tam zabrali?

- Tak.

Roan postąpił krok w jej stronę.

- Żywego?

- Inaczej nie robiliby sobie kłopotu.

Wade spojrzał pytająco na Roana, ten skinął głową i krzyknął donośnie:

- Ahmad! Wiemy, że tam jesteś! Wychodź!

Ponieważ przez kilka długich chwil nic się nie działo, Wade zamierzał powtórzyć to samo w języku pasztu, lecz nim zdołał to zrobić, usłyszeli Ahmada oraz tłumaczący jego słowa na angielski głos Ismaela:

- Mamy wyjść, żebyś nas wystrzelał? Bierzesz nas za głupców?

- Zabijemy was, jeśli nie wyjdziecie.

- Nie boimy się śmierci, najważniejsza jest święta zemsta i honor rodziny.

Tym razem odpowiedział Wade.

- Benedictowie wiedzą to i owo o honorze, gdyż często walczyli w jego obronie. Dziwny to jednak honor, który wymaga przelewania krwi kobiet i dzieci.

- Nie śmieście nas pouczać. Jesteście głupimi Amerykanami, którzy nic nie wiedzą,

a rozumieją jeszcze mniej. Nasi przodkowie chodzili w jedwabiu i klejnotach, badali matematykę i ruch gwiazd, podczas gdy wasi czcili drzewa i malowali sobie twarze.

- A jakie to ma teraz znaczenie? Staliście się zgrają zacofanych pyszałków, którym się wydaje, że mogą odwrócić bieg historii i odkurzyć minioną świetność islamu. Chcecie zniszczyć cywilizację zachodnią, bo inaczej musielibyście przyznać, że za nią nie nadążacie. Mogę być głupim Amerykaninem, ale jestem wolny, tymczasem wy nawet nie wiecie, czym jest wolność, dla was to puste słowo. Usprawiedliwiacie przemoc i morderstwa, przekręcając naukę Mahometa, ale nie rozumiecie, że zabijanie bezbronnych to żaden powód do chwały.

- Milcz!

- Co, prawda w oczy kole? - zadrwił Wade.  
- Trudno. Ktoś wreszcie musiał to powiedzieć.

- Wade, przestań - zaprotestowała coraz bardziej przerażona Chloe.

Owszem, igrał z ogniem, zdawał sobie z tego sprawę, lecz pragnął zająć tego szaleńca rozmową, by trzymać go z dala od Jake'a.

- Nie będę cię słuchał - Ismael przetłumaczył odpowiedź Ahmada. - Mamy tu dość materiałów wybuchowych, możemy wysadzić cały ten pagórek i wszystkich dookoła. To będzie nasz wspólny grób.

- Ahmadzie, nie rób tego! - zawołała Chloe.  
- Nie ma takiej potrzeby.

Wade chwycił ją za ramię, gdy próbowała wyjść zza osłony krzewów. Podniosła na niego wzrok, w jej oczach ujrzał jednocześnie grozę i gniew, a potem wyszarpnęła się z jego uścisku.

Pozostali Benedictowie zaczęli powoli napływać w okolice pagórka z piwnicą, wszyscy poruszali się ostrożnie i bezszelestnie. Wade rozejrzał się i zauważył Adama.

- Dwóch zaszyło się w piwnicy. Co z pozostałymi?

- Jeden nie żyje, drugi złapany. Hopewell przywiązał go do drzewa i pilnuje.

Wadę z aprobatą pokiwał głową. Na męża Johnie, położnej, która przed południem nieświadomie podwiozła Chloe do miasta, można było liczyć.

- Są jakieś straty po naszej stronie? - indagował dalej.

- Postrzał w nogę.

- Mogło być gorzej. Zresztą, jeszcze może być - dodał i szczegółowo wyjaśnił zaistniałą sytuację Adamowi, pozostałym Benedictom oraz Natowi, który właśnie wyłonił się z ciemności i dołączył do nich.

- Nie ma tam pewnie żadnych okien? - odgadł ten ostatni. - Można się dostać tylko przez drzwi?

- Dokładnie.

- Mimo to proponuję ich otoczyć. Jedna grupa zamarkuje atak od tyłu, druga wedrze się od frontu.

Wade zdążył już rozważyć tę opcję i odrzucić ją zdecydowanie.

- Odpada, to zbyt niebezpieczne dla Jake'a. Może zginąć.

- Masz inne wyjście? Albo ryzykujemy życiem chłopca, albo wszystkich pozostałych.

Wade doszedł do tego samego wniosku, który zresztą doprowadzał go do szału. Aż się w nim zagotowało, ulżyłoby mu, gdyby mógł coś rozwalić lub komuś zdrowo przyłożyć.

- Nie podejmę podobnej decyzji.

- Ktoś musi - oznajmił nieubłagane Nat.

- Nie - odezwała się Chloe. - Nikt nie musi.

Wade gwałtownie obrócił głowę w jej stronę.

- O czym ty mówisz?

- Ahmad wyjdzie, jeśli podsunie mu się odpowiednią przynętę.

- Nie sądzę - uciał, gdyż domyślił się, do czego zmierzała.

- Już raz udało się go zwabić.

- No i mamy to, co mamy.

Niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Warto spróbować. Przyjechał tu ze względu na mnie.

- I na mnie.

- Ty jesteś dopiero drugi na liście. Według Ahmada to ja ponoszę winę za splamienie honoru rodziny i za sprowadzenie Treeny na złą drogę, dlatego w zamian za mnie być może da się nakłonić do uwolnienia Jake'a albo nawet do opuszczenia kryjówki.

- Nie! - wybuchnął Wade, lecz nie dodał nic więcej, gdyż jej logiczne argumenty były nie do odparcia.

Odpowiedziało mu niezgłębione spojrzenie.

- Nie masz wielkiego wyboru - rzekła Chloe wypranym z emocji głosem. - Mogę porozmawiać z Ahmadem, czy wolisz zaoferować mu wymianę Jake'a na któregoś z Benedictów, jakbym nie miała żadnej wartości w porównaniu z kimś z twojej rodziny?



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Chloe w napięciu czekała na odpowiedź. Zaraz się okaże, czy jej osoba i jej życie mają dla Wade'a jakąkolwiek wartość.

- Skoro tak stawiasz sprawę, to tego ostatniego nie mogę zrobić - oznajmił zimno. - W tej sytuacji decyzja należy do ciebie.

Takiej właśnie odpowiedzi potrzebowała, więc poczuła przypływ satysfakcji, a wraz z nią siły i pewności siebie. Nie miała pojęcia, czy jej się uda, ale musiała spróbować. Nawet jeśli plan spali na panewce, to warto zaryzykować choćby dla samej świadomości, że przez kilka krótkich chwil liczyła się tyle samo, co któryś z Benediktów. Postąpiła kilka kroków w stronę wejścia do piwnicy.

- Ahmadzie, mój bracie, posłuchaj mnie!  
- zawołała w paszcie. - Co mam rzec tym

Amerykanom, zanim zginiemy? Przecież na pewno masz im coś do powiedzenia.

- Nie potrzebuję takiej jak ty, żeby mówiła w moim imieniu - padła pełna wzgardy odpowiedź.

- Ktoś musi, bo tobie brak daru wymowy. Może niech Ismael coś powie, skoro ty nie potrafisz?

- Ismael jest nikim, jest śmieciem, który próbuje odkupić swoje winy.

- Śmieciem? Tylko ty tak uważasz. Ismael jest mężczyzną. Miał żonę i spłodził dzieci, kochał i był kochany. Jego imię przetrwa, a twoje zaginie.

- Zamilcz, suko!

Chloe usłyszała za plecami zdenerwowane szepty. Benedictowie nie potrzebowali znać pasztu, by usłyszeć gniew w głosie Ahmada, bali się więc, czy Chloe nie rozdrażnia go niepotrzebnie, narażając życie tylu osób. Oczywiście nie miała gwarancji, że nie doprowadzi do eksplozji, w której wszyscy zginą, ale bez jej interwencji w ogóle byli bez szans.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - odezwał się cicho Wade, stając obok niej.

- Ja również. - Na chwilę zamknęła oczy, starając się opanować. - Ahmad pewnie nic nie zauważy, jeśli zaczniecie się wycofywać pojedynczo lub po dwóch.

- Wycofywać?

- Przynajmniej odsuńcie się na bezpieczną odległość.

- Tobie to nie pomoże.

Nie odpowiedziała, tylko znowu zbliżyła się o parę kroków do pagórka.

- Dla ciebie wszystkie kobiety to suki, tak cię nauczyli mułłowie, wiem o tym od Treeny. Wiem też od niej, jak bardzo się nas boisz. Baba z ciebie, a nie wojownik! Czy zabiłeś naszą siostrę, ponieważ to odkryła?

- Zabiłem ją, by zmyć plamę na honorze!

- ryknął Ahmad. - I ty też zginiesz za podżeganie do buntu i brak szacunku dla wszystkiego, co nieamerykańskie.

- Czy zginę tak samo jak ona, bracie? Od twojego noża? Najpierw przyjdź i dostań mnie!  
- zaproponowała z drwiną. - Ale na to musiałbyś być mężczyzną - dodała szyderczo. Za plecami słyszała ciche kroki i szelest gałęzi, gdy Benedictowie kolejno znikali z powrotem w głębi lasu. Niestety, Wade i Roan nawet nie drgnęli.

Drzwi piwnicy uchyliły się i Chloe dostrzegła niewyraźne sylwetki. O ile udało jej się trafnie ocenić, Ahmad zasłaniał się Jakiem, podobnie jak nią rano w Turn-Coupe, zaś Ismael stał obok.

- Na tym polega babska odwaga - prychnął wzgardliwie Ahmad. - Mielesz językiem, bo

chronią cię uzbrojeni mężczyźni. Bez nich nie śmiałaśbyś nawet pisać.

- Tak myślisz? A jeśli to nie mnie chronią? Jeśli pozwolą ci zemścić się na mnie, bylebyś tylko oddał im jednego z nich?

- Masz mnie za głupca?

- Przecież ty też byś tak zrobił. Kiedy wystarczy poświęcić kobietę, by odzyskać krewnego i towarzysza broni, który mężczyzna tego nie uczyni?

- Chloe... - zaczął Wade, lecz powstrzymała go zdecydowanym gestem. Ahmad musiał być przekonany, że Benedictowie myślą właśnie tak, jak powiedziała. Najmniejszy protest z ich strony mógł popsuć jej szyki.

Na skraju lasu panowała cisza, widać pozostali zdążyli się już wycofać. Przez chwilę nic się nie działo, wreszcie Ahmad zaśmiał się drwiąco.

- Nigdy nie odważysz się tu podejść.

- Wszystko mi jedno. - Znowu zrobiła kilka kroków. - I tak zginę, i tak, więc wszystko mi jedno, czy wylecę w powietrze, czy poderzniesz mi gardło. Śmierć to śmierć.

- No to chodź - prowokował. - Chodź i przekonaj się, jak smakuje ostrze mojego noża.

- Wypuść chłopca - zażądała. - Wtedy podejść. Rozumiesz?

- Najpierw podejść. Wtedy zobaczę.

- Zróbmy inaczej. Niech Ismael z chłopcem

staną w połowie drogi. Kiedy się zbliżę, Ismael go uwolni i zabierze mnie. Tak będzie sprawiedliwie.

- Tak mnie oszukasz!

- W takim razie ty puścisz chłopca, gdy ja znajdę się w rękach Ismaela. Wtedy nie zdołam cię oszukać, prawda? - Przeniosła spojrzenie na wdowca po Treenie. - Ismaelu, zrobisz to?

- Tak - odparł, wychodząc z piwnicy na wolną przestrzeń, oświetloną światłem księżyca. Skłonił się, dotykając dłonią czoła, a potem serca. - Tak właśnie zrobię. Przysięgam na pamięć mojej żony, która kochała cię, jakbyś była jej siostrą przez krew.

Zaskoczona tym pełnym szacunku ukłonem Chloe przyjrzała się Ismaelowi uważniej i nagle spostrzegła, na czym spoczęła jego prawa dłoń, którą dotknął okolic serca. Przeniknęło ją paraliżujące, lodowate zimno, gdyż momentalnie pojęła, co on zamierza uczynić. Nad ich głowami przepływały chmury, dookoła cicho szumiały drzewa, woda w jeziorze pluskała o brzeg, zarechotała żaba. Dookoła życie biegło swoim torem jakby nigdy nic.

- Ismaelu... - zaczęła Chloe, lecz nie dał jej dokończyć.

- Los tak właśnie chciał. I tak jest dobrze. Jest tak, jak wy, Amerykanie, często mówicie: w porządku.

Przypomniało jej się, co powiedział rano, gdy ujrzała go w składzie nasion. „Mam swój własny dżihad”. Nie, nie mogła na to pozwolić.

- Zmieniłam zadanie - oświadczyła gwałtownie i cofnęła się.

Ahmad wybuchnął drwiącym śmiechem, biorąc to za oznakę jej tchórzostwa, zaś na młodej twarzy Ismaela pojawił się łagodny uśmiech.

- Nie, siostró mego serca, tak się nie da. Pomyśl o moich córkach, które mogą podzielić los swej matki. Pomyśl o tym, że można być wolnym na różne sposoby, a jeden z nich jest najpewniejszy ze wszystkich. Chodź.

Wyciągnął ku niej lewą dłoń, zaś prawą ukradkiem odpiął granat zawieszony u przecinającego jego pierś szerokiego pasa.

- Nie rób tego! - odezwał się za jej plecami głos Wade'a.

Do kogo mówił? Do niej czy do Ismaela? Czy odgadł, że mąż Treeny jest owym informatorem, który przeniknął w szeregi al-Kaidy? Wade spędził lata na Bliskim Wschodzie, lecz czy to wystarczyło, żeby pojął, jak rozumuje Ismael? A jeśli tak, czy wyciągnął odpowiednie wnioski? Powinien oddalić się na bezpieczną odległość, póki jeszcze miał czas.

Znała go jednak i wiedziała, że on tego nie zrobi, dopóki Ahmad nie puści Jake'a, Roan też pewnie twardo trwał u jego boku. Nie mogła się

obejrzeć, by to sprawdzić, ponieważ nie było już ani sekundy do stracenia. Podeszła do Ismaela, który chwycił ją za ramię. Niezbyt mocno.

- Możesz już puścić chłopca - zawołał do szwagra.

- Jak mówią Amerykanie, w porządku - powtórzył prześmiewczo Ahmad i brutalnie odepchnął od siebie Jake'a.

Chłopiec był na twarzy biały jak kreda, miał rozciętą i zapuchniętą dolną wargę, lecz trzymał się prosto i nie pozwolił, by w jego oczach pojawił się choćby cień strachu. Pozwolił sobie nawet na charakterystyczny, nonszalancki chód nastolatka, byleby tylko pokazać, jak dalece nic sobie nie robi z całej sytuacji. Chloe modliła się w duchu, by nie próbował niczego udawać również i przed nią, by nie wstydził się, że ratuje go kobieta i spojrzał na nią wreszcie!

Zrobił to i uśmiechnął się z wyraźną aprobatą dla odwagi Chloe, a był w tym momencie tak podobny do Wade'a, że aż jej się serce ścisnęło.

- Uciekaj! - ponagliła. - Na litość Boską, uciekaj!

Następne wypadki potoczyły się niemal jednocześnie. Ahmad poderwał broń do ramienia, Ismael wyciągnął zawleczkę, obrócił się z odbezpieczonym granatem w rękę, rzucił się na mordercę swej żony, chwycił go w objęcia niczym kogoś najdroższego i wpadł razem z nim

do piwnicy pełnej materiałów wybuchowych. Chloe ledwie zdążyła dostrzec kątem oka, jak Roan skacze szczupakiem, zbija z nóg syna i razem z nim zaczyna staczać się po zboczu pagórka, gdy nagle ją samą coś szarpnęło do tyłu, przewróciło i ułamek sekundy później już turlała się po trawie w ramionach Wade'a - byle jak najdalej od piwnicy. Powietrze rozdarł ogłuszający huk, białe światło oślepiło Chloe, w twarz uderzyły ją grudy ziemi i wyrwana z korzeniami trawa. Wade zakrył ją sobą i przydusił tak, że prawie nie mogła oddychać.

Do przerażenia i zgrozy, jakie do tej chwili odczuwała, doszedł ogromny smutek, a zaraz potem wdzięczność, potężniejsza niż te pozostałe uczucia, bezgraniczna, niemożliwa i do wyrażenia, i do okazania. Przynajmniej nie w tym życiu.

Wokół nich zapadła z powrotem głęboka nocna cisza.

- Wyjeżdżasz więc.

Podniosła wzrok i ujrzała stojącego w drzwiach Wade'a. Wyglądał jak z krzyża zdjęty, ona zresztą czuła się podobnie.

- Najwyższa pora. Nie mogę tu siedzieć w nieskończoność.

- Przecież to raptem cztery dni.

- Mam wrażenie, że znacznie dłużej. - Wróciła



do pakowania nielicznych rzeczy do dużej plastikowej torby, ponieważ nie miała nic innego.

- Podobno prosiłaś o podwiezienie Adama i Larę, gdy będą zabierali mamę do Nowego Orleanu. - Wszedł do pokoju, oparł się plecami o drzwi, wsunął kciuki w kieszenie dżinsów.

- Zatrzymam się tam w jakimś hotelu, dopóki nie uda mi się skontaktować z grupą RAW-y, która działa na terenie Kalifornii. Na kasecie wideo od Freszty jest numer telefonu.

- I co potem? Zamieszkaś wśród ludzi, których nie znasz i którzy wyznają inną religię niż ty, znowu będziesz zakrywać włosy i twarz?

- Coś w tym rodzaju.

- Ale dlaczego? - spytał niemal z rozpaczą.

- Mało ci było?

Unikała jego spojrzenia.

- RAWA walczy o słuszną sprawę, o zmianę sytuacji kobiet na Bliskim Wschodzie. Potrzebuję gdzieś należeć i robić coś sensownego.

- Mogłabyś zostać tutaj, jesteś mile widziana, no i Janna byłaby wdzięczna za pomoc, gdy dziecko się urodzi.

- Nie... Nie jest to chyba dobry pomysł - odparła, z trudem panując nad głosem.

- Nie obawiaj się, to nie oznacza mieszkania ze mną pod jednym dachem, bo ja nie zostaję w Grand Point.

Dopiero tym udało mu się przykuć jej uwagę.

Zaskoczona Chloe przerwała pakowanie i usiadła na łóżku, dalej trzymając w ręku szczotkę do włosów, której nie zdążyła włożyć do torby.

- Wracasz do pracy przy wydobywaniu ropy?

- Nie, pójdę do firmy Nata. Od dawna próbuje mnie zwerbować. - Wzruszył ramionami. - Ratowanie ludzi to równie dobre zajęcie jak każde inne.

- Ale niebezpieczne!

Przyjrzał jej się bacznie zmrużonymi oczami.

- Potrzebuję coś zrobić, najlepiej coś sensownego.

Chloe obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Przestań!

- Co mam przestać?

- Wyśmiewać się ze sprawy, której zamierzam się poświęcić.

- Do samej sprawy nic nie mam, poświęcaj się, ile dusza zapagnie, tylko czemu akurat w taki sposób?

Uznała, że skoro do tej pory nie zdołał jej zrozumieć, to tłumaczenie mu tego nie ma większego sensu.

- Zostawmy ten temat. Aha, i nie musisz wyjeżdżać z Grand Point tylko dlatego, że ewentualnie ja miałabym tu zostać.

- Twoim zdaniem wyjeżdżam z twojego powodu?

- A z jakiego innego? Oczywiście o ile nie zapalałeś nagłą niechęcią do własnego domu.

Tym razem to on odwrócił wzrok.

- Nie zapalałem.

- Wiele lat temu wypłoszył cię stąd twój ojciec, a teraz ja. Dostrzegam w tym pewną prawidłowość.

- Według ciebie mam zwyczaj uciekać przed kłopotami, tak?

- Ja tego nie powiedziałam. Zresztą ze mną nie masz żadnych kłopotów.

Na twarzy Wade'a odbiło się zdumienie.

- Złotko, z tobą jest jeden wielki kłopot!

- Był. Już jest po wszystkim.

- Tak, już po wszystkim - zgodził się bez entuzjazmu.

Bezwiednie zaczęła nerwowo wyginać plastikową szczotkę, trzymaną w rękach.

- Gdybyśmy mieli więcej się nie zobaczyć... Powinnam podziękować ci za to, co zrobiłeś tamtej nocy, odciągając mnie od...

- Zapomnij o tym - uciał.

Jego oschłość zaboląła Chloe.

- Nie zapomnę. Nigdy. Nie potrafię.

- Nie ma sensu rozpamiętywać przeszłości. Zrobiłaś, co mogłaś, nie wszystko poszło po twojej myśli, ale niczego nie zmienisz. Zapomnij.

- Łatwo ci mówić.

- Nie, wcale nie łatwo - zaproponował z naciskiem. - Bałem się, że zginiesz na moich oczach. Nie mogłem do tego dopuścić.

Wiedziała, co próbował powiedzieć i jakie demony z przeszłości musiały go wtedy dręczyć.

- I nie dopuściłeś, udało ci się. Odgadłeś, co się stanie, i zdążyłeś, więc nie dręcz się tym już. Jeśli ktoś powinien przestać rozpamiętywać ten cały koszmar, to właśnie ty.

Przymknął oczy, lekko potrząsnął głową.

- Może kiedyś mi się uda - mruknął z powątpiewaniem.

- Pewnie w końcu obojgu nam się uda...

Ale nieprędko, dodała w myślach. Wspomnienia i emocje były wciąż tak świeże, jak ziemia, którą zasypano potężny lej po wybuchu. Przyjechali agenci federalni, prowadzący śledztwo w sprawie powiązań Ahmada z al-Kaidą, zabrali schwytanego przez Benedictów terrorystę. Przyjechali przedstawiciele władz stanowych, zabrali stare indiańskie przedmioty, które spoczywały ukryte pod ziemią pagórka od kilkuset lat, a wybuch porzrzucał je dookoła w promieniu kilkudziesięciu metrów. Przyjechali przedstawiciele władz lokalnych, pomogli wyeksponować szczątki trzech zabitych do Hazaristanu, by tam je pogrzebano. Więcej nie było nic do zrobienia, pozostało tylko dojść do siebie po tych przejściach.

- Cieszę się, że cię nie zawiodłem - rzekł cicho Wade.

Chloe przez moment zastanawiała się, czy nie

próbował w ten sposób powiedzieć czegoś więcej, uznała to jednak za zbyt nieprawdopodobne.

- Jak twoja rana? - spytała, zmieniając temat.

- Prawie zagojona.

- Bardzo się z tego cieszę. Z Jakiem też chyba wszystko w porządku, bawił się wczoraj z Lainey, gdy przyjechał tu z rodzicami. Dzieci się śmiały, jakby nie odczuwały żadnej traumy, ale pewnie bez pomocy psychologa się nie obejdzie.

- Po co im psycholog, gdy mają wielką, kochającą rodzinę, więc zostaną przytulone i wysłuchane, gdy tylko będą tego potrzebować?

Wade miał rację. Po co komu pomoc obcych, gdy ma się taką rodzinę? Chloe wygięła dostatecznie już zmaltretowaną szczotkę tak mocno, że prawie pękła jej w rękach. Czym prędzej schowała ją do torby.

- Tory i Roan są gotowi całować cię po piętach za uratowanie Jake'a - ciągnął Wade.

- Cała rodzina czuje, że ma wobec ciebie dług wdzięczności. Gdziekolwiek pojedziesz i cokolwiek będziesz pragnęła zrobić, chętnie ci pomogą.

- Nie chcę, żeby twoi bliscy czuli się zobowiązani wobec mnie. Nikt nie jest mi nic dłużny.

- Chyba źle to ująłem. Oni nie chcą ci się odpłacić, nie w tym rzecz. Jesteś dla nich kimś

specjalnym, możesz tu zawsze przyjechać, kiedy tylko zapragniesz. Nie musisz czekać na zaproszenie, nie musisz uprzedzać, po prostu przyjeżdżaj, Grand Point zawsze będzie na ciebie czekać.

Zaczęło ją dławić w gardle ze wzruszenia, ponieważ posiadanie własnego miejsca na ziemi, do którego człowiek należał i gdzie był w pełni akceptowany za samo swoje istnienie, stanowiło dla niej ogromną wartość.

- Nie mogę tu wrócić, skoro mój pobyt miałby wygonić stąd ciebie. - Wykonała bezradny gest. - To w końcu twój dom.

- Zgadzam się mieszkać z tobą pod jednym dachem, jeśli zaczniesz z powrotem nosić czador, bo tylko w takim wypadku może będziesz przy mnie bezpieczna, ale i tego nie gwarantuję.

- Chcesz mi powiedzieć... że mnie pragniesz?

- Czyżbym jeszcze nie okazał tego dostatecznie jasno? - spytał z ironią.

- Nie ostatnio.

- Bez przesady. Nie przez ostatnie cztery dni, ale kto by tam liczył?

- Może ja? - odezwała się po dłuższej chwili wahania.

- A co ty chcesz przez to powiedzieć?

- Że przepraszam...

- Przestań!

Poczuła, jak zbiera jej się na płacz, więc

zaciśnęła zęby i dumnie uniosła głowę, starając się powstrzymać łzy.

- W porządku.

- Mówiłem ci, żebyś nie przepraszała. Zwłaszcza mnie. Za nic.

- Nawet za odrzucenie twoich oświadczeń?

Milczał długo, aż Chloe wreszcie doszła do wniosku, że w ogóle nie zamierzał odpowiadać na jej pytanie. Kiedy się w końcu odezwał, miał bardzo zmieniony głos.

- Tak, może za to jedno.

- Zastanawiałam się nad tym - wyznała, ośmielona reakcją Wade'a. - Według April Benedictowie pozwalają swoim żonom na wszystko. Czy to prawda?

- No nie wiem, czy posunąłbym się aż tak daleko - odparł powątpiewającym tonem, lecz kąciaki jego ust uniosły się w leciuteńkim uśmiechu.

- Chciałam tylko...

- Wiem, co chciałaś - przerwał jej, podszedł do niej, chwycił ją za rękę i poderwał mocno z łóżka. Wpadła prosto w jego ramiona. - Chcesz się upewnić, czy nie zabronię ci ratować wszystkich maltretowanych kobiet świata. Moja odpowiedź brzmi: „Rób, co chcesz, bylebyś nie sprowadzała ich do domu”.

- Naprawdę nie miałbyś nic przeciw temu?

- Jeśli ty będziesz szczęśliwa, i ja będę szczęśliwy. Tylko czy tobie to wystarczy?

- Tak - odparła z powagą. - Kiedyś sądziłam, że muszę znajdować się na pierwszej linii frontu, pomagając każdemu, kto ucierpiał z powodu barbarzyńskich praw. Potem musiałam wszystko zostawić, pogodzić się z myślą, że być może moim zadaniem jest uświadomienie zachodniemu społeczeństwu, co dzieje się w Hazaristanie. Nadal chcę się tym zajmować, ale podczas pobytu w twoim domu zrozumiałam, jakiej sprawie pragnę się poświęcić naprawdę. Tu, w Grand Point doświadczyłam prawdziwej wolności i pokoju, i te wartości chciałabym krzawić, ponieważ dzięki nim świat stanie się lepszym miejscem. To jednak ogromne zadanie, nie podołam mu samotnie, w dodatku najlepiej będzie zacząć od własnego podwórka, czyli urodzić i wychować dzieci, szlachetne i rycerskie, mające wzgląd na innych ludzi, kochające się i szanujące nawzajem. Innymi słowy, z wielką ochotą przyczyniłabym się do zwiększenia populacji Benedictów.

Na twarzy Wade'a pojawił się bardzo ciepły i bardzo szeroki uśmiech.

- Czy potrzebujesz mnie do pomocy?

- Tak. Zawsze. - Tym razem Chloe nie zamierzała powstrzymywać łez. Niech płyną.

- Będę pamiętał, że to powiedziałaś. - Przygarnął ją mocniej do siebie. - Kocham cię, wiesz? Za to, jaka jesteś, i za to, co robisz. Za



twoją odwagę, która aż mnie przeraża i nawet za pewną skłonność do zostania męczennicą, chociaż omal nie przypłaciłem jej zawałem. Ale jeśli jeszcze raz narazisz się na podobne niebezpieczeństwo, jak tamtej nocy, zamknę cię w domu na klucz i nie wypuszczę do końca życia.

- Zamknij - szepnęła. - Tylko ty mógłbyś zamknąć mnie w domu, a ja nawet znalazłabym w tym przyjemność. Nigdy nie spotkałam nikogo równie honorowego i niezłomnego jak ty. Pokochałam cię, kiedy wpadłeś na mnie na stadionie w Kaszi, byłeś mężczyzną z moich snów, poszłabym za tobą wszędzie.

- Czemu się więc tak opierałaś, gdy próbowałem cię stamtąd wyrwać?

- Ponieważ bałam się, że od razu potem mnie zostawisz, a z uczuć wzbudzę w tobie tylko litość, nic więcej.

Potrząsnął głową.

- Bardzo piękne rzeczy mi tu mówisz, ale jakoś trudno mi w nie uwierzyć.

- A jak myślisz, czemu poprosiłam, żebyś się ze mną kochał?

- Bo... - zaczął i nagle urwał. - Chwileczkę. To nie zrobiłem tego dla dobra sprawy?

- Chyba żartujesz.

Czekała, zaciekawiona, ile mu zajmie zrozumienie jej słów. Czekała cały ułamek ułamka ułamka sekundy.

- Chciałaś mnie.

- Tak. I dalej chcę. Wiem, podczas tamtej rozmowy mówiłam co innego, ale w życiu nie powiedziałam większego kłamstwa.

- Dzięki Bogu!

Pocałował ją chciwie, z nieskrywaną namiętnością i bardzo, ale to bardzo obiecująco.

Minęło sporo czasu, nim Chloe poruszyła się leniwie na zmiętej pościeli. Uniosła rękę, powiodła opuszką wzdłuż opatrunku na brzuchu Wade'a, potem jej palce niespiesznie powędrowały wyżej i zaczęły pieszczotliwie zakreślać niewielkie kółka na jego torsie.

- Czyli mam nie sprowadzać do domu kobiet w czadorach, tak? Czyżbyś nie chciał posiadać haremu?

- W żadnym wypadku. Pewnie i tak ledwie zdołam sprostać oczekiwaniom jednej zawołanej damy. - Ujął dłoń Chloe, ucałował i znów położył na swym torsie.

Zdaniem Chloe nie doceniał swoich możliwości, ale miło było usłyszeć podobną deklarację.

- Zawołowana dama... - powtórzyła w zamysleniu. - Niby protestowałeś, ale czador całkiem ci się podobał, prawda?

- Na pewno nie wtedy, kiedy sam w nim paradowałem! Jednak faktycznie ta idea ma pewne zalety, gdy ktoś jest zazdrosnym typem.

- Och, daj spokój, przecież nie o tym mowa.

Czador cię podniecał, przyznaj się. Czador to tajemnica. Pobudza męską wyobraźnię. Pobudza...

- Daruj sobie dalszy wykład, doskonale wiem, co pobudza. I przyznaję, że kiedyś mogłabyś go znowu włożyć, ale musiałyby być spełnione jeden warunek.

- Jaki?

Przysunął się bliżej i wyszeptał jej coś do ucha.

- Nie - zaprotestowała zdecydowanie. - Naga pod spodem? Za nic.

- Naprawdę nie? Ani razu? - upewnił się Wade, a w jego głosie brzmiało bezbrzeżne rozczarowanie.

- Nigdy!

- Nie dodałaś „przenigdy”. Czy to znaczy, że jednak istnieje jakaś szansa?

Uśmiechnęła się promiennie, patrząc mu prosto w oczy.

- Zobaczymy.